POLSKA CIĄŻA ZAGROŻONA

JAK NASZ PAPIEŻ ZOSTAŁ MEMEM

ANDRZEJ STASIUK: WSTYD MI, BO PISZĘ

Kraków 20 listopada 2022 nr 47 (3828) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Najgorszy mundial świata

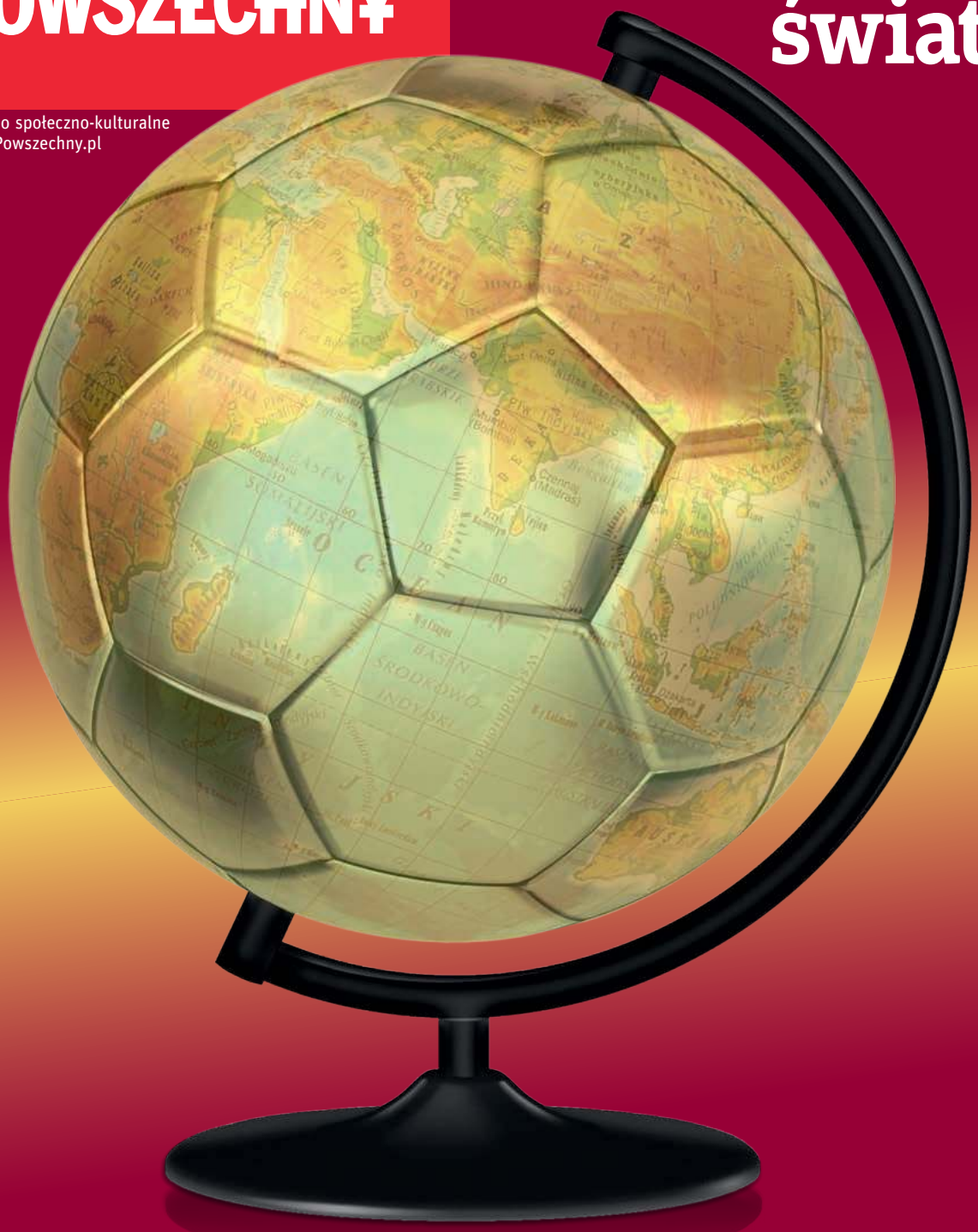

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

TYGODNIK POWSZECHNY

JAGIELSKI STORY

ODCINEK SPECJALNY!

Najgorszy mundial świata: korupcja, układy, sport uwikłany w wielką politykę i kibice, którzy zostają z pytaniem: czy to w ogóle da się oglądać? O mistrzostwach w Katarze z gościem specjalnym **Michałem Okońskim** rozmawiają Wojciech Jagielski i Krzysztof Story.

Premiera w środę 16 listopada na TygodnikPowszechny.pl/podkast

weź, słuchaj!

Dołącz do społeczności
patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego

TP

PATRONITE

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻYNA MAKARA

KS. ADAM

Boniecki: *Sprawdzian*

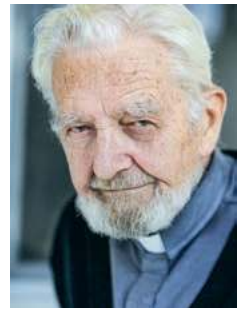

Dom stoi nie w centrum miasta, lecz na tyle blisko, że dojechać nie jest trudno. Duży i odnowiony, zatrudnia wiele osób. Kiedyś były to siostry albertynki. Została po nich kaplica i dobre wspomnienie tych, którzy są tu od ich czasów, choć to już nie kilka, a kilkanaście lat. Takich domów jest w Polsce więcej i wciąż za mało.

Mieszkańcy żyją swoją sytuacją, która bywa chorobą. Czy docierają do nich kłopoty i niepokoje wychodzące poza strukturę tego miejsca? Nie mówią o tym. Czasem od banalnych spraw przechodzą nagle, bez osobnego wprowadzenia, do własnych. Są tacy, którzy uważają, że powinni mieszkać teraz z rodziną. Mają żal, że się tu znaleźli. Zauważyłem jednak, że zazwyczaj o tym nie mówią, przynajmniej tym, których nie znają.

Oczywiście są i tacy jak ja – przekonani, że ich stan się poprawi. Że wyjdą, wrócą i będą, jak kiedyś byli. Mają pewnie rację, może nie na sto procent, bo pewnie już nie będą tak sprawni jak kiedyś, ale wstaną z wózków inwalidzkich lub przynajmniej będą się z nich podnosić i trochę sami się poruszać. Sala gimnastyczna zastawiona jest machinami, które temu mają służyć. Kobiety, które tam pracują, zasługują na medal za cierpliwość. Wiedzą, że niektórzy przez te ćwiczenia zatrzymują proces unieruchomienia, ale już nie ma mowy o tym, żeby go cofnęły. W tej sali widać ludzi upartych i ludzi zrezygnowanych oraz – co dziwniejsze – ludzi upartych, a jednocześnie w jakiejś mierze zrezygnowanych. Ci ostatni wykonują ćwiczenia bez zaangażowania. Jakby wiedzieli, że są użyteczne, ale w tę użyteczność nie wierzyli.

Tym, co charakteryzuje ten dom, jest zgoda na opiekę innych. Nie wiem, jak się taki stan osiąga, ale się osiąga. W szerokim zakresie. Począwszy od higieny osobistej, oczywiście. Ale także kuchnia... Nie myśli się o zapewnieniu sobie posiłków. To demobilizuje, zaciera świadomość trudności, zdejmuje wszystkie związane z tym kłopoty, a jednocześnie pozbawia przyjemności nakarmienia gościa czymś wyjątkowym. O problemach z praniem, ładem w pokoju już nawet nie wspominam. O tym myślą inni. O wszystkim, co zewnętrzne, myślą inni.

Nie jest to stan idealny, ale co by było bez takiego domu? To schronienie dla ludzi, którzy nie mają gdzie się podziać. Ciasnota, zapracowanie lub kompletna niezdolność do zajęcia się bliskimi, nie mówiąc o samotności i innych losowych przypadkach, skazuje wielu na takie domy. Ludziom, którzy całe życie byli wśród innych i dla innych, może być trudno. Mało kogo to wzrusza. Są rodziny, które codziennie lub prawie codziennie przychodzą do zamkniętych tu chorych i starych krewnych, ale są i tacy, którzy w poczuciu spełnionego obowiązku umieszczenia kogoś w takim domu czują ulgę. Wizyty są rzadkie i w miarę upływu czasu coraz rzadsze. Także na to nie ma rady, zwłaszcza jeśli stary dziś i bezsilny dziadek przez długie lata był egoistą, postrachem młodych, utrapieniem rodziny.

Jedno jest pewne: stary człowiek jest czymś innym od starego sprzętu. A młodszy mieszkaniec domu, w którym obecnie przebywam? Poczucie porzucenia jest bolesne i dla starego, i dla młodego. Dla każdego inaczej. Piszę o tym, by zakończyć banalnym wezwaniem: domy opieki są sprawdzianem miłości. ©℗

Znamy nominowanych do Nagrody POLIN

30 listopada po raz ósmy zostanie wręczona Nagroda POLIN przyznawana przez Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN osobom lub instytucjom aktywnie działającym na rzecz ochrony pamięci o historii polskich Żydów. Spośród 117 aplikacji z całej Polski kapituła konkursu wyłoniła 6 finalistów. Są to: Katarzyna Łaziuk, Izabela Sekulska, Magdalena Smoczyńska, Michał Szaflarski oraz Sądecki Sztetl i Zespół Szkół w Krzepicach.

Ogłoszenie laureatki lub laureata Nagrody POLIN 2022 nastąpi podczas uroczystej ceremonii w Muzeum, która będzie transmitowana w mediach społecznościowych instytucji.

„Tygodnik Powszechny", od lat działający na rzecz pojednania międzyreligijnego (sprawdź powszech.net/zydowska), jest partnerem tego wydarzenia.

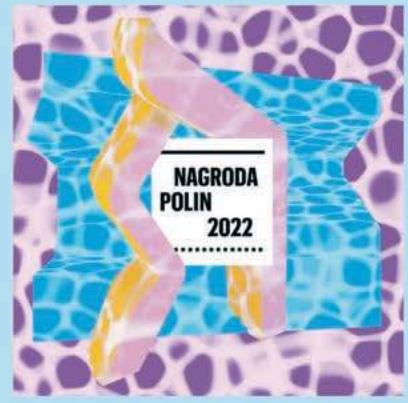

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

29 Ciąża systemowo zagrożona
MAŁGORZATA NOCUŃ: *Konflikt w warszawskiej klinice, do której przyjeżdżają kobiety z całej Polski, ukazuje skalę kryzysu polskiego położnictwa. Może się on jeszcze zaostrzyć, bo młodzi lekarze unikają tej specjalizacji. Boją się procesów.*

34 Odjaniepawlanie
JAN RYBICKI: *Dla starszych ciagle jest autorytetem, choć pojawiają się pierwsze rysy. Młodzi są obojętni i chętnie z rozbuchanego kultu Jana Pawła II żartują. Nie ma pomysłu na sprawiedliwą pamięć.*

44 Wygrana bez wygranej
MARTA ZDZIEBORSKA: *Zamiast szybkiego rozstrzygnięcia wybory do Kongresu przyniosły zaskakujący wniosek: Amerykanie są coraz bardziej zmęczeni duetem Biden-Trump.*

64 Mowa
ANDRZEJ STASIUK: *Opowieść jest dzieckiem samotności. I dzieckiem ciemności. Ci, co mówią do innych, a zwłaszcza do wszystkich, skazani są na ględzenie.*

60 Przepis na mleko
MARTA ALICJA TRZECIAK
Nie ma bardziej typowej cechy ssaków niż produkcja mleka. U wszystkich gatunków pełni tę samą funkcję, choć jego skład i dostępność może się bardzo różnić. A czy właściwie wiemy, skąd się wzięło?

78 Tex się nie łamie
BARTOSZ HLEBOWICZ Z LUKKI: *Każda włoska księgarnia ma rozbudowany dział z komiksami, a przodują największe włoskie muzea, z Galerią Uffizi na czele.*

REINER RIEDLER / ANZENBERGER / FORUM // WOJCIECH BARCZYŃSKI / FORUM // M. WATSON / ARDEA / EAST NEWS // MATERIAŁY PRASOWE // GRAŻYNA MAKARA // GIORGIO VIERA / AFP / EAST NEWS

6 Mój plan to świętować
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z CHERSONIA

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Kwiatów nie brakuje
MAREK RABIJ: *Polska zamierza w przyszłym roku wydać na wojsko rekordową sumę 143 mld zł, czyli więcej niż na ochronę zdrowia*

26 Nadzór nad nadzorem
STEFAN SĘKOWSKI: *Sposób PiS na państwowe firmy brzmi: mają być państwowe i mają być „nasze”*

29 Ciąża systemowo zagrożona
MAŁGORZATA NOCUŃ

WIARA

34 Odjaniepawlanie
JAN RYBICKI

38 Bezsilność
MARTA KIEŁCZEWSKA-KONOPKA Z PARYŻA: *We francuskim Kościele kardynał przyznał się do pedofilii, a biskup uprawiał rozbierane spowiedzi. Skandal goni skandal. Czy ten kryzys jest do przezwyciężenia?*

40 Dzikość Boga
PIOTR SIKORA: *Uroczystość Chrystusa Króla zwykle kojarzymy w chrześcijaństwie z tradycją wprowadzającą ład i porządek. Błędnie*

ŚWIAT

44 Wygrana bez wygranej
MARTA ZDZIEBORSKA

47 Zielone światło
KATARZYNA MALAROWSKA *o globalnym szczycie klimatycznym COP27, który trwa w Egipcie*

EAST NEWS

TEMAT TYGODNIKA

12 Najgorszy mundial świata
MICHAŁ OKOŃSKI
Piłkarskie mistrzostwa w Katarze są skandalem na tylu poziomach, że nie wiadomo, od którego zacząć. Chyba że od konstatacji, iż są jedynie lustrem, w którym odbija się współczesny świat.

17 Katar: cena bezpieczeństwa
WOJCIECH JAGIELSKI
Mundial pierwszy raz odbędzie się w kraju arabskim i muzułmańskim. A niewiele brakowało, by rozegrano go w oblężonej przez wrogich sąsiadów twierdzy.

FELIETONY

32 TOMASZ STAWISZYŃSKI **43** WOJCIECH BONOWICZ **55** JACEK PODSIADŁO **76** OLGA DRENDA **77** PAWEŁ BRAVO **82** STANISŁAW MANCEWICZ **82** BARTOSZ MINKIEWICZ

GRAFIKA NA OKŁADCE: MAREK ZALEJSKI // PIXABAY // ADOBESTOCK.COM

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

49 Skandal po japońsku
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO: *Ponura sekta religijna, z którą okazuje się powiązana znaczna część elit politycznych – to nie teoria spiskowa, lecz japońska rzeczywistość*

52 Wyrwani ze świętego spokoju
PIOTR OLEKSY: *Rosyjska agresja dotyka również odległą Kanadę*

HISTORIA

56 Łobuz z Krowodrzy
EWELINA KARPIŃSKA-MOREK: *Zbiór rzeczy zabranych więźniom Auschwitz to 4,7 tys. kopert ze zdjęciami, biżuterią, listami*

NAUKA

60 Przepis na mleko
MARTA ALICJA TRZECIAK

KULTURA

64 Mowa
ANDRZEJ STASIUK

67 Między bajki
MONIKA OCHĘDOWSKA: *Chłopak z Kaliningradu miał być pierwszą osobą w historii, która weszła w otwartą przestrzeń kosmosu*

68 Genotyp i terapia
PIOTR KOSIEWSKI: *Pandemia obnażyła wady obecnego systemu funkcjonowania muzeów*

71 Kroniki grabieży
MAGDALENA BARTCZAK: *Jak bezsilność staje się elementem tożsamości skolonizowanych narodów*

74 To, co zostaje
ANITA PIOTROWSKA *o filmach „Katedra” i „Lombard”*

75 Nieco marudzenia
LEKTOR *o książce „Akwarium” Tomasza Potkaja*

ZMYSŁY

78 Tex się nie łamie
BARTOSZ HLEBOWICZ Z LUKKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Ukraina wraca do Chersonia
Koniec 8-miesięcznej rosyjskiej okupacji obserwuje nasz korespondent, PAWEŁ PIENIĄŻEK. Zobacz relacje i zdjęcia z wyzwolonego miasta
tygodnikpowszechny.pl/atak-na-ukraine

Podkast o Mundialu
Specjalny odcinek podkastu JAGIELSKI STORY o mistrzostwach w Katarze. Korupcja, układy, sport uwikłany w wielką politykę. Słuchaj od 16 listopada | **tygodnikpowszechny.pl/podkast**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

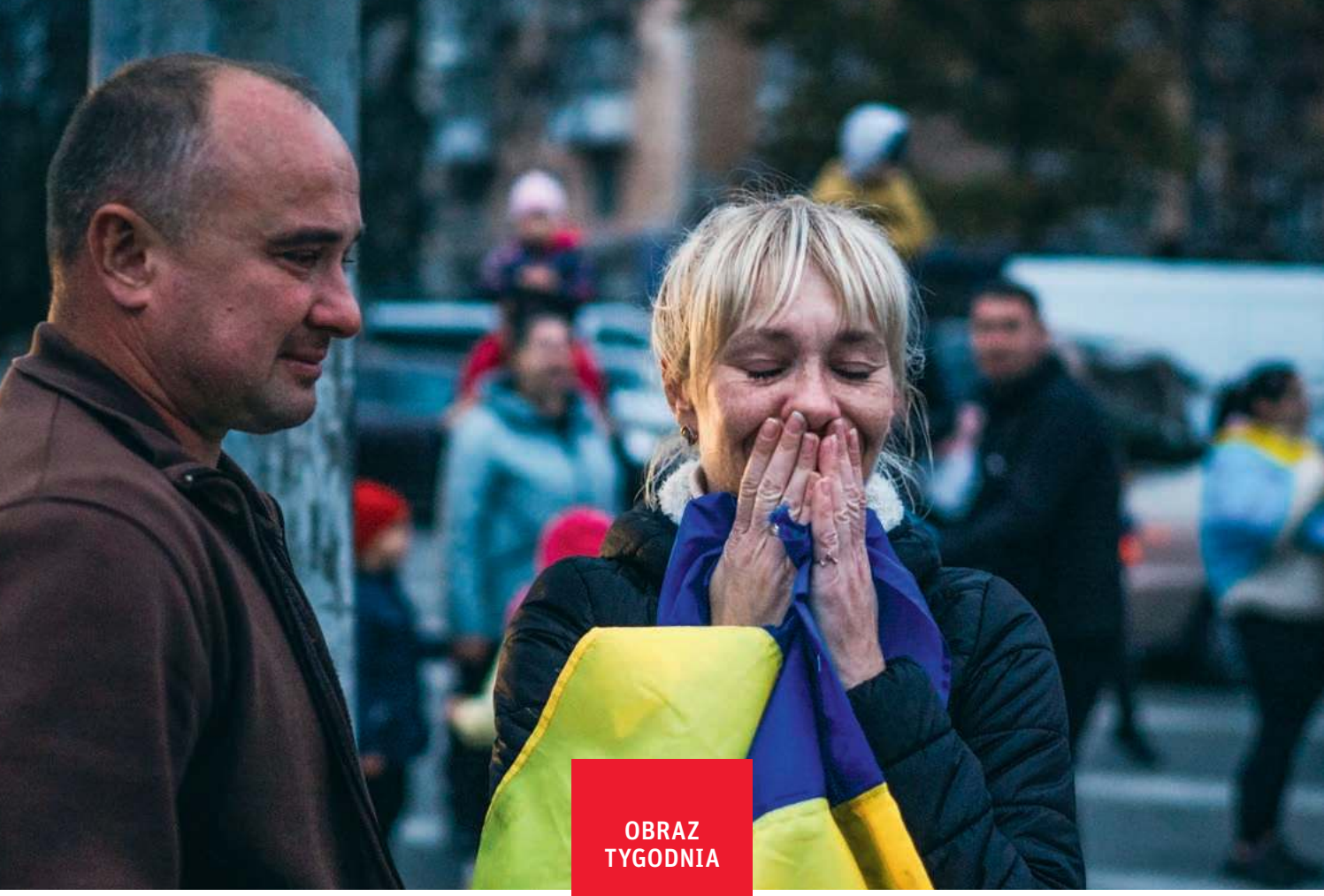

OBRAZ TYGODNIA

MÓJ PLAN TO ŚWIĘTOWAĆ

Mieszkańcy Chersonia nie chcą myśleć o problemach, z którymi przyjdzie się im mierzyć. Dziś chcą cieszyć się odzyskaną wolnością.

PAWEŁ PIENIĄŻEK Z CHERSONIA (UKRAINA)

Mieszkańcy Chersonia Julia i Jewhen w wyzwolonym dzień wcześniej mieście, 12 listopada 2022 r.

Najpierw w mieście pojawiły się problemy z prądem – coraz częstsze, aż do całkowitego braku dostaw. Podobnie było z wodą i łącznością. Ukraińskich sieci telefonicznych nie było tu od dawna, a teraz przestały działać rosyjskie. Przez to 33-letni Andrij, przed okupacją pracownik kantoru, został odcięty od informacji. W jego rodzinnym Chersoniu do rosyjskiej inwazji z 24 lutego mieszkało niemal 300 tys. osób. Spora część z nich uciekła, ale on został.

– Od samego początku wojna szła kacapom fatalnie – mówi dziś Andrij. – Dużo czytam, więc wiedziałem, że nie osiągnęli żadnego strategicznego celu. Kijowa, Odessy ani Charkowa nie zdobyli, wojska w Donbasie nie otoczyli. Dlatego zostało mi tylko czekać.

Andrij o Rosjanach nie mówi inaczej niż pogardliwie „kacapy". Mieszka na obrzeżach Chersonia, gdzie zostały głównie osoby starsze. Pytał sąsiadów, dlaczego w mieście nic nie działa, ale nikt nie znał odpowiedzi. Do tego trudno było z kimś porozmawiać, bo wszyscy wyglądali na zalęknionych. Andrij to rozumiał. Przez ponad osiem miesięcy okupacji sam żył w strachu. Gdy na początku marca pojawiły się tu rosyjskie wojska, wychodził na proukraińskie demonstracje. Spodziewał się, że któregoś dnia po niego przyjdą i aresztują. Ciągły strach niemal go dusił.

W piątek 11 listopada Andrij postanowił się przejść. Zobaczył dwa auta z ukraińskimi flagami, które przemknęły ulicą. Koło południa ruszył ku centrum, gdzie napotykał coraz więcej niebiesko-żółtej symboliki. Wreszcie zapytał ludzi z flagami, co się dzieje. – Jak to, nie wiesz? Chersoń wyzwolili – odpowiedzieli nie-

znajomi. Odtąd z twarzy Andrija nie schodzi uśmiech od ucha do ucha.

Parę dni wcześniej, 9 listopada, rosyjski minister obrony Siergiej Szojgu ogłosił, że jego armia wycofa się całkowicie z prawego brzegu Dniepru, w tym z Chersonia, stolicy obwodu. Doszło do tego po miesiącach ukraińskiej kontrofensywy i – jak przyznają w nieoficjalnych rozmowach wojskowi zaangażowani w operację – w przededniu szykowanego decydującego natarcia. Wcześniej, we wrześniu, rosyjskie wojska, zaskoczone ukraińskim atakiem, zostały zmuszone do chaotycznego odwrotu, przez co poniosły duże straty w ludziach i sprzęcie. Teraz Kreml starał się nie powtórzyć tego błędu. Wycofywanie z prawobrzeżnej części obwodu chersońskiego zostało przygotowane. Sam Chersoń Rosjanie opuścili nocą 10 listopada i wtedy pierwsi mieszkańcy zaczęli świętować. Miasto ominęły więc ciężkie walki, przez co nie podzieliło losu Mariupola, Siewierodoniecka, Iziumu czy Buczy.

Z podarowaną ukraińską flagą Andrij świętował na centralnym placu Wolności. Panowała tu atmosfera karnawału, głośna muzyka, tańce, uściski. Łzy smutku z powodu tego, co się przeżyło, i radości, że to wszystko już się skończyło. Żołnierze z trudem przedzierali się przez plac, bo każdy chciał ich objąć, podziękować lub po prostu przybić piątkę.

Wkrótce w mieście zjawili się też inni przedstawiciele ukraińskiego państwa: policja, miejscowe władze i pracownicy kolei, chcący uruchomić połączenie w najbliższych dniach. Otworzyła się poczta, a do supermarketów zwieziono pierwsze tony produktów spożywczych. Na placu wojskowi i policjanci rozstawiali talerze Starlink, zapewniające internet satelitarny, dzięki czemu mieszkańcy mogli rozmawiać z bliskimi.

Andrij nie chce na razie myśleć o problemach, z którymi przyjdzie im się mierzyć. W końcu Rosjanie są tuż za rzeką, miasto jest w zasięgu ich artylerii. Dlatego władze namawiają do ewakuacji. Andrij nie zwraca na to uwagi. Na razie ma jeden plan: świętować. ©

Więcej w korespondencjach Pawła Pieniążka na naszej stronie internetowej.

PAWEŁ PIENIĄŻEK

Jarosław Kaczyński przed strategiczną decyzją

MAREK KĘSKRAWIEC

Jeśli kogoś uraziłem swymi słowami, to przepraszam – nie ma bardziej niedojrzałego sposobu przyznawania się do winy. Prezes Kaczyński również rzekomo nie chciał nikogo urazić, a tylko „powiedzieć pewną prawdę o szkodliwym zjawisku". Tym samym podtrzymał swe opowieści o kobietach, które „dają w szyję" do 25. roku życia i przez to w Polsce nie rodzą się dzieci.

Zostawmy na boku dociekanie źródeł wiedzy prezesa. Ważniejsze jest to, że nagranie z zamkniętego spotkania nawet po czasie nie wywołało u niego refleksji. Jakby nie pamiętał, że tąpnięcie sondażowe, po którym PiS nie odzyskał już poparcia na poziomie 40 proc., jest bezpośrednio związane z zaostrzeniem prawa aborcyjnego jesienią 2020 r., a uderzanie w kobiety to ostatnia rzecz, która może przysłużyć się partii władzy.

Niefortunne słowa padły akurat w momencie ważnego przesilenia, kiedy premierowi Morawieckiemu udało się wreszcie przekonać prezesa PiS, że bez miliardów z KPO kryzys będzie dużo głębszy, a inwestycje publiczne staną. Minister Szymon Szynkowski vel Sęk może oczywiście twierdzić, że nie jedzie do Brukseli z ustępstwami, ale zewsząd słychać głosy, iż rządzący zdecydowali się na częściowy reset z Unią i najpierw zliberalizują ustawę wiatrakową, a potem cofną się w kwestiach tzw. reformy sądownictwa. Kierownictwo partii nie obawia się tej nagłej wolty (jeszcze przed chwilą fundusze z KPO były „marginesem"), bo w ten sposób od lat – z sukcesami – działa Viktor Orbán, a poza tym twardy elektorat PiS jest przyzwyczajony do zmiennych narracji i nie bardzo ma dokąd odejść. Zostaje mu tylko niespójna Konfederacja i... Zbigniew Ziobro.

Ten ostatni to najważniejszy dziś problem Kaczyńskiego. Nieakceptujący kompromisu z Brukselą lider Solidarnej Polski wciąż wydaje się dopuszczać ryzyko koalicyjnego rozwodu, choć mało prawdopodobne jest, że nawet przy ostrej antyunijnej kampanii jego partia przekroczy w wyborach próg 5 proc. Z drugiej strony Ziobro wie, że kiedy w 2007 r. Kaczyński zerwał koalicję z Samoobroną i LPR – stracił władzę na osiem lat. Dziś mówi się raczej o rządzie mniejszościowym niż o przyspieszonych wyborach, ale to by oznaczało pogłębiający się imposybilizm, którego Kaczyński tak nie znosi. Sądzę, że szybko się przekonamy, czy postanowi – być może ostatni raz – znowu zagrać *va banque* i pozbyć się Ziobry. ©℗

Pegasus: europejskie Watergate

OMERTÀ TO ZMOWA mająca zapewnić bezkarność. Tak mają się zachowywać przywódcy europejscy w sprawie inwigilacji Pegasusem – twierdzi holenderska eurodeputowana Sophie in 't Veld, która przygotowała wstępny raport specjalnej komisji europarlamentu ds. nielegalnej inwigilacji.

Z dokumentu wynika, że w Polsce i na Węgrzech używanie Pegasusa stało się „integralnym elementem" systemu kontroli osób krytykujących władze. Do inwigilacji doszło też w Grecji i Hiszpanii, gdzie stanowiska stracili szefowie służb. Ale „europejskie Watergate" – jak in' t Veld nazywa tę aferę – według raportu sięga dalej: z Cypru szpiegowskie oprogramowanie mogło być „eksportowane dyktaturom i opresyjnym reżimom", a Bułgaria, Irlandia, Czechy i Luksemburg ułatwiały działalność cyberszpiegowskiej branży. Jednocześnie – stwierdza raport – „można bezpiecznie założyć, że wszystkie państwa członkowskie UE zakupiły jeden lub więcej komercyjnych produktów spyware".

Ustalenia w dużej mierze oparte są na pracy dziennikarzy śledczych, bo większość przedstawicieli rządów odmówiła zeznań. Europosłowie nie dostali odpowiedzi na pytania również od Rady Unii Europejskiej, a Komisja Europejska nie podjęła żadnej inicjatywy w związku z aferą. A mogła, nawet jeśli nie zabiegać o moratorium na sprzedaż technologii cybernadzoru, to przynajmniej o wprowadzenie wspólnych dla całej UE zasad jej wykorzystania.

O rozwiązania będzie trudno, bo już samo ustalenie podstawowych faktów nastręcza problemów. Zapowiedzią przyszłych sporów mogą być kontrowersje, jakie raport Sophie in ' t Veld wywołał w samej komisji badającej sprawę. Jej przewodniczący, Holender Jeroen Lenaers, stwierdził, że to zaledwie pierwsza przymiarka i „dopiero ostateczny raport (...) będzie prezentować stanowisko całego Parlamentu Europejskiego".

© AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ GIKOWSKI

Polska bez NBP

MAREK RABIJ

Ostatnia decyzja Rady Polityki Pieniężnej, która po długim i burzliwym posiedzeniu postanowiła nie podnosić stóp procentowych, każe postawić pytanie: czy w Polsce działa jeszcze niezależny bank centralny, mający wpływ na podaż pieniądza?

Utrzymanie stóp na poziomie 6,75 proc. – niezmienionym od września tego roku, kiedy Rada dokonała ostatniej korekty i podniosła stopę referencyjną o 0,25 punktu procentowego – z ulgą przyjęły na pewno tysiące kredytobiorców. Zwłaszcza tych, którzy dwa lata temu uwierzyli opowieściom Adama Glapińskiego, fantazjującego o zagrażającej nam rzekomo deflacji, podczas gdy wszystkie znaki na makroekonomicznym niebie zapowiadały nadejście ostrej inflacji.

NBP nie podnosi stóp, bo nie chce stłamsić resztek popytu w polskiej gospodarce, która w przyszłym roku ma zwolnić tempo wzrostu PKB z tegorocznych 4 do 0,7 proc. Głosu banku centralnego od dawna nie słuchają jednak banki komercyjne, które w międzyczasie wywindowały sobie wskaźnik WIBOR (główny punkt odniesienia dla oprocentowania kredytów) ponad 1 punkt procentowy powyżej stopy referencyjnej NBP. W ten oto sposób kredytobiorcy płacą coraz więcej, a inflacja i tak rośnie, pozbawiając wartości pensji, emerytur i oszczędności blisko 60 proc. Polaków, którzy nie mają żadnego kredytu. ©℗

Z Ostrołęką znowu źle

W RANKINGU NIEUDOLNYCH inwestycji energetycznych Ostrołęka ustępuje miejsca tylko opuszczonym fundamentom elektrowni jądrowej w Żarnowcu. Miała tam powstać elektrownia węglowa, choć już przy podpisywaniu umowy w budżecie brakowało 4 mld zł, a eksperci wyliczali, że całość będzie nierentowna. Skończyło się rozbiórką słynnych dwóch wież i, według szacunków NIK, stratą 1 mld 350 mln zł.

W 2021 r. Orlen, właściciel grupy Energa, zdecydował, że projekt trzeba ratować. Z elektrowni węglowej zrobiono gazową, a budowę za 2,5 mld zł powierzono amerykańskiemu GE Power. Teraz, jak podaje „Gazeta Wyborcza", Amerykanie opuścili plac budowy i żądają 400 mln podwyżki – 16 proc. wartości kontraktu. GE Power deklaruje co prawda „ścisłą współpracę z Energą", ale przyznaje, że na dalsze działania „ma wpływ przede wszystkim rosyjska inwazja na Ukrainę, co przekłada się w nieprzewidziany sposób i wydłuża etap postępowań przetargowych". ©℗ KRZYSZTOF STORY

KRAJ W SKRÓCIE

TUNEL

Nie napiszemy o kolejnych wypowiedziach prezesa Kaczyńskiego w trakcie podróży przez Polskę – choć byłoby o czym. Odnotowujemy natomiast otwarcie tunelu pod Luboniem, im. Marii i Lecha Kaczyńskich. „Gazeta Wyborcza" policzyła, że patronatem nieżyjącej prezydenckiej pary cieszy się już w Polsce 210 miejsc i obiektów – w ten sposób samorządy zdobywają przychylność rządu i środki na inwestycje. Inna sprawa, że budowę tunelu sfinansowano w większości ze środków UE.

GRZEGORZ MOMOT / PAP

MARSZ

W zasadzie można by nie pisać również o Marszu Niepodległości: nie licząc transparentów sprzeciwiających się „ukrainizacji Polski", przebiegł dość spokojnie.

MEDAL

11 listopada prezydent wręczył medale państwowe: Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski za – cytujemy – „wybitne zasługi dla Rzeczypospolitej Polskiej, za osiągnięcia w twórczości artystycznej i kształtowanie patriotycznych postaw Polaków" odznaczono Jana Pietrzaka.

DACH

Z powodu wady konstrukcyjnej dachu zamknięto Stadion Narodowy – i swój ostatni sprawdzian przed mundialem reprezentacja Polski musiała przejść na innym obiekcie. Zdaniem rządowej propagandy winnym usterki jest Donald Tusk, bo obiekt oddano do użytku w 2012 r.

Klapsy: teoretycznie przeciw

CZY PANA/PANI zdaniem stosowanie kar fizycznych przez rodziców wobec dzieci jest w naszym kraju prawnie zakazane? – zapytała polskie matki i ojców, w ramach szóstego już badania postaw wobec kar, Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę. Aż 43 proc. odpowiedziało przecząco bądź „nie wiem", mimo iż zakaz taki istnieje od ponad dekady. Ale jest też powód do optymizmu: 70 proc. pytanych (przy 52 proc. w 2017 r.) zakaz ten popiera.

Gorzej wygląda praktyka: więcej niż co trzeci rodzic (36 proc.) stosuje wobec dzieci klapsy. Dobrze ma się cały tradycyjny system kar – nie tylko fizycznych. Aż 60 proc. rodziców zakazuje używania różnych urządzeń, 57 proc. krzyczy, a nieco ponad 40 proc. stosuje krytykę dzieci i zakaz spotykania się z rówieśnikami.

Wygląda na to, że po latach dyskusji i kampanii społecznych większość rodziców jest świadoma szkodliwości kar. Ale zmiany postaw idą opornie. ©℗ PW

.

Koreańskie kiszonki w polskiej stolicy kapusty

W TLE INFORMACJI o podpisaniu listu intencyjnego w sprawie budowy opartej na południowokoreańskiej technologii elektrowni jądrowej w Pątnowie, a także powiązanych z tym umów o współpracy na linii Seul–Warszawa, przyszły wieści niemal równie istotne. Oto południowokoreański koncern spożywczy Daesang Corp. utworzył spółkę *joint venture* z polską firmą Charsznickie Pola Natury. Potentat na światowym rynku kiszonek (11 fabryk, działających także w Chinach i USA) swój pierwszy zakład w Europie zlokalizuje na terenie Małopolski. W zwanej „stolicą polskiej kapusty" Charsznicy powstawać będzie kimchi – koreańska specjalność z fermentowanej kapusty, chili i soli. Fabryka kiszonek powstanie w ciągu najbliższych dwóch lat; rocznie ma produkować 3 tys. ton kimchi przeznaczonego na rynek europejski.

„Wybrano nas, ponieważ jesteśmy firmą znaną z produkcji kiszonek, a kimchi to tak naprawdę sfermentowana kapusta pekińska. Mamy w tym duże doświadczenie" – powiedziała portalowi LoveKraków.pl Małgorzata Gut, dyrektorka ds. rozwoju rynku Charsznickich Pól Natury. ©℗ MO

TINGSHU WANG / REUTERS / FORUM

GDY RESZTA ŚWIATA próbuje żyć z koronawirusem, Chiny nadal stosują strategię „zero covid" z lockdownami i ścisłą kontrolą. Mimo to skala infekcji osiągnęła najwyższy poziom od wiosny. Wprawdzie w minionym tygodniu nieznacznie złagodzono przepisy (m.in. skrócono kwarantannę dla osób, które miały kontakt z chorymi), ale by móc np. robić normalnie zakupy, ludzie muszą zwykle okazywać negatywny wynik testu w aplikacji i identyfikować się przy wejściu do sklepu, żeby się dało potem ustalić ich kontakty. Na zdjęciu: kontrola za pomocą kodu QR w Pekinie, 11 listopada 2022 r.
©℗ WP / DPA, RTR, SPON

Czy atak na życie codzienne się opłaca

MARCIN ŻYŁA

Co stracimy, jeśli spóźnimy się z działaniem na rzecz klimatu? Dla aktywistów z brytyjskiej organizacji Just Stop Oil, która opowiada się za rezygnacją z paliw kopalnych – wszystko. A to, ich zdaniem, usprawiedliwia radykalne formy protestu.

Kilkunastu członków tej grupy stanęło ostatnio przed sądami w Anglii. Wcześniej przez cztery dni wspinali się na bramownice nad obwodnicą Londynu, blokując tę najbardziej zatłoczoną drogę kraju. Akcja miała zwrócić uwagę na główny postulat Just Stop Oil: wprowadzenie zakazu wydawania nowych pozwoleń na wydobywanie paliw kopalnych.

O organizacji zrobiło się głośno w październiku, kiedy jej aktywiści oblali farbą „Słoneczniki" van Gogha; ich celami były też później „Dziewczyna z perłą" Vermeera i woskowa figura króla Karola III. Jednak to właśnie akcje blokowania dróg wywołały największe kontrowersje. Brytyjska policja twierdzi, że jej funkcjonariusze wzięli już ponad 9 tys. dodatkowych dyżurów, a rząd, że protesty kosztują miliony funtów i godzą głównie w uwięzionych w korkach pracowników sektora usług. Słuchacz przedstawiający się jako kierowca ambulansu powiedział w radiu BBC, że blokada przyczyniła się do śmierci wiezionego przez niego pacjenta.

Według Just Stop Oil atak na życie codzienne i dzieła sztuki to przejaw obywatelskiego nieposłuszeństwa i jedyny sposób na zmuszenie władz do działania. W latach 80. XX wieku z radykalnych akcji uformowała się np. poważana dziś Greenpeace. A nad postulatem Just Stop Oil rozmawiano podczas szczytu klimatycznego COP27 w Szarm el-Szejk – padła propozycja, aby paliwa kopalne traktować jak broń atomową (tj. zakazać ich „proliferacji").

Czy jednak przeprowadzane w szykującej się do zimowego kryzysu energetycznego Europie akcje Just Stop Oil nie okażą się samobójem? Wzywanie w tej sytuacji do natychmiastowego zaprzestania wydobycia węgla może sprawić, że łatka idealistów pozbawionych kontaktu z rzeczywistością, od której ruch klimatyczny chce się uwolnić, zostanie z nim na dłużej. ©℗

OPEC w opałach

DO BERLIŃSKIEGO SĄDU trafił pierwszy w dziejach europejskiego sądownictwa prywatny pozew przeciw OPEC, organizacji skupiającej kraje eksportujące ropę naftową (z siedzibą w Wiedniu). Raptem 50 euro plus odsetki – to kwota, której od OPEC i od kontrolowanej przez Arabię Saudyjską spółki Aramco żąda prawnik i ekonomista Armin Steinbach.

W rozmowie z dziennikiem „Handelsblatt" autor pozwu tłumaczy, że działania krajów OPEC, które postanowiły ograniczyć wydobycie ropy, aby utrzymać jej ceny na wysokim poziomie, to klasyczna zmowa kartelowa, a on sam padł jej ofiarą, płacąc więcej za paliwo do swojego skutera. Steinbach podkreśla, że notowana na giełdzie Aramco musi stanąć przed sądem, w przeciwieństwie do chronionych immunitetem państw. Pozew wygląda na prawniczy happening, ale jego celem nie jest uzyskanie odszkodowania, lecz potwierdzenie przez europejskie sądy, że działania OPEC naruszają wspólnotowe przepisy chroniące interesy konsumentów.

Gdyby w sądzie uznano, że OPEC jest kartelem, wówczas każdy Niemiec mógłby pozwać ją o odszkodowanie – tłumaczy Steinbach. ©℗ MAREK RABIJ

Z ojca na syna

DO NIEDAWNA Uganda uchodziła za oazę wolności i porządku w Afryce. Dziś panujący tu czwartą dekadę władca zamierza przekazać stery potomkowi.

Yoweri Kaguta Museveni objął rządy w 1986 r., wygrywając partyzancką wojnę. Zanim za jego urzędowania kraj okrzyknięto ostoją demokracji, był symbolem tyranii i upadku. Museveni kierował państwem jak partyzancki komendant: rozkazami. Mądrze i sprawiedliwie, ale nie pytając nikogo o zdanie. Ugandę zaczęto stawiać reszcie Afryki za wzór i powoływać się na nią, by zaprzeczyć opinii, iż kontynent jest skazany na klęskę.

Z biegiem lat Museveni stoczył się jednak do roli kacyka, traktującego demokrację jak rytuał. Ostatnie wybory wygrał w 2021 r., mając osiemdziesiątkę na karku. Następne są w 2026 r. i ogłosił, że rządzić już nie musi, a jego syn Muhoozi obwieścił, że widzi siebie w roli prezydenta. Nie byłaby to pierwsza taka sukcesja we współczesnej Afryce: podobne miały miejsce w Togo, Gabonie i Czadzie. ©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

Więcej w internetowej rubryce **Strona Świata**

Chrzest na wszelki wypadek

ARTUR SPORNIAK

W OKNIE ŻYCIA PROWADZONYM PRZEZ ŁÓDZKIE URSZULANKI pojawiło się dziecko. Zanim przyjechała karetka, siostry ochrzciły chłopczyka, nadając mu imię Tadeusz. To nie spodobało się Dorocie Zawadzkiej. „Ciekawe, kto wyraził zgodę na chrzest i jak ma się do tego prawo. Wg mojej wiedzy zakonnice nie miały takiego prawa... ale może nie wiem wszystkiego? To, że dziecko trafiło do tego konkretnego okna życia (przy zakonie), nie powoduje, że dziecko jest własnością Kościoła”– napisała na Facebooku telewizyjna Superniania. Jej wpis wywołał dyskusję. Zawadzkiej zarzucono nierozumienie religijnego znaczenia chrztu. Wskazywano, że prawo świeckie nie reguluje udzielania tego sakramentu. Tomasz Terlikowski zaproponował, by osoby niewierzące tworzyły własne okna życia (wtedy matki będące w dramatycznej sytuacji będą miały wybór).

Dla niewierzących chrzest jest ceremonią włączającą do wspólnoty Kościoła, zatem pośpieszne działanie sióstr mogło zostać odczytane jako „zawłaszczanie” chłopczyka. Z perspektywy urszulanek – spełniły one ważny religijny obowiązek. Jak głosi katechizm: „Gdyby Kościół i rodzice nie dopuszczali dziecka do chrztu zaraz po urodzeniu, pozbawialiby je bezcennej łaski stania się dzieckiem Bożym”. Praktyka chrztu zaraz po urodzeniu pochodzi jednak z czasów wysokiej śmiertelności dzieci przy porodach i „magicznego” traktowania tego sakramentu jako koniecznej przepustki do nieba.

Dziś wskazuje się, że chrzest jest sakramentem wiary. Trudno mówić o niej w przypadku noworodka – to na rodzicach spoczywa obowiązek stworzenia warunków dla religijnego rozwoju dziecka. Urszulanki pozbawiły więc przyszłych rodziców adopcyjnych możliwości świadomego wzięcia odpowiedzialności za rozwój wiary małego Tadeusza przez zorganizowanie jego chrztu. ©℗

Niespieszne prace nad Mszałem

„SKOŃCZYLIŚMY PIERWSZĄ REDAKCJĘ translacyjną całości Mszału Rzymskiego” – ogłosił przewodniczący Komisji KEP ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów bp Piotr Greger. Po czym ocenił, że nowy przekład na język polski ukaże się najwcześniej za cztery lata. Prace trwają już kilkanaście lat. Dlaczego tak długo?

Tekstem źródłowym jest III wydanie Mszału Rzymskiego z 2000 r., a ściślej – jego poprawiona edycja z 2008 r. Od tamtego czasu pojawiły się nowe święta, a przybyło też świętych, na których wspomnienia ułożono nowe teksty. Liturgiści wskazują, że III łacińskie wydanie m.in. precyzuje kwestie koncelebry (czy to jedna msza, czy wiele równoległych?) i podkreślają, że praca nie jest łatwa, ponieważ tłumacz musi dobrze znać ścieżkę rozwoju każdego tekstu liturgicznego. Gotowy tekst muszą zatwierdzić polscy biskupi, a po nich Watykan. „A tam też jest kolejka” – zauważa bp Greger. ©℗ MAM

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

POLITYCZNY CYNIZM

„Chcąc dobrze służyć Ojczyźnie, trzeba zwalczyć w sobie szkodliwego ducha interesu, a wykształcić wrażliwość na dobro wspólne” – mówił w Święto Niepodległości w Gnieźnie prymas abp Wojciech Polak, piętnując cynizm, krótkowzroczność i partyjne wyrachowanie obliczone na zdobycie wyborców.

OBIAD Z PAPIEŻEM

W Światowym Dniu Ubogich 13 listopada papież Franciszek zjadł obiad w towarzystwie 1300 potrzebujących. Wśród zaproszonych do watykańskiej Auli Pawła VI byli bezdomni, migranci i osoby, którym pomagają m.in. rzymskie Caritas i Wspólnota św. Idziego.

GRAŻYNA MAKARA

WYKŁADY MISTRZÓW

W Łodzi z inicjatywy abp. Grzegorza Rysia dwa razy w roku odbywać się będą „Wykłady mistrzów”. Cykl otworzy 19 listopada teolog z Pragi ks. prof. Tomáš Halík (na zdjęciu) wykładem „Synodalność – nowa reformacja?”. Kolejny – w marcu – wygłosi fizyk Krzysztof Meissner.

NOGA Z GAZU

Synod Ewangelickiego Kościoła w Niemczech podjął uchwałę o konieczności przestrzegania przez biskupów w podróżach związanych z duszpasterstwem ograniczeń prędkości na autostradach do 100 km/h, a na drogach krajowych do 80 km/h. Chodzi o proekologiczne zmniejszenie emisji spalin.

Benedykt XVI stanie przed sądem

PAPIEŻ EMERYT otrzymał pozew cywilny w sprawie ks. Petera H., seryjnego gwałciciela dzieci, którego w 1980 r. przyjął do swej diecezji (Monachium), mimo oskarżeń o czyny popełnione w diecezji Essen. Po przeniesieniu ksiądz pedofil dalej dopuszczał się przestępstw i nie nałożono na niego żadnych sankcji, nawet po wyroku skazującym (w 1986 r.), choć za to odpowiadał już następca Ratzingera – kard. Friedrich Wetter.

Pobłażliwość władz kościelnych ujawnił raport z lutego 2022 r. Benedykt XVI tłumaczył wtedy, że nie był obecny podczas podejmowania decyzji o inkardynacji pedofila do diecezji, a gdy eksperci badający archiwa uznali to za mało prawdopodobne, przyznał się do pomyłki, choć nadal zapewniał, że nie był świadom oskarżeń.

Jedna z ofiar Petera H. (zmarłego w 2020 r.) zapowiedziała walkę o odszkodowanie, a jej prawnicy złożyli „pozew deklaratywny” (niem. *Feststellungsklage*). Oznacza to, że sąd nie będzie rozstrzygał o winie pozwanych (Ratzingera, Wettera i obu diecezji), ma jedynie ustalić, jaką wiedzą dysponowali i jakie informacje sobie przekazywali. Procesy deklaratywne są pomocne w ewentualnym dalszym formułowaniu roszczeń, także w sprawach przedawnionych, ale pozwani mają prawo odmówić w nich udziału (ich wątek jest wówczas pomijany). Benedykt XVI zgodził się złożyć zeznania i ma je przesłać do sądu w ciągu 3 miesięcy. Nie wiadomo, w jaki sposób będzie uczestniczył w dalszej części procesu – osobiście (zdalnie) czy przez pełnomocnika.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

VATICAN NEWS

KULTURA W SKRÓCIE

BONN

Dziewięcioro europejskich pisarzy – wśród nich Szczepan Twardoch – wzięło udział w spotkaniu z prezydentem Niemiec Frankiem-Walterem Steinmeierem. Dwudniowe, zamknięte dla prasy rozmowy w Bonn dotyczyły przyszłości UE w obliczu kryzysów wywołanych przez wojnę w Ukrainie. Twardoch na łamach niemieckojęzycznej prasy wielokrotnie zabierał głos w sprawie stosunku Niemiec do rosyjskiej inwazji.

BYDGOSZCZ

Mateusz Krzyżowski i Piotr Pawlak zakwalifikowali się do półfinału XII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Ignacego Jana Paderewskiego w Bydgoszczy. Finał konkursu odbędzie się 18 i 19 listopada, a koncert laureatów – 20 listopada w sali koncertowej Filharmonii Pomorskiej.

KATOWICE

Złożoną z 83 rzeźb kompozycję „Bambini" Magdaleny Abakanowicz będzie można oglądać w holu centralnym Muzeum Śląskiego w Katowicach do 7 stycznia 2024 r. „Bambini" to praca stworzona na przełomie lat 1998 i 1999 do ogrodów Palais-Royal w Paryżu. Po raz pierwszy była eksponowana na słynnej wystawie „Abakanowicz on the Roof" na dachu Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku.

RADOMSKO

W ostatni weekend listopada w Miejskim Domu Kultury w Radomsku odbędzie się festiwal poświęcony twórczości braci Różewiczów. W programie warsztaty teatralno-filmowe, spektakle, spacery i dyskusje.

AFP / EAST NEWS

24 BRĄZOWE POSĄGI I POSĄŻKI, m.in. Apolla, Hygiei, rzymskich cesarzy, matron i dzieci, odkryli włoscy archeolodzy w San Casciano dei Bagni niedaleko Sieny. Wyciągnięto je spod kamiennych kolumn, którymi przykryty został jeden z basenów kompleksu termalnego z V w. n.e. po tym, jak wyłączono go z użytku. Same rzeźby powstały między II a I w. p.n.e., towarzyszyły im tysiące monet oraz etruskie i łacińskie inskrypcje. To największe włoskie znalezisko archeologiczne od odkrycia tzw. brązów z Riace w 1972 r. Brąz był cennym materiałem, który wielokrotnie przetapiano, tworząc nowe przedmioty. Te się zachowały prawdopodobnie dlatego, że zdeponowano je jako dar dla bogów, a beztlenowe środowisko zamulonego basenu spowolniło procesy korozyjne. © KAMIL KOPIJ

Gdy człowiek jest ładny, to wydaje się mądry

PREMIA ZA PIĘKNO – tak psychologowie nazywają zjawisko przyznawania lepszych ocen lub nagród osobom bardziej atrakcyjnym. W literaturze naukowej znaleźć można wiele analiz, które identyfikowały to zjawisko w szkole, polityce czy zakładach pracy. Adrian Mehic z Uniwersytetu w Lund postanowił sprawdzić, jak na to zjawisko wpłynęła pandemia, podczas której uczelnie przeszły na nauczanie zdalne.

W badaniu sprawdzano wyniki 307 studentów i studentek, a atrakcyjność każdego i każdej z nich – na podstawie publicznie dostępnych zdjęć – oceniało 37 sędziów. Przed pandemią osoby postrzegane jako bardziej atrakcyjne dostawały lepsze oceny z egzaminów ustnych. W pandemii zjawisko zmalało: podczas zdalnych zajęć, gdy wykładowcy mieli mniejsze szanse na interakcję ze słuchaczami, przestali faworyzować atrakcyjne kobiety. U mężczyzn premia za piękno występowała nadal. Dlaczego? Być może ci atrakcyjni są też bardziej pewni siebie, a to przekładało się na oceny. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Efekt Trumpa

NIBY WIADOMO, że słowa wypowiadane przez polityków mają znaczenie, ale czasem dobrze to potwierdzić ilościowo. Brytyjskie Centre for Economic Policy Research opublikowało właśnie wyniki analizy 35 milionów kontroli kierowców przeprowadzonych przez amerykańską drogówkę w latach 2015-2016. Był to okres kampanii wyborczej, a badacze zestawili te statystyki z danymi o 141 wiecach wyborczych Donalda Trumpa. Okazało się, że w hrabstwach – z grubsza odpowiednikach naszych powiatów – w których przemawiał Trump, przez okres kilku tygodni po jego wystąpieniu wzrastała częstość zatrzymań kierowców pochodzenia afroamerykańskiego – średnio niemal o 6 proc.

Wyniku tego nie udało się wytłumaczyć innym zachowaniem tych kierowców po wiecu – co wpłynęłoby np. na częstość wypadków albo przekroczeń prędkości. Wygląda na to, że zmiana wystąpiła po stronie policji: „efekt Trumpa" był też silniejszy w tych samych hrabstwach, w których w innym badaniu stwierdzono wyższy stopień nierównego traktowania osób czarnych przez policję. Zbadano również treść wystąpień Trumpa i okazało się, że samo tylko nawiązywanie do kwestii rasowych potrafi uczulić policjantów na kolor skóry kierowców i pobudzić ich nieufność. Im więcej takich nawiązań, tym silniejszy efekt. © ŁUKASZ LAMŻA

TEMAT TYGODNIKA

NAJGORSZY MUNDIAL ŚWIATA

Piłkarskie mistrzostwa w Katarze są skandalem na tylu poziomach, że nie wiadomo, od którego zacząć. Chyba że od konstatacji, iż są jedynie lustrem, w którym odbija się współczesny świat.

MICHAŁ OKOŃSKI

Najprościej wyrazili problem zwykli kibice, choć mogłoby się wydawać, że to oni są głównymi winowajcami: „Piętnaście tysięcy trupów za pięć tysięcy siedemset sześćdziesiąt minut futbolu. Hańba!" – głosiły transparenty rozwieszone na trybunach dwa tygodnie przed rozpoczęciem mundialu przez tradycyjnie najbardziej świadomych i zaangażowanych społecznie fanów Bundesligi.

„Kafala" znaczy śmierć

Tak: żeby zorganizować pośrodku pustyni największą futbolową imprezę świata, trzeba było nie tylko wywrócić do góry nogami niezmienny od dekad kalendarz sportowy, w którym mundiale zawsze rozgrywało się latem, po zakończe-

EAST NEWS

Architektoniczna wizualizacja stadionu na mistrzostwa świata; po zakończeniu imprezy obiekt ma zostać rozebrany.

niu rywalizacji w krajowych ligach. Owszem, latem piłkarze (żywi ludzie przecież, a nie maszyny, nawet jeśli świetnie serwisowane i bardzo kosztowne) mieliby najpierw czas na odpoczynek, a potem spokojne przygotowanie do najważniejszego może występu w całej karierze sportowej, w Katarze zaś pierwszy mecz rozegrają tydzień po przerwaniu zmagań ligowych lub pucharowych, które np. w Anglii będą musieli wznowić już dzień po zakończeniu turnieju. No ale przecież latem pośrodku pustyni jest zbyt gorąco.

Przede wszystkim jednak, żeby zorganizować mundial w Katarze, trzeba było wybudować pośrodku tej pustyni stadiony (a także drogi, hotele dla kibiców itd.), co kosztowało życie owych piętnastu tysięcy ludzi. Skuszeni fałszywymi obietnicami, uciekali od biedy i bezrobocia z Bangladeszu, Nepalu czy Indii, po czym wpadali w kleszcze niewolniczego systemu, zwanego *kafala*. Tracili paszporty i prawo do urlopu. Pracowali w warunkach urągających standardom bezpieczeństwa i higieny pracy, w straszliwym upale. Ginęli w wypadkach, z odwodnienia, udarów, chorób zakaźnych. Organizacje praw człowieka alarmowały o ich tragedii w zasadzie od początku. Dopiero w ostatnich latach udało się doprowadzić do względnej poprawy sytuacji.

Dodajmy, że większość obiektów, które budowali, jest Katarowi niepotrzebna, a w związku z tym zostanie po zakończeniu mistrzostw rozebrana. I że choć organizatorzy imprezy deklarowali dążenie do zeroemisyjności, oparcie na odnawialnych źródłach energii itd., to ich opowieści o „ekologicznym mundialu" należy, jak większość związanej z tą imprezą propagandy, włożyć między bajki.

W katarskim raju

À propos propagandy: na organizację mundialu trzeba było wydać ponad 200 mld dolarów, a w kwocie tej i tak nie mieszczą się łapówki, przeznaczone przez władze Kataru na skorumpowanie działaczy FIFA w trakcie podejmowania decyzji o przyznaniu im mistrzostw, a także sumy wydawane później na goszczenie celebrytów futbolu typu David Beckham, by wyrażali pochlebne opinie na temat katarskiego „raju". ↦

↦ Rzecz nie ogranicza się tylko do celebrytów: również udającym się na mundial kibicom oferuje się wynagrodzenie za wygłaszanie w mediach społecznościowych pochlebnych opinii na temat gospodarza.

Last but not least: żeby zorganizować mundial, trzeba było zignorować kwestię praw osób homoseksualnych. Choć władze światowego futbolu od lat wyciągają równość na sztandary, powierzyły mistrzostwa krajowi, w którym nieheteronormatywność jest nielegalna i grozi kilkuletnim więzieniem. Współzałożyciel wspierającej reprezentację Anglii grupy kibiców LGBT+ „Three Lions Pride" mówił mediom, że powinien móc pojechać z drużyną wszędzie, gdzie chce, bez obaw o bezpieczeństwo. Od brytyjskiego szefa dyplomacji Jamesa Cleverly'ego usłyszał, że powinien wykazać „odrobinę elastyczności i kompromisu", a także „okazać szacunek Katarczykom, którzy starają się, aby ludzie mogli być sobą i cieszyć się futbolem".

Lewandowski jako broń

Dlaczego w takim razie mistrzostwa odbywają się w Katarze? Dlatego, że Katar ma nie tylko pieniądze, ale także dobre powody, by utrwalić świadomość swojego istnienia wśród światowej opinii publicznej.

O jego historii, naznaczonej konfliktami z potężnym sąsiadem – Arabią Saudyjską, która w ostatnich paru latach usiłowała złamać Katarczyków gospodarczą izolacją – pisze na kolejnych stronach Wojciech Jagielski. Organizacja mundialu to dla emira Tamima działanie z dziedziny dyplomacji i bezpieczeństwa.

Poprzez goszczenie wydarzeń sportowych o charakterze globalnym (wcześniej: mistrzostw świata w piłce ręcznej, lekkoatletyce, tenisie stołowym, podnoszeniu ciężarów, boksie, kolarstwie; wkrótce odbędą się tu mistrzostwa w judo i pływaniu), a także naturalizację sportowców z zagranicy, maleńkie państwo chce zbudować swoją rozpoznawalność i pozytywny wizerunek.

Katarczycy sponsorują też sport w innych krajach. Ich pieniądze pozwalają budować potęgę klubu Paris Saint-Germain (gdzie gra największa francuska gwiazda Kylian Mbappé, a także równie znani piłkarze, Brazylijczyk Neymar i Argentyńczyk Messi). Wcześniej inwestowali w reklamy pojawiające się na koszulkach słynnej Barcelony. „Społeczeństwa na całym świecie muszą oswajać się z pojęciem dyplomacji sportowej. Ta kwestia powinna być również przedmiotem rozważań w Polsce, aby wykorzystać potencjał polityczny, drzemiący w organizowaniu imprez sportowych, sponsoringu sportowym oraz osiąganiu sukcesów przez reprezentantów kraju" – piszą w tym kontekście autorzy raportu „Katar. Geopolityka i mistrzostwa świata", przygotowanego przez Instytut Nowej Europy.

Przekładając na nasze: są kraje i firmy, dla których gwiazdy kalibru Roberta Lewandowskiego to użyteczne narzędzie. Jeśli nie wręcz – broń.

Przyjaciele piorą

„Etihad" czy „Emirates" to z kibicowskiej perspektywy nazwy wielkich stadionów albo marki reklamowane na koszulkach czołowych europejskich drużyn, co odrywa je tym samym od pytań o stan praw człowieka w państwie, z którego te firmy lotnicze pochodzą.

Bo Katarczycy nie są przecież jedyni. Szejkowie ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich od lat są właścicielami Manchesteru City, gdzie pod wodzą trenera Pepa Guardioli realizuje się najciekawszy pewnie futbolowy projekt świata. Niedawno szejkowie z Arabii Saudyjskiej kupili Newcastle United. O tym, jak inwestycja Romana Abramowicza w inny angielski klub, Chelsea, przyniosła temu związanemu z Władimirem Putinem oligarsze drogę na brytyjskie salony, wiadomo od lat. Catherine Belton, dziennikarka śledcza i autorka książki „Ludzie Putina. Jak KGB odzyskało Rosję i zwróciło się przeciwko Zachodowi", pokazuje, że klub miał być przynętą, pozwalającą Rosji wejść do Izby Lordów. Efekt? W Londynie „wpływ Rosji na brytyjskie życie publiczne znacznie przekracza to, czego można by się spodziewać po samym tylko rynku nieruchomości. Ludzie Putina skutecznie spenetrowali nasz establishment" – mówiła w rozmowie z „Tygodnikiem" Belton, gdy Putin wydał rozkaz ataku na Ukrainę.

Trudno nie zauważyć, że w ostatnich latach po ową „dyplomację sportową" – czy może lepiej: po *sportwashing*, metodę, za pomocą której państwa czy korporacje próbują „wyprać" swój wizerunek – częściej sięgały satrapie i dyktatury niż kraje dojrzałych demokracji. Letnie i zimowe igrzyska olimpijskie odbywały się w tym stuleciu w Chinach, mimo prześladowań przez władze tego kraju Tybetańczyków i Ujgurów. W 2018 r. mundial zorganizowano w Rosji, gdzie szef FIFA Gianni Infantino, wręczając Putinowi Order Przyjaźni, plótł coś o tym, że dzięki owemu byłemu kagiebiście Rosja jest i zostanie na zawsze „przyjacielem całego świata".

Jak ta „przyjaźń" wygląda w praktyce, przekonują się nie tylko mieszkańcy Ukrainy. Nawet w dziedzinie rywalizacji sportowej, w celu zapewnienia Rosjanom przewagi podczas zimowych igrzysk w Soczi (2014 r.), w kraju uruchomiono program faszerowania olimpijczyków niedozwolonymi środkami dopingowymi.

Co kogo brzydzi

Pewnie trudno się dziwić, że skonfrontowani z taką wiedzą reagujemy oburzeniem i obrzydzeniem. I że w ślad za naszymi emocjami często idą wezwania do bojkotu imprezy – czy to przez sportowców, czy przez kibiców, którzy niemałą część najbliższego miesiąca mają przecież spędzić na jej oglądaniu. W końcu czy to nie przez ich zainteresowanie sportem dochodzi do wszystkich tych tragedii?

„Podstawowe pytanie brzmi: »Czy piłkarskie mistrzostwa świata są naprawdę warte cierpień jakiejkolwiek jednostki?« Nie sposób przed nim uciec, gdy człowiek spaceruje po Dosze albo którymś z tutejszych stadionów" – pisze Miguel Delaney, który jako dziennikarz „Independenta" był w Katarze już podczas czerwcowego losowania grup, w których toczyć się będzie rywalizacja.

Niektórzy zwracają jednak uwagę na hipokryzję owych wezwań do bojkotu mundiali czy igrzysk. Na fakt, że wypisujemy je na ekranach produkowanych w Chinach smartfonów i nosząc ubrania opatrzone metką „made in China". „Kto protestował, gdy w grudniu 2021 prezydent Andrzej Duda poleciał do Dohy na Polsko-Katarski Okrągły Stół Gospodarczy, by podziękować za skroplony gaz dostarczony do Terminalu im. Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu?" – pyta jadący do Kataru jako korespondent „Gazety Wyborczej" Rafał Stec. Dlaczego nasze wzmożenia moralne koncentrują się

wokół imprez sportowych, a na co dzień wygrywa przywiązanie nie tylko do bezpieczeństwa, ale także do wygody, jeśli nie wręcz luksusu?

Nie moja wina

Możemy oczywiście wskazywać, że z Katarem robi interesy cały świat, a jego pieniądze są wszędzie – więcej pisze o tym Wojciech Jagielski. W europejskich mediach sporo było informacji o tym, jak np. do inwestycji w deficytowy wówczas Paris Saint-Germain namawiał Katarczyków kibicujący temu klubowi prezydent Nicolas Sarkozy. Dziś nad Sekwaną należą do nich również liczne hotele, domy mody czy kolekcje sztuki, a Francja z kolei znalazła się w licznym gronie krajów, które sprzedają im broń.

Zarzut, który władzom światowej piłki postawił niegryzący się w język selekcjoner reprezentacji Holandii Louis van Gaal („FIFA mówi, że mamy grać w Katarze, żeby wesprzeć »rozwój tamtejszego futbolu«, ale to przecież kompletna bzdura. Nie chodzi o żaden rozwój, chodzi o pieniądze i interesy...”), można więc postawić przywódcom większości państw, które potrzebują gazu ziemnego. Ironia losu polega tylko na tym, że – jak zauważył na łamach „Guardiana” Barney Ronay – o ile potęgi kolonialne w XIX w. wykorzystywały piłkę nożną jako przynętę, narzędzie i sposób na zorganizowanie miejscowej ludności, to teraz proces ów zachodzi w odwrotną stronę.

> W wezwaniach do bojkotu jest wiele hipokryzji. Dlaczego nasze wzmożenia moralne koncentrują się wokół mundialu, a na co dzień wygrywa przywiązanie do bezpieczeństwa i wygody?

Wygląda więc na to, że choć – jak zauważył przed laty ukraiński pisarz i fan Szachtara Donieck Serhij Żadan – „kibic niekoniecznie powinien być aktywistą społecznym czy analitykiem politycznym”, to „o polityce i tak przychodzi jednak mówić, nawet kiedy chodzi o piłkę nożną”. Z poprzednich akapitów wynika niezbicie, że sport nie jest apolityczny. Ze względu na siłę towarzyszących mu emocji, niezwykłość proponowanego przezeń spektaklu, globalną widownię, a wreszcie na fakt, że zakończenie owego spektaklu za każdym razem pozostaje nieznane, w jego trakcie zaś dochodzi wciąż do niespodziewanych zwrotów akcji – wielu światowych przywódców próbuje i próbowało ocieplać swój wizerunek dzięki sukcesom lokalnych wyczynowców.

Pytanie tylko, czy sport – nawet ten nieznośnie skomercjalizowany – wciąż nie jest większy niż polityka. Czy nie broni się przed jej manipulacjami, jak Jesse Owens – czterokrotny zdobywca złotego medalu na igrzyskach w nazistowskim ↦

REKLAMA

Prestige MJM · BILET SERWIS · REGENT WARSAW HOTEL · RZECZPOSPOLITA · TYGODNIK POWSZECHNY · VIVA! · Claudia · onet · proart · VIXON · ams

↦ Berlinie – przed rasistowskimi rojeniami Hitlera.

Może to zresztą z marzenia o czystym sporcie biorą się także wezwania do bojkotu?

Nie moja wina

Są inne pytania. Kiedy sam sporządzałem przedmundialowy rachunek sumienia na łamach magazynu „Kopalnia", przypomniało mi się zdanie Tomasza Stawiszyńskiego, że „jedną z najbardziej podstępnych strategii systemu późnego kapitalizmu – systemu opartego na konserwowaniu hierarchii i działającego na korzyść tych, którzy już są bogaci i potężni – jest wmawianie poczucia odpowiedzialności za wszystko jednostkom, które realnie mają jej niewiele".

Podczas wywiadu dla „Tygodnika" rozmawialiśmy m.in. o katastrofie klimatycznej: „Oczywiście nie mówię, że mamy nie segregować śmieci, wskazuję tylko na nieadekwatność tego kategorycznego imperatywu, który rodzi poczucie winy przy zakupie jakiegokolwiek dobra zapakowanego w plastikową torebkę", tłumaczył nasz felietonista. I dodawał: „Powiedzenie, że jest się bezradnym i pozbawionym sprawczości – że się nie uratuje planety i że się nie przyjmuje odpowiedzialności za jej los – brzmi jak prowokacja. Ale ja naprawdę nie jestem w stanie wziąć na siebie tej odpowiedzialności – podobnie jak nie jestem w stanie wziąć na siebie odpowiedzialności za los ludzi na granicy. Oraz za całą resztę zła i okrucieństwa w świecie".

> Ciesząc się mundialem,
> mogę pamiętać
> o złożoności świata.
> O ludzkiej krzywdzie.
> O tym, że ludźmi są też ci,
> którzy biegają po boisku.
> I o tym, co do mnie należy.

Zarzuciłem mu wtedy sianie defetyzmu, ale gwałtownie się ze mną nie zgodził. „Myślę nawet, że samo powiedzenie głośno, że ratowanie planety jest bardziej zadaniem kilkudziesięciu najbardziej trujących państw i globalnych koncernów niż moim czy twoim, będzie dla kogoś źródłem ulgi" – powiedział, a ja wyszedłem z tamtej rozmowy z przekonaniem, że dla tych stu korporacji pompujących 80 procent gazów cieplarnianych w atmosferę jest naprawdę korzystne, żebyśmy to my czuli się odpowiedzialni za kryzys klimatyczny. I żebyśmy raczej stowarzyszali się w mediach społecznościowych przeciwko nieekologicznym postawom sąsiadów, którzy palą śmieciami, niż w końcu zagłosowali na polityków trafnie diagnozujących problem i mogących wprowadzić systemowe zmiany.

Przyznam, że od tamtej rozmowy jakoś łatwiej mi poradzić sobie z kwestią osobistej odpowiedzialności za cierpienie i śmierć robotników budujących stadiony pośrodku pustyni. A na pytanie, czy faktycznie najbliższy mundial znów może wygrać Brazylia, odpowiadam, że wygrał go Katar.

Lustereczko, powiedz przecie

Napisałem, że mundial jest jedynie lustrem, w którym odbija się współczesny świat. Można przy jego pomocy pokazywać geopolityczne interesy, w których dobijaniu przez państwa i korporacje prawa człowieka schodzą na daleki plan. Można pokazywać chciwość – choćby tę, z jaką uwłaszczona na piłce nożnej grupa działaczy FIFA kupczy z kolejnymi dyktatorami, a dla której kibice są co najwyżej mięsem armatnim. Nie miejmy jednak złudzeń: także na sprzeciwie wobec mundialu można zarobić, co pokazała promocja pewnej marki piwnej, używającej haseł typu „Najpierw Rosja, potem Katar, czekamy na Koreę Północną" i określającej się mianem „dumnego antysponsora" imprezy. Antysystemową kampanię przygotował jeden z największych gigantów w branży reklamowej...

Można również, mówiąc o mistrzostwach w Katarze, analizować naturę mediów społecznościowych, w których królują łatwe wzmożenia, bojkoty i lincze. Podlegają im zresztą także piłkarze, naprawdę Bogu ducha winni temu, że przez całe swoje życie marzyli o wzięciu udziału w imprezie, w której sukces zapewniał sportową nieśmiertelność (nie tylko kibice pamiętają nazwiska Pelego, Maradony, Beckenbauera), a o której ulokowaniu w Katarze zdecydowano ponad ich głowami, kilkanaście lat temu, skądinąd w gronie przedstawicieli związków sportowych pochodzących z krajów w większości wolnych i demokratycznych.

Można wreszcie dostrzec naturę własnych uprzedzeń, związanych nie tylko ze światem sportu. W jednym z naj-

POŻEGNANIE

7 listopada odeszła od nas ukochana

Ś.†P.

Eleonora Zbierska

Urodzona w Mieczyszczowie, pod Brzeżanami,
w Ukrainie, 16 września 1934 r.
Przesiedlona wraz z rodziną w 1945 r. do zachodniej Polski.
Absolwentka historii KUL,
uczennica prof. Jerzego Kłoczowskiego.

Pogrzeb odbył się w Gdańsku we wtorek 15 listopada,
o godzinie 12.30, w nowej kaplicy na cmentarzu Srebrzysko.

Tego samego dnia o godzinie 17.00 w cerkwi greckokatolickiej
w Gdańsku (ul. Zaułek św. Bartłomieja) odbyła się
ekumeniczna msza św. żałobna.

O czym zawiadamia syn Paweł z Rodziną

ciekawszych tekstów mundialowej „Kopalni”, pisanym zresztą z feministycznej perspektywy, Ewa Pawlik zauważa, że Katar sprzed kilku lat to nie to samo państwo co dzisiaj, a my patrzymy na niego kolonialnym okiem. Walka o równouprawnienie trwa tam od lat, ponad 80 proc. obywatelek przed 40. rokiem życia ma wyższe wykształcenie, a 36 proc. pracuje we własnych firmach. Nie usprawiedliwiając żadnego naruszenia praw człowieka, nie godząc się z nierównościami, wypada zauważyć i to, że tempo zmian w tym nomadycznym jeszcze pół wieku temu społeczeństwie jest błyskawiczne.

Co dzisiaj mogę

Ciesząc się mundialem, mogę pamiętać o złożoności świata. O ludzkiej krzywdzie. O tym, że ludźmi są też ci, którzy biegają po boisku. I o tym, co do mnie należy.

Co ciekawe, organizacje walczące o prawa człowieka nie wzywają dziś do bojkotu. One wiedzą, że przedstawiciele świata futbolu – przede wszystkim wielkie gwiazdy, ale także osoby piszące o tym sporcie – mogą wykorzystać swoją pozycję, by domagać się śledztwa w sprawie śmierci robotników budujących stadiony i rekompensat dla ich rodzin.

Niektóre drużyny już zaangażowały się w kampanię na ten temat. Reprezentanci Niemiec pozowali do przedmeczowej fotografii w koszulkach, na których litery ułożyły się w napis „*Human Rights*”. Norwegowie, z ich wielką gwiazdą Erlingiem Haalandem, rozgrzewali się w koszulkach z napisem „*Fair play for migrant workers*”. „Pracownicy, którzy ulegli wypadkom, i rodziny tych, którzy zginęli podczas przygotowań do mundialu, powinni zostać wzięci pod opiekę” – grzmiała podczas ostatniego kongresu FIFA Lise Klaveness, szefowa norweskiej federacji piłkarskiej.

Tak, tak, w Norwegii na czele tej instytucji stoi kobieta, 40-letnia prawniczka, specjalistka od prawa pracy, a w przeszłości wieloletnia reprezentantka kraju. Takie osoby i takie zmiany również można dostrzec w lustrze piłkarskich mistrzostw świata w Katarze.

Byle chcieć popatrzeć uważniej.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

PATRICK SMITH / GETTY IMAGES

Na stadionie Kalifa w Dosze, październik 2019 r.

Katar: cena bezpieczeństwa

WOJCIECH JAGIELSKI

Mundial pierwszy raz odbędzie się w kraju arabskim i muzułmańskim. A niewiele brakowało, by rozegrano go w oblężonej przez wrogich sąsiadów twierdzy.

Jeszcze dwa lat temu Katar, gospodarz piłkarskich mistrzostw świata, wciąż znajdował się w blokadzie, a Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Bahrajn i sprzymierzony z nimi Egipt groziły mu wojną. Wszystkie te państwa obwiniały go o wspieranie wywrotowców i muzułmańskich fanatyków na Bliskim Wschodzie, a także komitywę z nieprzyjaciółmi Arabów: Iranem i Turcją. Zerwały z Katarem stosunki, wprowadziły blokadę gospodarczą i handlową, zamknęły granice powietrzne i morskie, a Arabia Saudyjska także lądową – jedyną, jaką Katar posiada i przez którą sprowadzał wszystko, co było mu potrzebne do życia.

Zapachniało nową wojną futbolową, groźniejszą niż ta sprzed pół wieku między Hondurasem i Salwadorem, bo z ropą naftową i muzułmańską rewolucją w tle. Znany z gwałtownego usposobienia saudyjski książę koronny Mohammed bin Salman, który w zastępstwie sędziwego ojca faktycznie rządzi królestwem, zamierzał nawet najechać Katar zbrojnie, ale powstrzymali go Amerykanie. Gdyby nie oni, katarski Dawid w pojedynku z arabskim Goliatem nie miałby pewnie szans. ↦

Zanim spadła manna

↦ Katar to niewielki cypel wyrastający z Półwyspu Arabskiego – skrawek piaszczystej i kamienistej ziemi, sto kilometrów ze wschodu na zachód i dwieście z północy na południe. Katarczycy przywędrowali tu ze swoimi wielbłądami i muzułmańską wiarą z oaz Nadżdu, kolebki dzisiejszej Arabii Saudyjskiej. Od początków XIX w. władzę nad nimi sprawuje ród Al-Thanich, a zanim ropa naftowa i gaz ziemny przemieniły ich w bogaczy, Katarczycy żyli skromnie, utrzymując się z kupiectwa, hodowli koni i wielbłądów, połowu ryb i pereł oraz wyrobu purpury i kadzidła, które w dawnych czasach miało wartość większą nawet od złota.

Saudowie uważali Katarczyków za młodszych kuzynów, winnych starszym posłuszeństwo. Arabia Saudyjska, większa, ludniejsza, bogatsza, a dodatkowo będąca ojczyzną Proroka, dla wszystkich na półwyspie pozostaje naturalną przywódczynią i przewodniczką. Pierwszeństwo Saudów zostało jeszcze umocnione przez bogactwo, jakie spadło na nich, gdy niespełna sto lat temu w Zatoce Perskiej odkryto największe na świecie złoża ropy. Saudowie wymagali więc od sąsiadów uzgadniania z nimi polityki zagranicznej i kopiowania porządków obowiązujących w ich kraju. Dwaj pierwsi katarscy emirowie (kraj uzyskał niepodległość od Wielkiej Brytanii w 1971 r.) znali swoje miejsce w szeregu.

Wszystko się jednak zmieniło, gdy nastał trzeci emir, Hamad, który pod nieobecność ojca, bawiącego na wakacjach w Alpach, w 1995 r. sam zajął katarski tron.

Błękitne złoto

Ze wszystkich pól naftowych Zatoki Perskiej katarskie okazały się najuboższe. Kiedy zatem w pierwszym roku niepodległości u wybrzeży Kataru odkryto jedne z największych na świecie pokładów gazu ziemnego, mieszkańcy emiratu byli rozczarowani. Liczyli przecież na „czarne złoto", które w mgnieniu oka biedaka przemieniało w bogacza.

Emir Hamad w gazie dostrzegł jednak dziejową szansę. Za petrodolary z rządowego skarbca kazał budować instalacje do jego skraplania i terminale portowe. Kupował tankowce. Był to strzał w dziesiątkę. Gaz okazał się paliwem równie cennym jak ropa i w zaledwie 10 lat Katar wyrósł na najbogatszy kraj świata (rdzenni Katarczycy stanowią ledwie dziesiątą część niespełna trzymilionowej ludności; pozostali mieszkańcy – ale nie obywatele – to cudzoziemcy, zarówno najwyższej klasy fachowcy z Zachodu, jak robotnicy z Azji i Afryki).

> W czasie blokady Katarczycy sprowadzili odrzutowcami 20 tys. krów, by na sztucznie nawodnionych pastwiskach i w klimatyzowanych oborach dostarczały świeże mleko.

Część gazowych zysków emir kazał gromadzić w specjalnym, strategicznym funduszu (jego wysokość szacuje się dziś na ponad 300 mld dolarów), który miał pomnażać bogactwo i uniezależnić los Kataru od „błękitnego" i „czarnego złota". Na polecenie władcy jego ministrowie kupowali udziały w zagranicznych bankach i koncernach, nieruchomości w Londynie i w Paryżu, w Cannes i Nowym Jorku, a nawet klub piłkarski Paris Saint-Germain.

Potrzebny wszystkim

„Skoro jesteśmy tak bogaci, powinno być nas stać także na niezależność" – postanowił Hamad. Problem w tym, że marzenia Katarczyka o samodzielności groziły starym porządkom, zapewniającym Saudom pierwszeństwo na półwyspie. Rok po jego intronizacji, wraz z sojusznikami z Abu Zabi i Bahrajnu postanowili więc obalić młodego emira i przywrócić na tron ojca. Operacja została odwołana w ostatniej chwili przez starego emira, który uznał, że wycofa się z polityki. Hamad nigdy o tym nie zapomniał: uznał, że im więcej Katar będzie mieć przyjaciół, tym będzie bezpieczniejszy. „Z nikim nie wojować, za to wszystkim być potrzebnym" – stało się hasłem katarskiej dyplomacji.

Zaczął od Stanów Zjednoczonych. Już podczas pierwszej wojny w Zatoce, gdy Irak najechał na Kuwejt, udzielił wsparcia Amerykanom przybyłym Kuwejtczykom z odsieczą. Przysłużył się także w 2003 r., podczas kolejnej inwazji na Irak udostępnił bazy wojenne, w tym Al-Udeid, która stała się największą bazą USA na całym Bliskim Wschodzie. Z Al-Udeid amerykańskie B-52 startowały do nalotów na Irak, Afganistan, a potem także na Syrię.

Centrum świata

Ale wchodząc w przymierze ze Stanami, Katar nie wyrzekł się dobrego sąsiedztwa z Iranem, ich najgorszym wrogiem, ani z talibami. „Dlaczego tak dobrze żyjemy z Iranem? Ano dlatego, że dzielimy z nimi największe na świecie złoże gazu ziemnego" – wyjaśniali Katarczycy.

Emir Hamad zawarł również przyjaźń z Turcją, której także pozwolił otworzyć u siebie bazę wojenną. Arabia Saudyjska, która Iran i Turcję uważa za rywali do pierwszeństwa na Bliskim Wschodzie, uznała to za naruszenie jej wyłącznej strefy wpływów, a także za wyzwanie rzucone przez mikrusa zza miedzy.

A Katarczyk rozgłaszał, że wszystkim chce służyć pomocą i godzić ze sobą najgorszych wrogów. Pomagał Palestyńczykom, godził Hamas z Al-Fatahem, ale rozmawiał też z Izraelem i pośredniczył w jego układach z libańskim Hezbollahem. Afgańscy talibowie negocjowali w Katarze z Amerykanami, jemeński rząd z szyickimi rebeliantami, rządzący z Sudanu i Czadu z rodzimymi powstańcami. Katar przymierzał się do roli centrum świata, gdzie dochodzi do najważniejszych spotkań i gdzie zapadają najważniejsze decyzje. Zwieńczeniem tych zabiegów stało się przyznanie krajowi mundialu.

Bracia wiosny

Odkąd dorobił się majątku, Katar zachowywał się tak, jakby sąsiadom z półwyspu robił wszystko na przekór: stawał w obronie tych, których Saudowie uważali za nieprzyjaciół, zwracał się zaś przeciwko tym, których wspierali.

Kiedy zimą z roku 2010 na 2011 niespodziewanie wybuchła arabska wiosna (właśnie wtedy Katarowi przyznano prawo zorganizowania mistrzostw świata w piłce nożnej), Katar opowiedział się po stronie buntowników, w których Saudowie, a także Bahrajn, Zjednoczone Emiraty Arabskie i Egipt widziały śmiertelne zagrożenie. Szczególnie drażniące było wsparcie Braci Muzułmanów, podważających ideę monarchii. Katarczycy – i Turcy – upierali się, że wspierając Braci prędzej uda się ich oswoić i skierować ich rewolucyjny zapał gdzie indziej.

Myśl ta przyświecała Hamadowi, gdy w 1996 r. zakładał pierwszą arabską telewizję informacyjną, Al-Dżazirę. Jej dziennikarze bezlitośnie wytykali zakłamanie, nieudolność, korupcję i tyranię arabskich władców, ale oszczędzali katarskiego emira i jego przyjaciół.

To arabska wiosna wyniosła Katar do rangi bliskowschodniego mocarstwa. Bracia Muzułmanie wygrali pierwsze wolne wybory, obejmując władzę w Tunezji i w Egipcie. W Libii, Jemenie i Syrii wybuchły wojny domowe, a Katar z Turcją wspierali w nich tych, przeciwko którym występowali Saudowie, Zjednoczone Emiraty i Egipt.

Propozycja nie do odrzucenia

Później jednak szczęście odwróciło się od Kataru. Rewolucyjny bałagan, wojny i bieda sprawiły, że ludzie zawiedli się arabską wiosną. Nastał czas kontrrewolucji. W Egipcie wojskowi dokonali przewrotu. Także w Tunezji Bracia zostali odsunięci od władzy. W 2013 r. emir Hamad oddał tron swojemu synowi, 42-letniemu dziś Tamimowi, licząc na załagodzenie sporu z sąsiadami z półwyspu. Ci jednak postanowili dać Katarczykom nauczkę.

W czerwcu 2017 r. złożyli im propozycję nie do odrzucenia. Przedstawili 13 żądań. Katar miał m.in. wypowiedzieć przyjaźń Iranowi i Turcji, zamknąć turecką bazę, pozbyć się arabskich dysydentów, którym wcześniej udzielił gościny, zerwać z Braćmi Muzułmanami, zapłacić kontrybucję za rzekome krzywdy, jakie wyrządził sąsiadom, a także zamknąć Al-Dżazirę.

Ale nowy emir się nie ugiął. „Zgodzić się znaczyłoby wyrzec się naszej niepodległości" – oznajmił i odrzucił żądania sąsiadów. Oni zaś przystąpili do blokady Kataru, która miała potrwać prawie cztery lata.

Środki budowania entuzjazmu

Katar wyszedł jednak z „zimnej wojny" jeszcze silniejszy.

Zamiast osłabić Iran, blokada zapewniła mu dopływ gotówki. Katarskie samoloty, nie mogąc latać po niebie sąsiadów, musiały korzystać z irańskiego, płacąc ajatollahom po sto milionów dolarów rocznie. Teheran otworzył dla Kataru także porty, a dodatkowy zarobek przynosiły mu zakupy, jakie musiał robić w Iranie katarski rząd, nie mogąc sprowadzać niczego z Arabii Saudyjskiej.

Także w sprawie Ankary blokada przyniosła efekt odwrotny do zamierzonego. Już w pierwszych dniach blokady Turcy dostarczyli samolotami do Kataru zapasy mleka, jogurtów, drobiu i żywności, a przez następne lata handel między obydwoma krajami się podwoił. Tureckie firmy przejęły budowę dróg i stadionów na mundial. A zamiast zamknąć turecką bazę wojskową, Katar jeszcze ją na własny koszt rozbudował.

Katarczycy nie żałowali też pieniędzy na „środki budowania entuzjazmu" na świecie. Wydali miliardy dolarów, by zjednać sobie zachodnich przywódców, a jeszcze lepiej niż propagandą przekonali ich do siebie (tak samo jak Rosję), kupując za kolejne miliardy sprzęt wojskowy.

Krowy na pustyni

Blokada zaskoczyła Katarczyków, ale emir sięgnął jeszcze głębiej do kieszeni (podjął z funduszu strategicznego ponad 40 mld dolarów) i zapełnił sklepowe półki. Skazana na siebie katarska gospodarka zaczęła rozwijać się w tempie szybszym niż u sąsiadów z półwyspu. Symbolem nowych czasów stało się 20 tys. krów, które zaraz po wprowadzeniu blokady Katarczycy sprowadzili odrzutowcami Qatar Airways z Ameryki i Europy (z zagranicy zwożono także siano i paszę), by na sztucznie nawadnianych pastwiskach i w klimatyzowanych oborach zapewniły im dostawy świeżego mleka.

„Zimna wojna" na Półwyspie Arabskim zakończyła się, gdy wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych przegrał Donald Trump, a saudyjski książę koronny stracił w Waszyngtonie bezkrytycznego mecenasa. Chcąc wkupić się w łaski niechętnego mu Joego Bidena, Mohammed postanowił wyciągnąć do katarskiego emira rękę na zgodę, by sąsiedzkie spory nie dzieliły arabskich sprzymierzeńców Ameryki.

Emir Tamim przyjął propozycję, ale nie spełnił żadnego ze stawianych mu żądań. W Katarze czczony jest dziś jak bohater. Dawid znów pokonał Goliata, a mundial będzie dla niego jak karnawał po wygranej.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Próby Abrahama

Praojciec Abraham poddany został dziesięciu próbom i wszystkie przeszedł pomyślnie – czytamy w pierwszej części Talmudu. Nie dostajemy jednak gotowej listy, komentatorzy dwoją się więc i troją, by nam zaproponować swoje typy. Naliczyłam sześć takich list, z których tylko jedna – autorstwa żydowskiego filozofa wszech czasów – nie ucieka się ani razu do midraszu, lecz pozostaje w kręgu biblijnym. Oto propozycje Majmonidesa: 1. Bóg mówi Abrahamowi, że ma opuścić swoją ojczyznę; 2. natychmiast po przybyciu do Ziemi Obiecanej Praojciec zastaje tam głód; 3. Egipcjanie porywają jego ukochaną żonę, Sarę, i wiodą ją do faraona; 4. Abraham bierze udział w wojnie czterech i pięciu królów (zob. Rdz 14); 5. poślubia Hagar, nie mogąc spłodzić dziecka z Sarą; 6. Bóg nakazuje mu obrzezać się w podeszłym wieku; 7. król Geraru porywa Sarę, zamierzając pojąć ją za żonę; 8. Bóg każe mu odesłać Hagar po tym, jak Praojciec spłodził z nią dziecko; 9. syn Abrahama, Izmael, zostaje odesłany; 10. Bóg nakazuje złożyć w ofierze syna Izaaka. Interesujące wydaje mi się sformułowanie trzeciej i siódmej próby, pomijające fakt, że Praojciec miał niemały udział w tym, co się przydarzyło jego żonie. Nie sądzę, by kobieca część widowni uznała, że Abraham przeszedł pomyślnie te testy jako mąż. Aklamacji nie będzie też przy ostatniej próbie: wedle nielicznych „rycerz wiary", wykonując bez szemrania Boży nakaz, miast zaprotestować, nie spełnił pokładanych w nim nadziei.

Jedno z żydowskich porzekadeł głosi, iż – dosłownie – „dzieła ojców są znakiem dla dzieci". Nie ulega wątpliwości, że mamy czerpać naukę z tego, co przydarzyło się naszym przodkom. Inny sens tego stwierdzenia wydaje się mniej oczywisty: pewne doświadczenia są powtarzalne i stają się udziałem kolejnych pokoleń. Zbliżająca się rocznica Reichspogromnacht (do niedawna: nocy kryształowej) nie napawa optymizmem. W ślad za nią do ambasad w nazistowskich Niemczech wpłynęło więcej podań o wizy, niż było wówczas żydowskich mieszkańców Rzeszy. Brytyjski rząd zgodził się przyjąć dzieci bez opiekunów, więc z Niemiec, Austrii oraz Czech zaczęły jeździć kindertransporty. Zdesperowani rodzice, niemogący wydostać się z Rzeszy, podejmowali arcytrudną decyzję wysłania potomstwa w nieznane. Między grudniem 1938 a majem 1940 roku ocalono tak ok. 10 tys. ludzkich istnień.

Praojciec Abraham, wyruszający ze swojej ojczyzny bez adresu, pod który ma się udać, przypomina mi o doświadczeniach pokolenia moich rodziców. Mam na myśli „dokument podróży", w który wyposażano wysyłanych do „Syjamu" „syjonistów". Kolejna rocznica, tym razem sto czwarta. Z niepokojem myślę, czym uraczyć nas mogą w tym roku depczący Aleje Jerozolimskie „polscy patrioci". ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Król ośmieszony

Głównym bohaterem jest Bóg, którego „nikt nigdy nie widział", stąd wszelkie opisy i wyobrażenia Boga skazane są na niepowodzenie, o czym nie zawsze chcemy pamiętać. I tak mamy w Biblii Boga stającego w obronie pokrzywdzonych, ale też akceptującego, a nawet żądającego ofiar z ludzi. Co więcej, dopuszczającego się ludobójstwa.

Dowiadujemy się też, że Dawid i Salomon, i nie tylko oni, mieli spore haremy, co dzisiaj jest niedopuszczalne, ale w oczach Boga byli „sprawiedliwymi", czyli wypełniającymi Jego wolę. Biblia dla żydów i chrześcijan, pośrednio dla muzułmanów, stanowi kryterium prawdziwości ich wiary, a co za tym idzie: myślenia i postępowania. Podlega więc interpretacji, możliwości popełnienia błędu i celowego zafałszowania. Wystarczy posłuchać patriarchy Cyryla czy innych wielkich tego świata, dzierżących „świętą władzę", żeby się o tym przekonać. Również u nas niejeden ze starszych Kościoła, prezbiterów i biskupów, nie widzi niczego złego w nieludzkim, a więc niechrześcijańskim traktowaniu uchodźców na granicy z Białorusią. Wystarczy nazwać tego typu postępowanie wojną hybrydową – i już można zapomnieć o Ewangelii.

W ostatnią niedzielę roku liturgicznego przypada uroczystość Jezusa Chrystusa Króla Wszechświata, nie tylko Polski. Jeśli się pomyśli, że ten król jest Bogiem, człowieka może ogarnąć strach. Jest Bogiem, jest więc wszystkowidzącym, wszechwiedzącym i wszechmogącym, może robić z człowiekiem, co tylko zechce. Dlatego próbuje się Jezusa przedstawiać na modłę królów z tego świata, jako siedzącego na wyniosłym tronie, odzianego w purpurę i gronostaje z potrójną koroną na głowie i berłem w ręku. Tym sposobem te – najczęściej nieudane – realizacje eksmitują Jezusa z realnego świata i odsyłają do krainy kiczu i bajki. Zapomina się przy tym, a może celowo nie chce się pamiętać, że królewska władza Jezusa to nie despotyczne samodzierżawie. Jezusowa, Boża „wszechmoc najpełniej przejawia się w łasce przebaczenia". Taki król, jak na ziemskie standardy, jest władcą słabym. Zamiast zabijać i niszczyć, chce ożywiać i ocalać. Dzieje się tak, gdyż Jezus nie potrafi niczego i nikogo znienawidzić. Nie potrafi przecież zmienić swego nastawienia do rzeczywistości. Dlatego jest Bogiem. Taka jest Jego natura, nie może „zaprzeć się samego siebie".

„Bóg jest miłością", miłością jest również Syn Boży, który mówi: „Kto Mnie zobaczył, zobaczył także Ojca". Nie ośmieszajmy Jezusa, przedstawiając Go w formie nieudanej lalki z nieudanego przedstawienia. „On jest obrazem Boga niewidzialnego (...), On jest przed wszystkim i wszystko w Nim istnieje". On, „król żydowski", jest tym, który „uwolnił nas spod władzy ciemności" – strachu przed Bogiem. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Nasze pytanie

„Kiedy przyjdzie królestwo Boże?" – takie pytanie zostało niedawno zadane Jezusowi podczas Liturgii (Łk 17, 20). Czy to jest nasze pytanie? Kto w ogóle pyta Jezusa w ten sposób?

Najczęściej takie pytanie stawia Bogu ktoś, kto „ma już dość". Widzi, że jest tak, jak być nie powinno. W świecie. W Kościele. W moim mieście. W mojej parafii. Pytamy, kiedy boli nas rzeczywistość. Mimo wszystkich podejmowanych trudów nic się nie zmienia – chyba że na gorzej. Pytamy udręczeni. Pytamy z nadzieją. Kiedy inne nadzieje i oczekiwania okazały się głęboko zawodne.

Odpowiedź Jezusa ma kilka wymiarów. Najpierw mówi nam: „Królestwo Boże jest w was/pośród was". A więc królestwo Boże jest; a nie dopiero „przyjdzie"; nie „nadchodzi". Jest.

Gdzie? Tam, gdzie go nie szukamy. Szukamy go w świecie czy w Kościele. A Jezus mówi: zobacz, ile jest go w tobie! Ile jest go w relacjach, które tworzysz? Czy Bóg jest królem w tobie? I co ma do powiedzenia w najbliższej ci przestrzeni: między tobą a twoją rodziną? Między tobą a twoimi kolegami w pracy? Między tobą a każdym z twoich przyjaciół? Zamiast utyskiwać na „okropną" i „beznadziejną" rzeczywistość, która w większym lub mniejszym stopniu od nas nie zależy, popatrzmy tam, gdzie niemal wszystko od nas zależy, a więc gdzie mamy realną władzę. Czy mamy ochotę poddać ją władzy Boga? Tą swoją odpowiedzią Jezus wskazuje nam więc nie tylko przestrzeń nadziei, ale również odpowiedzialności.

W kolejnych zaraz zdaniach mówi jednak, że ta nadzieja poddana jest dyscyplinie paschalnej: „Syn Człowieczy musi wiele wycierpieć i być odrzuconym przez to pokolenie".

Nie ma przemiany bez obumierania. Jezus króluje z krzyża. I w mocy Zmartwychwstania. Być może dlatego właśnie Jego władza nie może w pełni zaowocować życiem ani w nas, ani wśród nas (między nami a najbliższymi nam ludźmi), bo nie potrafimy „umierać" – trzymamy przy życiu wszystkie stare, pozbawione już świeżości i smaku sposoby funkcjonowania własnego i z innymi; czepiamy się kurczowo swoich przekonań, praktyk, poglądów i zwyczajów. Szukamy życia tam, gdzie go nie ma. Szukamy Żyjącego wśród umarłych.

Królestwo Boże nie przyjdzie bez krzyża; nie przyjdzie także mimo krzyża. Ono musi przyjść przez krzyż. ©

Piękno jest obecnością Boga w materii.

SIMONE WEIL

Z harmonii wiedza się rodzi.

BHAGAWADGITA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (20 – 27 XI)

Niedziela, uroczystość Jezusa Chrystusa Króla Wszechświata: 2 Sm 5, 1-3; Ps 122; Kol 1, 12-20; Łk 23, 35-43;
Poniedziałek: Ap 14, 1-3. 4b-5; Ps 24; Łk 21, 1-4;
Wtorek: Ap 14, 14-20; Ps 96; Łk 21, 5-11;
Środa: Ap 15, 1-4; Ps 98; Łk 21, 12-19;
Czwartek: Ap 18, 1-2. 21-23; 19, 1-3. 9a; Ps 100; Łk 21, 20-28;
Piątek: Ap 20, 1-4. 11 – 21, 2; Ps 84; Łk 21, 29-33;
Sobota: Ap 22, 1-7; Ps 95; Łk 21, 34-36;
1. niedziela Adwentu: Iz 2, 1-5; Ps 122; Rz 13, 11-14; Mt 24, 37-44.

KWIATÓW NIE BRAKUJE

Polska zamierza w przyszłym roku wydać na wojsko rekordową sumę 143 mld zł, czyli więcej niż na ochronę zdrowia. Nie przewiduje jednak dodatkowych pieniędzy dla rodzin żołnierzy poległych na misjach.

MAREK RABIJ

Gdy zamyka oczy, tamten pasek z wiadomości telewizyjnych znowu zaczyna przesuwać się we wspomnieniach. Jest wietrzny październikowy wieczór 2009 r.

– Byłam wtedy w Holandii, dorabiałam przy pracy w gospodarstwie – wspomina Marzanna Szyszkiewicz. – Wróciłyśmy z pola na kwatery i od razu włączyłam polską telewizję. Robiłam tak codziennie od kwietnia, kiedy syn pojechał na misję. I od razu w dole ekranu zobaczyłam na pasku informację, że w Afganistanie zginęło dwóch polskich żołnierzy z 5. pułku inżynieryjnego w Szczecinie. Jednostki mojego syna – pani Marzannie zaczyna drżeć głos.

Kilka godzin wcześniej przed ich rodzinnym domem w niewielkiej podkaliskiej wsi zatrzymał się wojskowy samochód. Stanisław Szyszkiewicz akurat sprzątał podwórko. Pies zaczął ujadać, gdy z auta wysiadły cztery osoby. Mężczyzna w mundurze z dystynkcjami pułkownika otworzył furtkę i bez słowa stanął naprzeciw pana Stanisława. A potem, nadal milcząc, po prostu go objął.

– Kiedy zadzwoniłam do męża, zapytałam, czy już rozmawiał dzisiaj z synem – ciągnie pani Marzanna. – Radek codziennie odzywał się z Afganistanu, bo łączność mieli świetnie zorganizowaną. Mąż odparł, że nie. Zaczęłam bić się z myślami, czy w takim razie wspominać mu w ogóle o tym cholernym pasku, ale wtedy dodał, że syn już nigdy do nas nie zadzwoni...

TOMASZ WOJTASIK / PAP

Więcej niż na zdrowie

Starszy szeregowy Radosław Szyszkiewicz był jednym z 44 żołnierzy i pracowników cywilnych Wojska Polskiego, którzy zginęli w Afganistanie. Miał 22 lata. 9 października 2009 r. pod opancerzonym samochodem MRAP Cougar, którym wracał z patrolu, eksplodował tzw. ajdik, silny ładunek wybuchowy odpalany drogą radiową. Szyszkiewicz zginął na miejscu razem z kolegą ze szczecińskiej jednostki, starszym szeregowym Szymonem Graczykiem. Czterech kolejnych odniosło poważne rany.

Misje w Iraku i Afganistanie kosztowały w sumie życie 65 polskich żołnierzy. Licząc z poległymi i zmarłymi podczas 12 innych operacji militarnych, Wojsko Polskie straciło za granicą 121 żołnierzy i pracowników cywilnych. Wraz z tymi, którzy ponieśli śmierć na służbie w kraju, w Polsce mieszkają obecnie 144 rodziny, które oddały ojczyźnie to, co najcenniejsze – życie swoich bliskich.

Odpowiedź na pytanie, na co mogą liczyć w zamian, nie jest tylko ich osobistą sprawą. Dla reszty społeczeństwa los tych ludzi nabiera kluczowego znaczenia jako probierz jakości instytucji i empatii całego państwa. Zwłaszcza w kontekście skokowego wzrostu naszych wydatków na armię. W przyszłym roku budżet Ministerstwa Obrony Narodowej wzrośnie po raz pierwszy od 1989 r. do 3 proc. PKB – to około 97,4 mld zł. Wraz z pieniędzmi z pozabudżetowego Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych na cele związane z obronnością przeznaczymy aż 143,3 mld złotych. O ponad miliard złotych więcej niż na ochronę zdrowia.

Czy grubszy portfel MON oznaczać będzie także wyższe świadczenia lub rozszerzenie wachlarza pomocy materialnej dla rodzin żołnierzy, którzy polegli lub zmarli na służbie? Do chwili zamknięcia tego wydania Ministerstwo Obrony Narodowej nie odpowiedziało na nasze pytania w tej sprawie.

Obecnie rodziny zmarłych na służbie mają prawo do tzw. wojskowej renty rodzinnej w wysokości do 95 proc. wynagrodzenia zmarłego, do zasiłku pogrzebowego oraz tzw. rekonwersji, czyli jednorazowej zapomogi w kwocie kilku tysięcy złotych na pokrycie palących potrzeb bytowych lub nabycie nowych umiejętności zawodowych; dzieciom przysługują natomiast dodatkowe punkty w rekrutacji na wojskowe uczelnie wyższe. W przypadku rodzin poległych na misjach w grę wchodzi także jednorazowe odszkodowanie w wysokości osiemnastokrotności jego zarobków (dla żony lub dziecka) lub dziewięciokrotności (dla innych członków rodziny). Prócz tego z polisy wykupionej przez MON następuje wypłata odszkodowania w wysokości 250 tys. zł.

W dostępnych publicznie dokumentach nie ma żadnych wzmianek o tym, by MON planował zwiększyć to wsparcie. Jednak na początku listopada minister spraw wewnętrznych Mariusz Kamiński przyznał, że w jego resorcie trwają prace nad ustawą, która miałaby zmienić zakres pomocy dla rodzin funkcjonariuszy służb mundurowych, którzy zginęli w związku z pełnioną służbą. Projekt powstaje głównie z myślą o policji, strażakach i innych służbach podległych MSW, ale miałby dotyczyć również rodzin żołnierzy. Nowe świadczenie, w wysokości średniego miesięcznego wynagrodzenia w formacji, w której służył zmarły, przysługiwałoby jego żonie lub mężowi, dzieciom oraz – to już nowość – rodzicom. W przypadku, gdyby dotychczasowa renta rodzinna zapewniała bliskim wyższy standard życia (dotyczy to głównie oficerów, którzy zarabiają sporo ponad średnią krajową), rodzina mogłaby pozostać przy starym świadczeniu. Pieniądze przysługiwałyby wdowom i wdowcom do końca życia bez względu na to, czy zmienią stan cywilny. Świadczenia dla rodziców byłyby zaś wypłacane ↦

Pogrzeb kaprala Radosława Szyszkiewicza, który zginął na misji w Afganistanie, Iwanowice, 15 października 2009 r.

↦ od momentu przejścia na emeryturę do końca życia, a w przypadku dzieci – do momentu osiągnięcia pełnoletności lub do 25. roku życia, jeśli kontynuują naukę.

W projekcie jest jeden duży znak zapytania. Nie wiadomo, czy przyszłoroczny budżet, w którym rząd już zaczął szukać oszczędności, zdoła go unieść. W razie czego – jak z rozbrajającą szczerością przyznają w anonimowych rozmowach politycy PiS – wystarczy, że ustawa pozostanie projektem na papierze. W roku wyborczym z wojną za płotem dobre i to.

Nierówni wobec śmierci

Lidia Kordasz-Garniewicz, prezeska Stowarzyszenia Rodzin Poległych Żołnierzy „Pamięć i Przyszłość", nie ma złudzeń, że skończy się na obietnicach. Nie pierwszych, które w tej sprawie słyszą wdowy.

– Nasze stowarzyszenie od lat ubiega się o to, żeby rodziny poległych i zmarłych na służbie żołnierzy miały takie same przywileje, jakie przepisy od 2011 r. gwarantują weteranom – tłumaczy. – Najważniejszy wydaje nam się dostęp do wojskowych placówek medycznych. Niektórzy rodzice poległych są już w podeszłym wieku lub zmagają się z poważnymi chorobami, bo rozpacz po stracie dziecka zjada człowieka od środka. Weterani leczą się bez kolejek w przychodniach wojskowych, mają też uproszczony dostęp do specjalistów, część leków za darmo plus prawo do korzystania z wojskowych sanatoriów. Nam się tego wszystkiego odmawia, a przecież z punktu widzenia budżetu MON rozszerzenie tych przywilejów o kilkaset dodatkowych osób to żaden wydatek. Od lat nasze stowarzyszenie spotyka się w tej sprawie z kolejnymi ministrami obrony narodowej, a oni kiwają ze zrozumieniem głowami. Ale ustawy o weteranach jakoś nikt zmienić nie chce.

Statusu weterana nie nabywa się automatycznie. Trzeba wystąpić o to do MON i udokumentować służbę kwitami z... MON. Tak jakby ministerstwo nie mogło zrobić tego samodzielnie.

Mąż pani Lidii, podpułkownik Grzegorz Kordasz, był cztery razy na misjach zagranicznych. Zginął tragicznie sześć lat temu w wypadku samochodowym w Polsce, podczas pełnienia służby.

– Był oficerem z dużym stażem, otrzymałam więc po nim rentę w wysokości 95 proc. zarobków. Ale co mają zrobić wdowy po żołnierzach u progu kariery zawodowej, którzy zarabiali grosze wyjeżdżając na misję? Niektórzy przed śmiercią nie zdążyli nawet poznać nienarodzonego dziecka. Ich rodziny skazane są teraz na wegetację, bo co warte są obecnie niecałe dwa tysiące złotych? Te nasze renty, które pobiera przecież garstka ludzi, ukazują patologię polskiej armii, która od lat oszczędza na kosztach osobowych. W tej sprawie też jeździłyśmy do polityków, ale zawsze mówiono nam, że pieniędzy nie ma. Teraz się znalazły, bo jest ustawa o obronie ojczyzny, ale nie wierzę, by rządzący zechcieli nam pomóc.

Generał Mirosław Różański, były głównodowodzący polskiej armii: – Jako człowiek, który życie spędził w mundurze i był na misji w Iraku, muszę przyznać, że państwo polskie zachowuje się tak, jakby chciało, by rodziny poległych żołnierzy jak najszybciej zeszły mu z pola widzenia i przestały przesłaniać ważniejsze sprawy. A przecież w przyszłym roku stuknie 20 lat od naszego zaangażowania w ope-

Jak to się robi w USA

WEDŁUG DANYCH Pentagonu w ok. 1,8 mln amerykańskich rodzin żyją ludzie, którzy brali udział w konflikcie zbrojnym nosząc mundur US Armed Forces. Tylko po 11 września 2001 r. zginęło 7057 amerykańskich żołnierzy. Śmiertelne żniwo wojen w Iraku i Afganistanie trzeba jednak rozszerzyć o raportowane przez niezależnych ekspertów przeszło 30 tys. weteranów, którzy popełnili samobójstwo po zakończeniu służby – zwykle pod wpływem zespołu stresu pourazowego.

STANY ZJEDNOCZONE, których żołnierze systematycznie biorą udział w konfliktach zbrojnych na całym świecie, wypracowały system wspierania rodzin poległych, który dla wielu krajów, w tym Polski, może stanowić punkt odniesienia. Każdy ochotnik podpisujący kontrakt (w USA nie ma poboru) wskazuje w dokumentach osobę lub osoby, którym na wypadek jego śmierci na służbie przysługiwać będzie nieopodatkowany zasiłek w wysokości 100 tys. dolarów.

OD 2007 R. biorcą takiego świadczenia może być dowolna osoba wskazana przez zmarłego, w tym partnerka lub partner z nieformalnego związku, także tej samej płci. Pieniądze przysługują również bliskim rezerwistów, którzy zginęli podczas ćwiczeń, w drodze na poligon lub w trakcie powrotu do domu, a także rodzinom żołnierzy, którzy zmarli w ciągu 120 dni od zwolnienia ze służby czynnej. Istnieje wreszcie ścieżka odwoławcza do sekretarza ds. weteranów, który może orzec, iż dana śmierć była wynikiem urazu lub choroby zaistniałej lub pogłębionej podczas służby wojskowej.

NAJBLIŻSI POLEGŁEGO automatycznie otrzymują także status tzw. Gold Star Family, czyli rodziny, która złożyła krajowi najwyższą ofiarę krwi. Wraz z odznaczeniami oraz prawem do ozdobienia domu złotym emblematem przysługuje im szereg przywilejów, często zależnych od miejsca zamieszkania. Najczęściej jest to darmowa komunikacja miejska, zniżki w sklepach i przy zakupie ubezpieczeń albo priorytetowe miejsca na wojskowych uczelniach – dla dzieci. Dodatkowo rodziny poległych mogą liczyć na rządową pomoc przy każdej przeprowadzce oraz wsparcie psychologiczne.

CHĘTNIE POMAGAJĄ im również firmy i organizacje pozarządowe. W ostatnich latach w debacie publicznej padają jednak argumenty za podwyższeniem *death compensation*. Kwota 100 tys. dolarów, która w założeniach miała być jedynie zasiłkiem pomagającym bliskim poległego przejść przez najtrudniejszy okres żałoby, zdaniem krytyków Pentagonu już dawno nie odzwierciedla realnych kosztów życia w USA.

©℗ MR

rację w Iraku. Potem jeszcze był Afganistan. Przez misje bojowe przeszło łącznie jakieś 40 tys. żołnierzy, co bezpowrotnie zmieniło nasze wojsko.

Na lepsze, jak zauważa generał, zmieniły się procedury wojskowe w przypadku śmierci na polu walki. – Kiedy wyjeżdżałem pierwszy raz do Iraku, musiałem przypominać części podwładnych, żeby uporządkowali swoje sprawy domowe, chociażby spisując testament. Pamiętam, że po polisę jednego z poległych zgłosili się nagle rodzice, z którymi zmarły od lat nie utrzymywał kontaktu. Wiedzieliśmy, że chłopak miał dziewczynę w ciąży, ale nie zdążyli sformalizować związku lub tego nie chcieli. Dopiero na bazie takich przykrych doświadczeń wojsko wypracowało przepisy, które regulują kwestie wypłaty odszkodowań i rent za poległych.

Wciąż jednak wiele spraw wymaga poprawy. Dla przykładu, statusu weterana nie nabywa się automatycznie po zakończeniu misji. Zainteresowany musi wystąpić o to osobiście do MON i udokumentować staż służby kwitami, które uprzednio musi uzyskać... w MON; tak jakby resort nie mógł tego zrobić samodzielnie. Weteranom poszkodowanym na polu walki przysługuje też prawo do bezpłatnej rehabilitacji w wojskowych sanatoriach, ale za pobyt osoby towarzyszącej – często niezbędnej z uwagi na stan zdrowia poszkodowanych – obowiązuje już pełna odpłatność. W ten sposób koło się zamyka, bo opiekunem jest najczęściej ktoś z rodziny, kogo nie zawsze na taki turnus stać.

– A najgorsze, że moja „firma" – mówi z przekąsem Różański – wciąż nie umie rozmawiać z ludźmi, którzy dla niej pracują. Za skandaliczną uważam sytuację, kiedy pogrążone w żałobie rodziny muszą same sprawdzać, na jaką pomoc mogą liczyć. Ani poziom organizacyjny państwa polskiego, ani skala naszego dotychczasowego zaangażowania militarnego w misje zagraniczne nie uzasadniają bałaganu, z jakim wciąż mamy tutaj do czynienia.

„Milionerki"

Na pogrzeb na cmentarzu parafialnym 15 października 2009 r. zjechało pół Warszawy. Marzanna Szyszkiewicz najlepiej zapamiętała ówczesnego szefa kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego, Aleksandra Szczygłę, oraz generała Franciszka Gągora, szefa sztabu, który składając kondolencje, na znak szacunku wcisnął jej w dłoń swój generalski znaczek.

W przyszłym roku minie 20 lat od misji w Iraku. Tymczasem polskie państwo zachowuje się tak, jakby chciało, by rodziny poległych żołnierzy jak najszybciej zeszły mu z pola widzenia.

– Córki mnie potem zapewniały, że wojsko się postarało i ceremonia pogrzebowa miała godną oprawę – wspomina pani Marzanna. – Ja wiem tylko, że tam byłam. Poza jakimiś majakami i strzępkami rozmów nic nie pamiętam. Mój czas stanął 9 października. Kilka miesięcy później większość z tych, co byli na cmentarzu żegnać Radka, zginęła w Smoleńsku. Pomyślałam wtedy, z dumą, że śmierć zrównała z nimi mojego syna. I on, i oni oddali przecież życie w służbie ojczyźnie.

Otrzeźwienie przyszło kilka miesięcy później, kiedy na kolejnym pasku informacyjnym w telewizji pani Marzanna przeczytała o milionowych odszkodowaniach dla smoleńskich wdów.

– Poczułam się, jakby mi ktoś dał w twarz. Mój mąż, który chorował na nerki, otrzymał od wojska propozycję, żeby rentę z KRUS, nieco ponad 200 zł miesięcznie, zamienić na wojskową rentę rodzinną – 1400 miesięcznie. Mnie zaoferowali pracę w komendzie uzupełnień w Kaliszu, żebym już nie musiała się tułać po „Holandiach". Byłam wdzięczna, cieszyłam się. Aż przyszłam pewnego dnia do pracy i usłyszałam od jednej pani, że za plecami mówią o mnie „milionerka", bo niby dostaliśmy tyle samo, ile dali rodzinom smoleńskim. Popłakałam się i wykrzyczałam, że skoro tak, to niech mi oddadzą żywego syna i oddaję wojsku każdą złotówkę, którą od niego dostaliśmy.

Jeszcze w 2011 r. – po fali pozwów o odszkodowania, składanych do sądów przez rodziny poległych na misjach, które poczuły się dotknięte skalą hojności wobec rodzin ofiar katastrofy smoleńskiej – ówczesny szef MON Tomasz Siemoniak zapowiedział zmianę sposobu wsparcia dla wdów po poległych żołnierzach. Jednym z pomysłów miało być wyrównanie w górę rent rodzinnych, aby bliscy najniższych stopniem żołnierzy, którzy zarabiali niewiele, otrzymali realne wsparcie. Jedenaście lat później system działa jednak bez zmian.

Tomasz Siemoniak, który kierował MON aż do 2015 r., twierdzi, że więcej się zrobić nie dało. – To był czas, kiedy wojsko polskie wciąż nabierało doświadczenia w misjach zagranicznych. W ministerstwie musieliśmy reagować na bieżąco na pojawiające się potrzeby i wszystkiego nie dało się od razu załatwić. Najbardziej palącym problemem było uregulowanie statusu weterana, co zrobiliśmy jeszcze w tym samym roku za pomocą ustawy. Duży nacisk położyliśmy również na kwestie mieszkaniowe, żeby bliscy poległych nie musieli się martwić o utratę prawa do lokalu służbowego oraz o bieżące wsparcie rodzin w pobliskich jednostkach wojskowych. Ktoś, kto mieszka w Kotlinie Kłodzkiej, nie może przecież być skazany na pomoc jednostki w Orzyszu tylko dlatego, że syn tam służył – podkreśla dziś polityk.

Co do tego, jak w praktyce działa pomoc ze strony jednostek wojskowych, Marzanna Szyszkiewicz nie ma jednak wątpliwości. Po śmierci syna stan zdrowia jej męża zaczął się gwałtownie pogarszać. Nerki odmawiały posłuszeństwa, potrzebne były systematyczne wizyty w szpitalu w Łodzi. – A ze mnie kierowca kiepski. Zapytałam raz czy dwa, czy któraś z okolicznych jednostek nie mogłaby mi pomóc w transporcie. Bez odzewu. No to więcej już nie pytałam i sama woziłam męża na dializy aż do jego śmierci. Oczywiście 9 października na grobie syna nigdy nie brakuje świeżych kwiatów. Z jednostki w Szczecinie zawsze przyjeżdża jego dowódca, który też był ranny w tamtej zasadzce. Czasem oni zapraszają nas do siebie na święto jednostki. Rozmawiamy, czuję serdeczność i opiekuńczość, ale przecież nie będę prosić żołanierzy ze Szczecina o pomoc pod Kaliszem. Oni też mają swoje życie.

Generał Mirosław Różański: – Ludzie, których państwo wysyła do realizacji śmiertelnie niebezpiecznych zadań, muszą mieć pewność, że jeśli coś pójdzie nie tak, ich bliscy nie zostaną bez pomocy. Bez tego żadna armia nie będzie sprawnie funkcjonować, a bez niej nie może istnieć bezpieczne państwo.

©℗ MAREK RABIJ

Nadzór nad nadzorem

STEFAN SĘKOWSKI

Sposób PiS na państwowe firmy brzmi: mają być państwowe i mają być „nasze". Jednocześnie partia nie ma pomysłu, jak nimi sprawnie kierować. Mnoży za to kolejne instytucje, potęgując chaos.

Oficjalnie chodziło o to, by zapewnić stabilne zarządzanie spółkami. Rada ds. bezpieczeństwa strategicznego miała decydować o tym, kto pokieruje pięcioma wybranymi spółkami o istotnym znaczeniu dla państwa. Wśród wskazanych w ustawie znalazły się PKN Orlen, Polfa Tarchomin oraz trzy firmy odpowiedzialne za przesył gazu, ropy i prądu: Gaz-System, PERN i PSE. Rada miała być powoływana na sześć lat, w większości przez Sejm, i wybierać władze wymienionych spółek na pięcioletnie kadencje (obecnie trwające uległyby zakończeniu). Nietrudno policzyć, że jej członkowie zasiadaliby do końca obecnej, przez całą kolejną, a także przez rok jeszcze jednej kadencji Sejmu. Mogliby też wybrać władze pięciu firm na najbliższe 10 lat.

Argument troski o stabilność najważniejszych przedsiębiorstw i ochronę ich przed chaosem jest bałamutny, bo akurat w tych firmach nie mamy do czynienia z karuzelą stanowisk. Prezesem PSE jest od prawie siedmiu lat Eryk Kłossowski, Tomasz Stępień także kieruje Gaz-Systemem od siedmiu lat, w październiku 2022 r. zmienił się natomiast szef PERN – po sześciu latach Igora Wasilewskiego zastąpił Paweł Stańczyk. Także za rządów PO-PSL prezesi tych akurat firm byli raczej długoletni, wymieniało się ich zaś wtedy, gdy zmieniała się władza.

Betonowy Obajtek

Prawdopodobnie chodziło właśnie o to, by taki proces nie był możliwy. Celem głównym było zabetonowanie stanowiska Daniela Obajtka, pełniącego swoją funkcję w Orlenie od 2017 r. To on miał rzekomo przekonać do ustawy Jarosława Kaczyńskiego. Istnieje też inna hipoteza, wedle której chodziło nie tyle o same stanowiska, co wręcz o zapewnienie PiS kontroli nad strategicznymi spółkami, wykraczającej poza okres rządów tej partii. Jednak w takim razie owa rada powinna wybierać władze wszystkich spółek, w których skarb państwa ma swoje udziały, a nie tylko pięciu.

Projekt opuścił Sejm tak szybko, jak się w nim pojawił. Oficjalnie na przeszkodzie stanęły wątpliwości konstytucyjne, dotyczące zwłaszcza prywatnych udziałowców Orlenu, którzy straciliby wpływ na firmę. To zaś mogłoby się skończyć licznymi sprawami sądowymi i arbitrażowymi przed międzynarodowymi trybunałami. Tyle że z tą tezą jest jeden kłopot: po siedmiu latach rządów PiS trudno spodziewać się, że akurat niekonstytucyjność ustawy spędzała władzy sen z powiek.

Być może ważniejsze było to, że o pomyśle miał nie wiedzieć formalnie nadzorujący Orlen minister aktywów państwowych, Jacek Sasin. I mocno się mu przeciwstawił, podobnie jak politycy Solidarnej Polski, a nawet posłowie PiS. Zauważyli oni, jak szybko zaczęła się szerzyć interpretacja, iż projekt jest w istocie efektem braku nadziei na zwycięstwo w wyborach i szykowaniem sobie miękkiego lądowania przez Obajtka i jego ludzi.

Kompromitacja projektu jest symbolicznym podsumowaniem siedmiu lat zarządzania mieniem państwowym przez PiS. W proponowanym kształcie rada byłaby agencyjną naroślą na scentralizowanym już systemie nadzoru nad spółkami, w ramach którego pieczę nad nimi sprawuje (z pewnymi wyjątkami) jeden minister – aktywów państwowych. Naroślą utrudniającą kolejnym rządom synergiczne wykorzystywanie możliwości spółek.

Powyższe obrazuje problem szefa PiS, budującego kapitalizm państwowy, w którym życie gospodarcze ma być w dużej mierze oparte na własności publicznej. Jednocześnie nie powstał jednak żaden przemyślany i stabilny system nadzoru nad spółkami, przez co nie mogą one w pełni rozwinąć swojego potencjału i przeszkadzają sobie nawzajem. Stają się za to udzielnymi księstwami poszczególnych polityków i kierujących firmami menedżerów.

Paradoksalnie u źródeł problemu leży doktryna Jarosława Kaczyńskiego o zwalczaniu imposybilizmu. W sferze gospodarczej jej emanacją są przedsiębiorstwa państwowe realizujące wolę ujednoliconej władzy centralnej. Stąd prezentowana od początku istnienia PiS niechęć do prywatyzacji, a w ostatnich latach etatyzm oraz wielkie inwestycje państwowych firm.

Pod koniec 2016 r. specjalną ustawą PiS zlikwidował Ministerstwo Skarbu Państwa i przekazał premierowi nadzór nad podległymi mu spółkami, który z kolei rozdysponował je pomiędzy różnych ministrów. W szczytowym momencie było ich dwunastu plus premier, samodzielnie sprawujący pieczę nad kilkudziesięcioma przedsiębiorstwami. Tylko na pierwszy rzut oka było to działanie sprzeczne z ideą scentralizowanej władzy, a to dlatego, że faktyczny ośrodek zarządzania nie leży w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, tylko na Nowogrodzkiej. To tam Komitet Polityczny PiS, z Kaczyńskim na czele, podejmuje kluczowe decyzje. Posunięcie to – przypominające nieco podporządkowanie w PRL przedsiębiorstw państwowych ministerstwom branżowym i kontrolującemu rząd Biuru Politycznemu KC PZPR – nie przeszkadzało Kaczyńskiemu. Większość spółek i tak dostała się pod kuratelę nowo utworzonego Ministerstwa Rozwoju.

Gdzie jest centrum

Rychło jednak się okazało, że ta struktura nie daje możliwości skutecznego nadzoru nad... nadzorującymi. Zwłaszcza gdy formalny lider – premier – ma słabą pozycję i jest zależny od prezesa partii. Szczególnie wyraźnie było to widać w spółkach podległych ministrowi obrony narodowej. Gdy był nim Antoni Macierewicz, w 22 z 25 spółek Polskiej Grupy Zbrojeniowej ze statutów zniknęła konieczność posiadania przez członków rad nadzorczych wyższego wykształcenia i zdania specjalnego egzaminu. To umożliwiło ministrowi obsadzenie ich swoimi ludźmi, niezależnie od kompetencji, ze słynnym Bartłomiejem Misiewiczem na czele, który stał się źródłem zupełnie

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

Konferencja prasowa premiera Mateusza Morawieckiego, wicepremiera Jacka Sasina i prezesa PKN Orlen Daniela Obajtka. Warszawa, lipiec 2020 r.

niepotrzebnych problemów wizerunkowych władzy.

Wcześniej, w 2016 r., zlikwidowano konkursy na wyższe stanowiska w służbie cywilnej – do zastępcy dyrektora departamentu włącznie. Oznaczało to, że urzędnicy odpowiedzialni za kontrolę spółek wybierani będą uznaniowo. Ponadto od 2017 r., by zasiadać w radzie nadzorczej spółek skarbu państwa, wystarczy ukończyć studia MBA. Już rok później powstała prywatna szkoła wyższa Collegium Humanum, w której (według „Newsweeka") ludzie związani z PiS mogą w dwa-trzy miesiące ukończyć te skądinąd prestiżowe studia. Wśród absolwentów są m.in. wieloletnia współpracownica Obajtka, obecnie prezes podległej mu Energi Zofia Paryła, brat samego Obajtka oraz stryj prezydenta Andrzeja Dudy.

W 2019 r. PiS niespodziewanie reinkarnował resort skarbu państwa pod postacią Ministerstwa Aktywów Państwowych. Jego szefem został Jacek Sasin, któremu podlega zdecydowana większość spółek, jednak musi dzielić się władzą nad nimi z innymi pisowskimi politykami. Jak ukazały dziennikarskie rekonstrukcje „Gazety Wyborczej", Onetu i Radia Zet w ramach projektu „Partia i Spółki", wpływy w firmach zależnych od państwa mają też bezpośrednio premier Mateusz Morawiecki, minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak oraz lider Solidarnej Polski Zbigniew Ziobro. Odrębną pozycję w tej układance ma Daniel Obajtek, który kieruje obecnie największą spółką państwową, czyli Orlenem. Firma ta konsekwentnie skupuje inne znaczące podmioty, zarówno od samego państwa (Lotos, PGNiG, wcześniej Ruch czy Energa), jak i od właścicieli prywatnych; tu przykładem może być Polska Press, potentat na rynku mediów regionalnych. Sasin musi liczyć się z Obajtkiem, ponieważ ten ma mocnego protektora – prezesa Kaczyńskiego.

Prezes Orlenu służy też jako straszak na innych polityków, w tym samego premiera Morawieckiego. Od dłuższego czasu pojawiają się bowiem kontrolowane plotki, jakoby miał go zastąpić na stanowisku szefa rządu. Z kolei przyznawanie stanowisk i wpływów różnym frakcjom i koteriom Zjednoczonej Prawicy pozwala Kaczyńskiemu prowadzić obóz rządzący metodą „dziel i rządź". Dzięki niej każdy partyjny możnowładca może liczyć na osiąganie wymiernych korzyści i wykorzystywać je do utrwalania swojej pozycji politycznej, a jednocześnie nie może czuć się wystarczająco pewnie w starciu z innymi możnymi oraz musi wiedzieć, że w razie problemów zostanie usunięty bez sentymentów.

Niemoc w spółkach

Taka polityka pozwala być może skutecznie kierować partią, ale szkodzi w rządzeniu państwem i samym spółkom. Prowadzi do tego, że poszczególni politycy – na zewnątrz prezentujący zwartą postawę – wzajemnie sobie przeszkadzają. ↦

↦ To podgryzanie dotyczy m.in. Sasina i Obajtka. Przykład? Pod koniec października minister aktywów państwowych zażądał od prezesów 23 największych spółek państwowych uzyskania od ABW poświadczenia bezpieczeństwa uprawniającego do dostępu do informacji o klauzuli „tajne". Według Radia Zet wymierzył w ten sposób cios w szefa Orlenu, który nie wypełnił deklaracji obejmującej m.in. informacje o posiadanym majątku, będącym przecież źródłem wielu kontrowersji.

Ponadto, jak informuje „Puls Biznesu", Sasin chce ustanowienia pełnomocnika rządu ds. inwestycji zagranicznych spółek skarbu państwa, który miałby koordynować spójność prowadzonych inwestycji. To dziwaczny ruch, biorąc pod uwagę fakt, iż resort nadzoruje zdecydowaną większość spółek, a zwłaszcza te, które inwestują poza krajem, więc sam ma obowiązek dbać o współpracę między nimi. Wygląda to wszystko tak, jakby Sasin chciał postawić kolejnego urzędnika pilnującego głównie... Obajtka. Orlen, zarówno samodzielnie, jak i poprzez spółki zależne, jest jednym z głównych polskich graczy za granicą.

Jarosław Kaczyński stworzył system, w którym w zmieniających się co rusz ramach instytucjonalnych nieodpowiadający przed nikim bezpośrednio (poza nim samym) politycy (i ich klienci) mogą czerpać korzyści, ale też mocno sobie przeszkadzać. Doprowadziło to do groteskowej sytuacji, że jakiś czas temu Kaczyński skarżył się w wywiadzie udzielonym Interii na... imposybilizm, któremu winne są także spółki państwowe. Ofiarą tegoż miał paść program Mieszkanie Plus, ponieważ takie przedsiębiorstwa jak PKP czy Lasy Państwowe nie chciały sprzedawać ziemi pod budowę domów. Trudno jednak oczekiwać w tym zakresie wzorowej współpracy, jeśli po jednej stronie mamy spółkę PFR Nieruchomości, należącą do Polskiego Funduszu Rozwoju nadzorowanego przez premiera, z drugiej zaś – PKP S.A., nadzorowane przez ministra aktywów państwowych, bądź Lasy Państwowe, odpowiedzialne przed ministrem klimatu i środowiska. Obaj zaś szefowie resortów jedynie formalnie odpowiadają przed premierem, a tak naprawdę przed „szefem wszystkich szefów". Warto przy tym zauważyć, że minister klimatu Anna Moskwa pracowała wcześniej w Orlenie.

Scentralizowany system może sprawdzać się nie najgorzej, ale kierować nim musi ktoś o silnej pozycji i odpowiednich kompetencjach.
Z tym jest obecnie bardzo źle, ale krucho było także przed PiS.

Negatywnym przykładem odgórnego zarządzania spółkami było zobowiązanie tych energetycznych do zakupu akcji Polskiej Grupy Górniczej. Oznaczało to wpompowanie pieniędzy, które mogły pójść na unowocześnianie polskich elektrowni, w nierentowne kopalnie, co kosztowało je, już na starcie, setki milionów złotych. W tym roku skarb państwa kupił PGG od spółek energetycznych za łącznie... siedem złotych. Można powiedzieć, że właściciel w istocie nabył te kopalnie sam od siebie. Jednak to, iż mieliśmy do czynienia poniekąd z przełożeniem PGG z jednej kieszeni do drugiej, nie znaczy, że nic się nie stało. Poszczególne spółki mają osobowość prawną i własne budżety. Za chaos i błędy ich politycznych nadzorców płacimy my, wyższymi rachunkami za prąd.

Odchudzić i naprawić

Przedsiębiorstwa państwowe w Polsce działają źle. Niech nas nie zwiodą raporty o wysokich zyskach tych firm. Największe z nich – obojętne, czy mówimy o branży paliwowej, wydobywczej, energetycznej, bankowej, czy ubezpieczeniowej – to *quasi*-monopoliści na polskim rynku, a przez to ekonomiczne samograje. Lepiej spojrzeć na funkcje społeczne, jakie mają pełnić, a tu nie jest już tak różowo. W kwestii dostępu do prądu grożą nam blackouty (mamy stare elektrownie i sieci przesyłowe), choć zwłaszcza w ostatnim czasie firmy energetyczne wyciskają z nas marżami ostatni grosz. W kraju leżącym na węglu brakuje nam węgla, a benzyna netto stała się jedną z najdroższych w Europie.

Spółek państwowych jest przede wszystkim za dużo. Aktualnie skarb państwa ma udziały w 431 firmach, z czego w 212 – większościowe lub stuprocentowe. W rzeczywistości jest ich znacznie więcej, dochodzą bowiem jeszcze spółki córki i wnuczki, którymi otorbione są te firmy, a także przedsiębiorstwa, w których państwo ma udziały mniejszościowe, ale sprawuje nad nimi faktyczny nadzór dzięki ustawom i strukturze właścicielskiej (to często kolosy, jak Orlen, PZU czy PKO). Nie chodzi oczywiście o to, by pozbywać się wszystkiego, ale konia z rzędem temu, kto potrafi wytłumaczyć, dlaczego państwo ma być zarządcą hoteli (spółka Polski Holding Hotelowy) czy sprzedawać przysłowiową marchewkę (Polski Holding Spożywczy). Jedynym powodem wydaje się duży zasób dobrze płatnych stanowisk, obsadzanych przez aktualną władzę.

Odchudzonym skarbem łatwiej byłoby zarządzać. Znikłoby też wiele pokus dla politycznego wykorzystywania firm. Fakt, system scentralizowany może sprawdzać się nie najgorzej, tyle że kierować nim musi ktoś o silnej pozycji politycznej, a zarazem o odpowiednich kompetencjach. Z tym jest obecnie bardzo źle, ale krucho było także przed PiS. Na ważnym stanowisku ministra skarbu (obecnie aktywów państwowych) ostatnim prawnikiem był Wojciech Jagiełło w rządzie Jarosława Kaczyńskiego (15 lat temu), ostatnim ekonomistą zaś – Jacek Socha w rządzie Marka Belki. Po nich nastąpiła plejada chemików, elektryków, historyków i politologów. Co prawda czasem po dyplomówkach z zarządzania bądź sprawdzonych w biznesie, jednak to nie miało zasadniczego znaczenia dla ich nominacji.

W sprawnie funkcjonującym państwie tacy ministrowie ani nie otrzymaliby stanowisk, ani nie mogliby rządzić resortami jak udzielnymi księstwami. Stałyby nad nimi procedury, niepozwalające powoływać do władz spółek ludzi niekompetentnych, a na wiele stanowisk odbywałyby się konkursy.

Nad tym, jak problem uporządkować, powinna już dziś zastanawiać się obecna opozycja, która, być może, przejmie władzę za rok. Nie będzie to niestety łatwe zadanie, bo kuszących posad jest wiele, a chętnych w kolejce do apanaży w wieloczłonowej koalicji – jeszcze więcej. Podobnie jak okazji do wzajemnych konfliktów paraliżujących największe skarby naszej gospodarki.

© STEFAN SĘKOWSKI

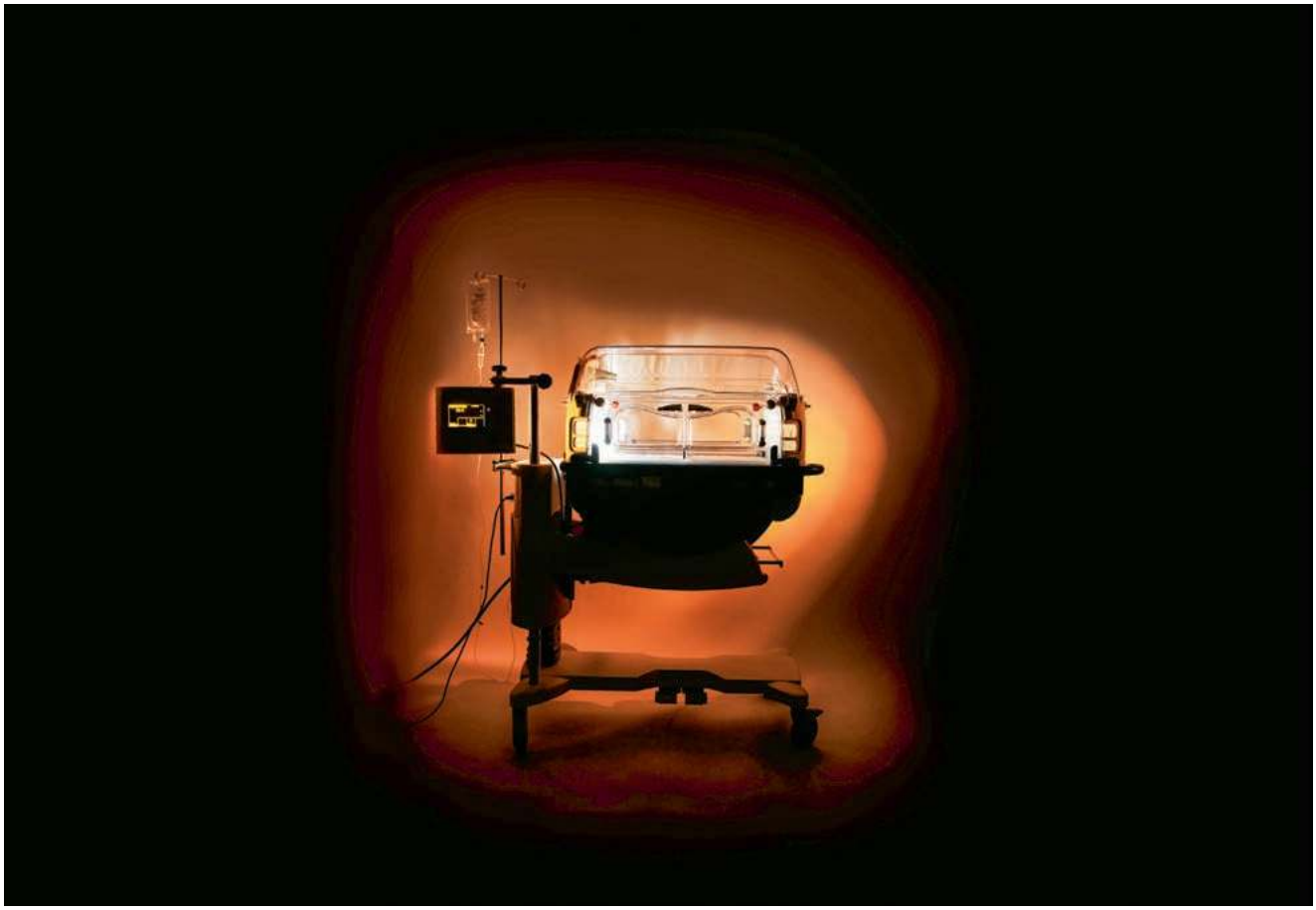

REINER RIEDLER / ANZENBERGER / FORUM

Inkubator neonatologiczny

Ciąża systemowo zagrożona

MAŁGORZATA NOCUŃ

Konflikt w warszawskiej klinice, do której przyjeżdżają kobiety z całej Polski, ukazuje skalę kryzysu polskiego położnictwa. Może się on jeszcze zaostrzyć, bo młodzi lekarze unikają tej specjalizacji. Boją się procesów.

Prof. Mirosław Wielgoś wygrał konkurs na stanowisko kierownika I Katedry i Kliniki Położnictwa i Ginekologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Zdobył poparcie komisji konkursowej oraz Rady Wydziału – wygrał głosami 117 do 40. Jednak rektor WUM, prof. Zbigniew Gaciong zgłosił *votum separatum* i powierzył stanowisko prof. Arturowi Ludwinowi, lekarzowi z Collegium Medicum UJ. Taką możliwość dała mu reforma ministra Jarosława Gowina.

Choć zespół prof. Wielgosia (krajowego konsultanta ds. perinatologii i byłego rektora WUM) próbował od decyzji się odwołać i został wsparty przez środowisko medyczne, prof. Gaciong pozostał przy swoim zdaniu. Efekt jest taki, że w obliczu rektorskiego wotum nieufności prof. Wielgoś złożył wypowiedzenie i z końcem roku rozstaje się z kliniką przy Starynkiewicza. Wraz z nim odejdą lekarze pracujący tam kilka dekad i młodzi adepci medycyny; łącznie ponad dziesięć osób.

Prof. Hubert Huras, kierownik Kliniki Położnictwa i Perinatologii Collegium Medicum UJ, podkreśla, że prof. Wielgoś to perinatolog (dziedzina medycyny dotycząca opieki nad matką i płodem) o wybitnych osiągnięciach. Zajmuje się m.in. leczeniem konfliktu serologicznego i diagnostyką prenatalną. Przez wiele lat sprawował funkcję przewodniczącego Polskiego Towarzystwa Ginekologów i Położników (PTGiP), promując nowoczesne formy opieki nad kobietą w ciąży patologicznej i powikłanej.

Przy Starynkiewicza wykonuje się dziś unikalne na skalę światową zabiegi na sercach płodów, operuje rozszczep kręgosłupa (nieleczony może spowodować wodogłowie i ciężką niepełnosprawność fizyczną), przepuklinę przeponową, przeprowadza dopłodowe transfuzje krwi oraz zabiegi udrożniające cewkę moczową płodu. „U Wielgosia" – jak mówi się potocznie w środowisku lekarskim – pomoc znajdują pacjentki, którym za granicą doradzano terminację ciąży ze względu na wrodzone wady płodu. Dziś są matkami zdrowych dzieci. Na forach internetowych dla mam w zagrożonych ciążach piszą dziś: #murem za prof. Wielgosiem.

Nie przeżyją weekendu

Maria dobrze zapamiętała to uczucie, gdy w ułamku sekundy ekscytacja zmienia się w dojmujący lęk. Na wizytę do ginekolożki umówiła się, by potwierdzić ↦

↦ swoją pierwszą ciążę i jej lokalizację (zagnieżdżona poza macicą zagraża życiu kobiety). Kiedy tylko lekarka rozpoczęła badanie, na obrazie pojawiły się dwa pęcherze płodowe. – Ciąża bliźniacza – powiedziała, a po dłuższej chwili dodała: – Ale proszę poczekać z radością.

Przypadek Marii był ekstremalny. Płody jednojajowych bliźniaków znajdowały się w dwóch workach owodniowych, oddzielała je od siebie cieniutka, ledwie zauważalna podczas badania błonka. Tlen i pokarm dostarczało jedno łożysko.

– Lekarka poinformowała mnie, że w trzynastym tygodniu ciąży najprawdopodobniej dojdzie do syndromu „podkradania" – opowiada Maria. – Jedno z bliźniąt, to „silniejsze" , będzie podbierać krew słabszemu. Płód ten będzie niedotleniony i nieodżywiony. Umrze w moim ciele.

Złe rokowania się sprawdziły. W szesnastym tygodniu różnica w wadze między płodami wynosiła aż osiemdziesiąt gramów. Ginekolożka powiedziała Marii, że system krążenia płodów trzeba natychmiast rozdzielić, operacyjnie. W przeciwnym razie mogła stracić nie jedno, a dwójkę dzieci. Podczas USG ginekolożka cierpliwie tłumaczyła Marii, co widzi na ekranie, który pacjentce jawił się jako obraz czarno-białych plam: „Proszę spojrzeć, jeden z płodów ma za dużo wód, drugi nie ma ich praktycznie wcale, w dodatku jest wciśnięty w łożysko. To źle rokuje".

Maria pochodzi z Małopolski, ale w Krakowie nie mogła liczyć na przeprowadzenie operacji rozdzielenia krwiobiegu u bliźniąt; otrzymała skierowanie na zabieg w warszawskiej klinice przy Starynkiewicza. – Do stolicy przyjechaliśmy z mężem pociągiem. Był czwartek rano. W szpitalu lekarze wykonali USG i powiedzieli, że muszę natychmiast trafić na stół operacyjny. Dzieci miały nie przeżyć weekendu.

Na oddziale Maria poczuła, czym jest wyścig z czasem. – Lekarze stawali na głowie, by skompletować zespół potrzebny do wykonania operacji. Na gwałt ściągali anestezjologa. Byłam zalękniona, ale na szczęście w tym całym zamieszaniu medycy znajdowali czas i dla mnie. Co kilkanaście minut ktoś do mnie przychodził, uspakajał.

Operacja odbyła się w piątek. Dziś dzieci Marii (dwójka zdrowych chłopców) mają już pięć lat.

GRZEGORZ JAKUBOWSKI /PAP

PROF. MIROSŁAW WIELGOŚ, ginekolog i położnik, krajowy konsultant w dziedzinie perinatologii, były rektor Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Wiele pacjentek w ciążach patologicznych (czyli skrajnie powikłanych) nie otrzymuje jednak pomocy na czas. Operacje wysokospecjalistyczne przeprowadza się w zaledwie kilku ośrodkach w Polsce („klinika prof. Wielgosia" tylko do grudnia będzie jednym z nich). Niekiedy wyścig z czasem jest bardzo dramatyczny, zdarza się bowiem, że wady płodu nie zostają w porę rozpoznane przez lekarzy pracujących w rejonowych przychodniach – nie dysponują odpowiednimi umiejętnościami, doświadczeniem klinicznym i sprzętem.

Prof. Piotr Sieroszewski, kierownik I Katedry Ginekologii i Położnictwa Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, podkreśla, że zakwalifikowanie pacjentki do operacji wewnątrzmacicznej stanowi skomplikowaną i niekiedy długą procedurę. – To nie jest wizyta w pralni chemicznej. Pacjentka musi przejść specjalistyczne badania, należy oszacować potencjalne ryzyko zabiegu, skompletować zespół lekarzy. W wielu zabiegach oprócz ginekologów-położników muszą asystować np. chirurdzy naczyniowi, radiolodzy – mówi prof. Sieroszewski.

Nie wiadomo, ile dzieci umiera w łonie matki nie doczekawszy pomocy. Takich statystyk nikt nie prowadzi, na pewno jednak w Polsce dochodzi do podobnych przypadków. Świadczy o tym choćby historia mieszkanki Podhala, Elżbiety. Była w ciąży bliźniaczej, również powikłanej syndromem „podkradania". Jej córki – podobnie jak synowie Marii – wymagały pilnego rozdzielenia krwiobiegów. – Niestety, nie udało się wygrać z czasem. Kiedy trafiłam na oddział, było już za późno – wspomina Elżbieta. – Słabsza dziewczynka zmarła.

Ciąża nie była książkowa

W klinice przy Starynkiewicza odbywały się oczywiście porody naturalne, ale przede wszystkim pomagano pacjentkom w ciążach wysokiego ryzyka, grożących porodem przedwczesnym lub stanowiących zagrożenie dla życia matki.

Małgorzata cierpi na nadciśnienie tętnicze; pierwszą ciążę straciła. Płód nie przybierał na wadze, a w 24. tygodniu ciąży był tak maleńki, że lekarze nie dawali już szans na ratunek. „Musi się pani przygotować na najgorsze: śmierć wewnątrzmaciczną" – usłyszała pacjentka. W kolejnej ciąży Małgorzatę opieką objęła doc. Marzena Dębska, pracująca w klinice przy Starynkiewicza. Przeprowadziła szereg badań, wdrożyła odpowiednie leczenie. – Troszczył się o mnie cały zespół specjalistów, byłam pod stałą kontrolą kardiologiczną, codziennie wykonywano mi masę badań. Gdybym nie została otoczona tak czułą opieką, nie udałoby mi się zostać mamą. Urodziłam przedwcześnie, w 28. tygodniu ciąży, ale synowie wywalczyli sobie życie. Dziś mam dwójkę zdrowych dzieci – mówi z radością mama.

Polska opieka położnicza generalnie zapewnia wysoki poziom bezpieczeństwa kobietom ciężarnym i ich dzieciom: wskaźniki umieralności matek z powodu powikłań ciąży i porodu oraz umieralności okołoporodowej należą do najniższych w Europie. Ten chlubny wynik zawdzięczamy wieloletniej pracy ekspertów, opracowaniu rekomendacji i standardów postępowania w ciążach wysokiego ryzyka czy wprowadzeniu kalendarza badań obowiązkowych w konkretnych tygodniach ciąży.

Niestety, wielu ginekologów z mniejszych ośrodków lub pracujących w popularnych medycznych „sieciówkach" nie potrafi odpowiednio oszacować ryzyka porodu przedwczesnego, potencjalnie śmiertelnego dla matki albo płodu. Nie dostrzegają także wad rozwojowych. Tak było w przypadku Magdy. Kobieta prowadziła ciążę w prywatnej przychodni

medycznej. Podczas wizyt u lekarzy słyszała, że „ciąża rozwija się książkowo". Jednak koleżanka z pracy – matka wielodzietna – zapytała pewnego dnia: „A nie chcesz zrobić sobie porządnego USG na Starynkiewicza?". Magda umówiła się na wizytę. Badanie trwało kilka minut. Szybko poczuła, że lekarz jest zaniepokojony. Usłyszała: „Przełożenie wielkich pni tętniczych. Bardzo ciężka wada".

W łonie Magdy dziecku nic nie zagrażało, ale po przyjściu na świat noworodek musiał przejść operację ratującą życie. Poród mógł odbyć się tylko w szpitalu o trzecim (najwyższym) stopniu referencyjności. Chłopiec przeszedł dwa ciężkie zabiegi kardiochirurgiczne, na OIOM-ie spędził pół roku, kilka razy ocierając się o śmierć. Przeżył, dziś ma sześć lat.

Serce jak pięciogroszówka

Lekarze z zespołu prof. Wielgosia podkreślają: pacjentka musi nam ufać i wierzyć. Nawet w przypadku ciąży najwyższego ryzyka nie może wyczuć, iż lekarz się waha. Jednocześnie wszyscy mówią o gigantycznym stresie, jaki towarzyszy im w pracy. Nie można go oswoić. Choć przeprowadzili setki zabiegów, wciąż czują, że stąpają po grząskim gruncie. To specyfika specjalizacji, którą wybrali. Wiele powikłań w położnictwie (jak np. stan przedrzucawkowy) jest podstępnych. Zdrowie pacjentki może pogorszyć się z godziny na godzinę, a nawet z minuty na minutę. Położnicy zmuszeni są wtedy podejmować decyzje niezwykle trudne, jak wybranie optymalnego momentu na rozwiązanie ciąży. Walczą o życie matki i jednocześnie płodu, który musi być na tyle dojrzały, by okazał się zdolny do życia poza ciałem matki. Prof. Wielgoś podkreśla gorzko, że położnictwo jest jedyną dziedziną medycyny, w której śmiertelność może wynosić dwieście procent, albo więcej – jeśli ciąża była wielopłodowa.

Aż co piąta ciężarna słyszy w Polsce diagnozę: ciąża powikłana. Z powodu cukrzycy, nadciśnienia tętniczego, niewydolności szyjki macicy, przodującego łożyska. Zdarzają się też sytuacje nagłe. Laikowi trudno jednak wyobrazić sobie, jak skomplikowane operacje wykonuje zespół prof. Wielgosia. Płód w 20. tygodniu ciąży mierzy ok. 20 cm, waży ok. 260-300 gramów. Jego serce jest wielkości pięciogroszowej monety, bije z prędkością 140 uderzeń na minutę. Operacja kardiochirurgiczna w łonie matki jest więc niezwykłą sztuką, wymaga precyzji. Przez brzuch przytomnej pacjentki wprowadza się do serca płodu igłę, w której znajduje się np. specjalny cewnik z balonikiem. W ten sposób poszerza się zwężoną zastawkę. Doc. Dębska jako jedyna specjalistka w Polsce zajmowała się kardiochirurgią płodu. Właśnie ogłosiła swoje odejście z kliniki...

Doc. Anna Cyganek rozpoczęła pracę przy Starynkiewicza trzydzieści lat temu. W położnictwie to cała epoka. Lekarka podkreśla, że przez ten czas nie zmienił się budynek kliniki, ale zmieniły się możliwości diagnostyczne. – Kiedyś trudno było sobie nawet wyobrazić walkę o życie dziecka ważącego kilogram. W dokumentacji medycznej odnotowywano, że urodziło się jako żywe dopiero po upływie doby. Dziś taki wcześniak ma duże szanse na przeżycie – mówi doc. Cyganek. I jak większość pracowników kliniki, podkreśla, że szpital jest jej drugim domem. – Na moich oczach klinika stawała się jednym z najważniejszych w kraju ośrodków perinatologicznych. Prof. Wielgoś zdobył najnowocześniejszą aparaturę, ale przede wszystkim stworzył unikatowy zespół. Zaprosił do współpracy najwybitniejszych specjalistów, kształciliśmy też młodych adeptów. Dziś wszyscy ci ludzie złożyli wypowiedzenia z pracy.

Nie wychodzą z sądu

Środowisko ginekologów-położników zrzeszonych w PTGiP jest wstrząśnięte decyzją rektora WUM. Prof. Sieroszewski mówi: – Kształcenie wysoko wyspecjalizowanego zespołu, który potrafi ze sobą owocnie współpracować, zajmuje długie lata. Wymaga nakładów finansowych, wyjazdów na zagraniczne szkolenia, zdobycia odpowiednich certyfikatów. Po co to niszczyć?

Położników nie przekonuje wysuwany przez rektora i zarząd WUM argument, że teraz w klinice przy Starynkiewicza przeprowadzana będzie histeroskopia (badanie macicy i szyjki macicy) oraz operacje nowotworów kobiecych narządów rodnych (nowy kierownik kliniki jest onkologiem). Tym przecież zajmuje się wiele ośrodków w Polsce (także w stolicy), tymczasem klinika prof. Wielgosia była unikatowa.

Zarząd WUM oświadczył (na rozmowę nie mogliśmy niestety liczyć), że decydując się na zmiany personalne w klinice, kierował się „procesem koniecznym dla rozwoju nowych oczekiwanych przez pacjentki świadczeń leczniczych, nowych kierunków badawczych". Klinika ma teraz zapewnić opiekę także pacjentkom cierpiącym na choroby onkologiczne. Kierownictwo uniwersytetu twierdzi również, że znajdzie zastępstwo na miejsce specjalistów, którzy zwolnili się z pracy. To może być jednak wyjątkowo trudne albo wręcz niemożliwe. Położnictwo, a także neonatologia to dziedziny medycyny przeżywające poważny kryzys powołań. Na specjalizacjach z roku na rok zostają wolne miejsca; w niektórych regionach Polski brakuje lekarzy na dyżurach (tak stanie się zapewne i przy Starynkiewicza). Młodzi adepci medycyny wolą wybierać specjalizacje niewiążące się z tak dużym ryzykiem i stresem. Mówi się, że ginekolodzy-położnicy i neonatolodzy „nie wychodzą z sali sądowej". I jest w tym sporo prawdy: w żadnej innej dziedzinie medycyny odsetek roszczeń ze strony pacjentek nie jest tak duży.

Dziennikarze radia RMF spekulują, że prof. Wielgosiowi nie powierzono kierowania kliniką, ponieważ jednocześnie sprawuje funkcję przewodniczącego rady innej uczelni – Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, a to stoi w sprzeczności ze statutem WUM. Argument ten nie pojawiał się jednak w oficjalnych wypowiedziach rektora uczelni. Więcej: prof. Gaciong gratulował prof. Wielgosiowi objęcia tej funkcji w oficjalnym piśmie. Twierdził, że to „wyjątkowe wyróżnienie dla Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego".

■ ■ ■

Prof. Mirosław Wielgoś jako student medycyny myślał, że zostanie pediatrą, potem zastanawiał się nad specjalizacją kardiologiczną, jeszcze później – onkologiczną. Wspomina, że dopiero na szóstym roku studiów, podczas zajęć z ginekologii i położnictwa, zainteresował się tą dziedziną medycyny, a z czasem ją pokochał. Nie wyobraża sobie bez niej życia. Ma nadzieję, że wraz z zespołem znajdą miejsce, w którym będą mogli kontynuować swoją pracę.

Prof. Wielgoś nie chce komentować decyzji rektora WUM. – Czuję jednak ogromny żal i złość, ponieważ rozpada się wspaniały zespół. Przyszłość pozostaje wielką niewiadomą.

© MAŁGORZATA NOCUŃ

TOMASZ

Stawiszyński: *O niebezpieczeństwach fantazjowania*

Zmarły przedwcześnie w 2012 r. brytyjski historyk Nicholas Goodrick-Clarke – jeden z pionierów prężnie się dziś rozwijającej dyscypliny studiów nad zachodnią tradycją ezoteryczną – mawiał często, że fantazje są obszarem zdecydowanie w naukach społecznych niedoszacowanym. Owszem: stosunki materialne, ekonomia, obyczaje, lokalna i globalna polityka, procesy historyczne w mikro- i makroskali – to wszystko ma kolosalną wagę. Czasami jednak – twierdził – po prostu nie sposób adekwatnie pojąć jakiegoś zjawiska, jeśli się nie sięgnie właśnie do tej z pozoru ulotnej, proteuszowej, wydawałoby się: zupełnie niepoważnej dziedziny doświadczenia. Dotyczy to zwłaszcza tych zagadnień, których konwencjonalne ujęcia pozostawiają w nas mgliste wrażenie niedosytu, tak jakby najbardziej nawet wnikliwa analiza ekonomiczna, socjologiczna czy historyczna nie dosięgała sedna albo też dosięgała go jedynie naskórkowo.

Posługując się właśnie taką metodą – to znaczy precyzyjnie analizując fantazje, ekscentryczne opowieści, dziwaczne mitologie, niszowe tajne stowarzyszenia, słowem: wszystko to, co w oczach poważnych analityków uchodziło i do dziś często uchodzi za, w najlepszym razie, niegodną uwagi redundancję – stworzył Goodrick-Clarke fascynującą monografię „Okultystyczne źródła nazizmu". I pokazał w niej krok po kroku, w jaki sposób plątanina irracjonalnych pseudonaukowych wywodów i osobliwych wierzeń – na czele z tzw. ariozofią – stała się imaginacyjną matrycą jednego z najbardziej bezlitosnych i bezwzględnych systemów zbrodni w ludzkich dziejach.

Przyznam, że o diagnozach brytyjskiego historyka przypominam sobie w ostatnich miesiącach nader często. Nie tylko przy okazji mniej lub bardziej sensacyjnych doniesień o rzekomych rytuałach magicznych sprawowanych pod osłoną nocy na Kremlu czy też rozważań o domniemanym wpływie ekscentrycznych idei Aleksandra Dugina na postępowanie prezydenta Rosji. To są – mogę się zgodzić – sprawy albo mało poważne, albo w gruncie rzeczy mało znaczące. Goodrick-Clarke przypomina mi się raczej w kontekście kolejnych przemów Putina definiujących aktualną sytuację w Ukrainie jako świętą wojnę pomiędzy bastionem tradycyjnych wartości i tradycyjnej metafizyki – czyli Rosją – a pogrążonym w moralnym i duchowym upadku „kolektywnym Zachodem". Przypomina mi się również, kiedy widzę, jak początkowo bardzo intensywnie w języku rosyjskiej propagandy obecny mitologem „denazyfikacji" bywa coraz częściej zastępowany – jak to niedawno *expressis verbis* ujął Aleksiej Pawłow, doradca Dmitrija Miedwiediewa – „desatanizacją".

Ukraina bowiem – wedle Pawłowa, którego wypowiedź obficie cytowała agencja RIA Novosti, a za nią wiele światowych serwisów – miała stać się w ostatnich latach terenem rozkwitu najstraszliwszych neopogańskich sekt, spośród których oficjalny amerykański Kościół Szatana (ten sam, który jakiś czas temu ufundował w Detroit okazałą figurę Bafometa, bóstwa rzekomo czczonego przez templariuszy, tak w każdym razie twierdził XIX-wieczny francuski okultysta Eliphas Lévi) wcale nie należy ani do najpotężniejszych, ani nawet do najbardziej złowieszczych. Najeżdżając Ukrainę i dokonując tam straszliwych zniszczeń, dzielna armia rosyjska nie walczy zatem wyłącznie o „bezpieczeństwo ojczyzny" czy też odsunięcie od władzy panującego tam „strasznego, neonazistowskiego reżimu". To są wszystko sprawy istotne, to prawda, niemniej w perspektywie eschatologicznej, przyznajmy, drugorzędne. Czy może być bowiem cokolwiek ważniejszego aniżeli bój z samym szatanem?

Wbrew pozorom, wbrew prześmiewczym komentarzom i memom, od których zaroiło się w sieci po wypowiedzi Pawłowa, sądzę, że jego słowa należy traktować poważnie. A przynajmniej tak – przypuszczam – potraktowałby je Goodrick-Clarke. Osobliwą właściwością tego rodzaju fantazji bowiem – zwłaszcza fantazji odwołujących się do archetypowych wymiarów istnienia: dobra, zła, śmierci, życia, losu, cierpienia, wojny, ofiary – jest ich swoista autonomia wobec świadomych zamiarów, zamierzeń oraz intencji tych, którzy, by się tak wyrazić, puszczają je w ruch. Niezależnie więc od tego, czy „szatańską" retoryką – włączając w to także wszystkie przemówienia o świętej Rosji i zdeprawowanym kolektywnym Zachodzie – Putin i jego otoczenie posługują się czysto cynicznie, czy też naprawdę w to wierzą, pewne metafory i mitologemy po prostu kotwiczą się w zbiorowej wyobraźni. A potem niepostrzeżenie wnikają w jej materię, rozrastają się i anektują kolejne połacie. Aż wreszcie, po pewnym czasie, zamieniają się miejscami z rzeczywistością. I wówczas już nie wiadomo, co było pierwsze, a co wtórne; co było tylko pretekstem, a co faktycznym przekonaniem; co było snem, a co realnością. Zupełnie jak w tej słynnej taoistycznej opowieści o człowieku, który śnił, że jest motylem, po obudzeniu zaś nigdy już nie był pewien, czy jest człowiekiem, któremu się śniło, że jest motylem, czy też motylem, któremu śni się teraz, że jest człowiekiem.

Problem tylko w tym, że motywowane takimi fantazjami działania mają przemożnie rzeczywiste, żeby nie powiedzieć: upiornie rzeczywiste konsekwencje. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

fanimani.pl

Droga Czytelniczko! Drogi Czytelniku!

TYGODNIK POWSZECHNY

Dziękujemy, że czytacie „Tygodnik Powszechny” w wersji drukowanej. Zależymy wyłącznie od Czytelników – nadajecie sens naszej pracy, a zakup pisma jest podstawowym źródłem finansowania naszej działalności. Chcemy lepiej Państwa poznać – **dlatego prosimy o wypełnienie ankiety, której pytania publikujemy poniżej**. Ankietę wypełnić można pod adresem **powszech.net/ankieta22** lub po zeskanowaniu kodu QR.

Wszyscy, którzy wezmą udział w naszej ankiecie, otrzymają bezpłatny dostęp do strony TygodnikPowszechny.pl na 10 dni.

Dziękujemy! Państwa opinia jest bardzo ważna!

- **Dlaczego kupiłeś(aś) to wydanie w wersji papierowej?**
- **Gdzie kupiłeś(aś) ten egzemplarz?**
  W kiosku / Empiku / Sklepie / Na stacji benzynowej / W innym miejscu – gdzie?
- **Jak się dowiedziałeś(aś) o tym numerze „Tygodnika”?**
  Z internetu / Ktoś mi polecił / To był przypadkowy zakup / Z innego źródła – jak?
- **Dlaczego sięgnąłeś / sięgnęłaś po ten numer?**
  Z powodu okładki / Z powodu konkretnego tekstu / Dla autorki albo autora / Inny powód – jaki?
- **Jak Ci się podoba okładka tego numeru?**
- **Gdzie i kiedy czytasz „Tygodnik”?**
- **Od jak dawna znasz i kupujesz „Tygodnik”?**
- **Czy każdy numer kupujesz w wersji papierowej?**
  Tak / Nie, czytam także w internecie / Kupuję od czasu do czasu, ale tylko wydanie papierowe
- **Czy kupując wydanie papierowe chciał(a)byś mieć dostęp także do wydania w internecie?**
  Tak / Nie / Dlaczego?
- **Czy kupujesz prasę regularnie?**
  Tak / Nie / Dlaczego?
  Jeśli tak, podaj tytuły gazet, które kupujesz regularnie
- **Czy czytasz prasę w internecie?** Prosimy o tytuły
- **Czy płacisz za dostęp do prasy w internecie? Jak dużo?**
- **Jaka tematyka interesuje Cię w „Tygodniku”? (Możesz wybrać kilka odpowiedzi)**
  Temat Tygodnika / Kraj / Reportaż / Polityka / Świat / Wiara i duchowość / Nauka / Kultura / Publicystyka / Zmysły / Rozmowy / Felietony
- **Która część pisma jest najciekawsza? (Możesz wybrać kilka odpowiedzi)**
  Temat Tygodnika / Kraj / Reportaż / Polityka / Świat / Wiara i duchowość / Nauka / Kultura / Publicystyka / Zmysły / Rozmowy / Felietony
- **Czy jakiejś tematyki powinno być więcej?**
- **Czy masz ulubione autorki i ulubionych autorów, na których teksty czekasz?**
- **Czy są działy, których nie czytasz? Dlaczego?**
- **Czy rozważałeś / rozważałaś przejście na prenumeratę?**
  Tak / Nie / Dlaczego?
- **Co wyróżnia „Tygodnik” wśród innych pism?**
- **Ile osób czyta Twój egzemplarz poza Tobą?**
- **Wiek** <24 / 25-35 / 35-50 / 50-70 / >70
- **Płeć** K / M / Inna
- **Miejsce zamieszkania** Duże miasto / Małe miasto / Wieś

Informacje dotyczące RODO dostępne są pod adresem: powszech.net/ankieta-rodo

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WIARA

ODJANIEPAWLANIE

Dla starszych ciągle jest autorytetem, choć pojawiają się pierwsze rysy. Młodzi są obojętni i chętnie z rozbuchanego kultu Jana Pawła II żartują. Nie ma pomysłu na sprawiedliwą pamięć.

JAN RYBICKI

WOJCIECH BARCZYŃSKI / FORUM

Telewizja Religia TV. Początek drugiej dekady XXI wieku oraz początek pewnego zjawiska, które na przestrzeni lat zadomowi się na dobre w polskiej kulturze.

„W internecie są obrażani ludzie święci. Chciałbym się odnieść do Jana Pawła II, który jest obrażany przez forum wykop.pl, forum lewacko-terrorystyczne, i nikt z tym nic nie może zrobić" – mówi jeden z telefonujących.

Przytakuje mu dziewczyna, która przedstawia się jako Jagoda. Zaczyna swoją tyradę przeciwko osobie „szkalującej papieża". Ksiądz prowadzący program uśmiecha się, rozbawiony i chyba ucieszony wyrazem oddania papieżowi.

„No i ja się pytam człowieku dumny ty jesteś z siebie zdajesz sobie sprawę z tego co robisz?masz ty wogóle rozum i godnośc człowieka?ja nie wiem ale żałosny typek z ciebie ,chyba nie pomyślałes nawet co robisz i kogo obrażasz" – mówi Jagoda.

Nagranie z programu staje się hitem internetu. Użytkownicy wiedzą, że Jagoda nie była oburzona, tylko przeczytała kawałek znanego tekstu (z interpunkcją i ortografią jak wyżej). Nie wiadomo, kto go stworzył.

– Pytać o to, skąd coś się wzięło w internecie, to jak pytać etnologa o pochodzenie bajki – mówi prof. Magdalena Kamińska, zajmująca się antropologią internetu. Nie ma znaczenia, czy tekst został wystylizowany na oburzenie, czy pierwotnie je wyrażał. Stał się memem, wklejanym w tysiącach postów. Do dziś funkcjonuje jako rodzaj drwiny z osób, które traktują treści w internecie zbyt serio.

W programie nie pomylono się co do jednego: żarty z Jana Pawła II zdobywały niespotykaną popularność.

Trolling, czyli sztuka prowokacji

Wszystko zaczęło się ponad dekadę temu na chanach, czyli anonimowych, nieco hermetycznych forach internetowych. Był to wulgarny rodzaj humoru. Określenie „cenzopapa", teraz oznaczające jakikolwiek mem z papieżem, wzięło się z serii filmów i obrazków pornograficznych, na których twarz Jana Pawła II zasłaniała intymne części ciała. Inne obrazki sugerowały pedofilskie skłonności papieża.

Treści tworzone na chanach i publikowane w innych częściach internetu oburzały, czyli zdaniem badaczki doskonale realizowały swoje pierwotne zadanie.

– Jan Paweł II był dobrym celem do memów, bo był otoczony powszechnym kultem – przyznaje Franek (rocznik 1999). Mieszka w akademiku w Rzeszowie, gdzie studiuje lotnictwo. Pochodzi z Pszczyny. W tamtejszym gimnazjum odkrył z kolegami cenzopapy, którymi cieszy się do teraz.

Nie robił obrazków z papieżem dlatego, że miał coś przeciwko niemu. Sam Jan Paweł II nie bardzo go interesował. Podpuszczanie innych w internecie było natomiast komiczne. Czasem zdenerwowani ludzie chcieli się z jego internetowym alter ego bić. Raz dostał wiadomość „będziesz wisieć, lewacka szmato": to go wyjątkowo ucieszyło, bo w rzeczywistości jest zwolennikiem kapitalizmu i minimalnego państwa. Uważa, że żartować można ze wszystkiego.

Montaż największego na świecie pomnika Jana Pawła II. Częstochowa, 8 kwietnia 2013 r.

Papierek lakmusowy

Profesor Kamińska sądzi, że treści w internecie były tak radykalne, ponieważ w sieci potrzebny jest mocniejszy komunikat, by wywołać jakiekolwiek emocje. A o oburzenie najłatwiej. Jej zdaniem pierwsze memy z papieżem były tworzone przez pokolenie urodzone w latach 80. i 90. – sugerowały to umiejętności fotomontażu. Później, kiedy upowszechnił się Facebook, zrobiły karierę wśród młodszego pokolenia, które nie pamiętało Jana Pawła II.

Prof. Kamińska za fascynujące uważa to, że memy z papieżem nie sprowadzały się do prowokacji. Doczekały się niepoliczalnej ilości wersji: obrazoburczych, absurdalnych i tych akceptowalnych dla młodych katolików. Rozmiar i trwałość zjawiska ocenia jako ewenement na skalę światową. Jej zdaniem nie obrazki są ważne, ale ich odbiór. Reakcje na memy uważa za papierek lakmusowy zmian w społeczeństwie.

Środek wyrazu

Tomek (rocznik 1995) pracuje dla dużej korporacji w Gdańsku i zaocznie studiuje historię sztuki. Rozumie, dlaczego niektórzy się obrażają na memy papieskie, ale nie do końca może z nimi współodczuwać, bo sam nie czuje do nikogo tak nabożnego szacunku. Jeśli ma jakiś autorytet, to byłby nim Władysław Bartoszewski. Pontyfikat Jana Pawła II ocenia negatywnie, a Kościół uważa za instytucję szkodliwą.

Może też dlatego cenzopapy go bawią, ale przede wszystkim chodzi o absurd. Nawet te z pedofilią: właśnie dlatego, że są zwyczajnie głupie. Ma do nich rodzaj sentymentu, kojarzą mu się z czasami gimnazjum.

– To jest czysty brak szacunku. Jan Paweł II został nazwany świętym z jakichś powodów – mówi Ania, która uczy się w liceum w klasie o profilu fotograficzno-językowym. Jest agnostyczką, ↦

↦ Biblia to dla niej lektura szkolna. Ale ma papieża za mądrego człowieka, i skoro jest dla chrześcijan ważny, to nie należy się z niego śmiać.

– Cenzopapy nie są na poważnie, to po prostu beka. Trochę więcej dystansu – doradziłby jej Tomek.

– Mało śmieszna beka – odgryzłaby się nastolatka.

Adam (rocznik 2005) w tej dyskusji byłby mediatorem. Jest w III klasie liceum i chce studiować psychologię.

Dla niego memy z papieżem i pedofilią są za ostre, ale uważa, że w jakiś sposób wynikają ze złości na Kościół za ukrywanie skandali. On sam tworzy sporo obrazków, które są rodzajem komentarza do rzeczywistości. Mem to dla niego „żart i środek wyrazu".

Papieża bardzo szanuje i cenzopap nie robi, żeby nikogo nie urazić. Ale „swoim" przesyła obrazki i absurdalne rymowanki. Sam pisze wiersze i rymy go cieszą (np. „Jan Paweł II, syn Tabalugi").

Zagrożenie

Kiedy Jan Paweł II pojawia się w telewizji, w internecie pojawiają się memy. Kanonizacja dała cenzopapie drugie życie. Miała swój mały renesans po odsłonięciu rzeźby Jana Pawła II stojącego w czerwonej sadzawce, trzymającego meteoryt nad głową.

– Niektóre z tych pomników są estetycznie trudne do zaakceptowania – przyznaje ks. Łukasz Nycz z Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia" – ale przecież za każdym takim pomnikiem stoi wiara człowieka, jego nawrócenie, inspiracja.

Fundacja prowadzi program stypendialny skierowany do uczniów ostatnich klas szkoły podstawowej, szkół średnich i studentów pochodzących z niezamożnych rodzin i małych miejscowości. Poza pieniędzmi „w pakiecie" jest program formacyjny: spotkania co miesiąc i wakacyjny wyjazd w jedno z miejsc, które odwiedził papież. Tam młodzi spotykają się ze świadkami tych wydarzeń, rozważają jego nauczanie. Zdaniem ks. Nycza siłą fundacji jest to, że tworzy środowisko wsparcia, „rodzinę fundacyjną", gdzie stypendyści „mogą doświadczyć autentyczności i ponadczasowości nauczania św. Jana Pawła II".

Bo młodzieży trudno wyłamać się z trendu wyśmiewania Jana Pawła II.

> Niektórym młodym Jan Paweł II kojarzy się z Gandalfem, który przemierzał świat, innym z polską zaściankowością i dewocją. Dla jeszcze innych **jest postacią historyczną.**

Ks. Nycz mówi, że często nieświadomie wspierają działanie machiny medialnej, której intencja jest jasna: złamać autorytet świętego. Dlatego w memach widzi zagrożenie.

– Słyszymy „św. Jan Paweł II" i pyk, w naszej głowie pojawia się mem. Nie cytat, nie obraz papieża, który się modli, klęczy, pochyla nad osobą chorą i cierpiącą. Zamiast jakiegoś pięknego, głębokiego obrazu – cyk – mem.

We wszechobecności Jana Pawła II widzi za to szansę. Bo przecież to młodych ludzi ciekawi – kim był, dlaczego przykłada się do tego wagę?

Mantra

Maćka papieski kult zainspirował do zapoznania się z pismami papieża. Konkretniej: dyskusja o tym, dlaczego papieski kult bywa ciężkostrawny. Ma 22 lata, studiuje na Politechnice Gdańskiej i jest liderem wspólnoty akademickiej. Jego rodzice są bardzo religijni.

– Nie bawi mnie naśmiewanie się z człowieka – tłumaczy. Żartuje z „kremówkowego kultu", bo ma go dosyć.

Wie, że jego mamę obraża każdy żart z Jana Pawła II. Sam ma kilka wspomnień z papieżem. Pamięta jego śmierć: mama płakała, a on miał poczucie, że odszedł ktoś bardzo ważny.

Zastąpiły go ulice, skwery, parki, place, pomniki, tabliczki i co roku te same kadry w telewizji. Kilka cytatów powtarzanych na kazaniach przy okazji rocznic: urodzin, śmierci, święceń kapłańskich, wyboru na papieża, beatyfikacji, kanonizacji. „Każdy ma swoje Westerplatte" „Niech stąpi Duch twój", „To jest moja matka, ta ziemia" „Wymagajcie od siebie...", słyszał co roku. Te zdania wryły się w jego głowie i jednocześnie straciły znaczenie. Nudziły go.

Głos świętego

Dla ks. Nycza wciąż samo brzmienie głosu św. Jana Pawła II bywa poruszające. Skrzętnie zbierał nagrania z jego homiliami. Papieża widział raz, na trasie jego przejazdu podczas pielgrzymki w roku 1997.

– Zapamiętałem ogromny blask, który bił od świętego Jana Pawła II, to światło i ciepło – mówi.

Później papież towarzyszył mu przy rozeznawaniu powołania. Czuje do niego „ogromny szacunek i wdzięczność". Stara się je przekazać młodemu pokoleniu. W fundacji spotykają się młodzi już zadeklarowani, zaciekawieni Janem Pawłem II, chcący go poznać. Zdaje sobie sprawę z tego, że mogą tworzyć „piękną bańkę".

Inna popularność

Dr Rafał Boguszewski, socjolog zajmujący się postawami młodzieży, mógłby się z nim zgodzić. Według badań CBOS w grupie wiekowej 18-24 lata odsetek osób uznających Jana Pawła II za autorytet błyskawicznie spada: w ciągu ostatnich czterech lat z 81 do 64 proc.

Socjolog zwraca uwagę, że to badanie deklaratywne, w którym respondenci mogą zgodzić się (lub nie) ze stwierdzeniem, że Jan Paweł II jest dla nich autorytetem. W takich pomiarach badani nierzadko udzielają odpowiedzi życzeniowej, by ukazać się w lepszym świetle. Kiedy w 2009 r. zadano (bez podziału na grupy wiekowe) otwarte pytanie o autorytet, 52 proc. badanych uznało, że nie ma żadnego. Jan Paweł II zajął 2. miejsce (17 proc.), spektakularnie przegrywając z „rodzicami" (52 proc.).

Zdaniem dr. Boguszewskiego osłabienie pozycji papieża wynika z ogólnego spadku zaufania do Kościoła.

– Młodzi raczej nie myślą w kategoriach „autorytetów" – dodaje. – Wszechobecność papieskiego kultu z pewnością wpływa na popularyzację tej postaci, zdaje się jednak, że często nie taką, na jakiej Kościołowi mogłoby zależeć.

Zwłaszcza w najmłodszym pokoleniu.

21.37

W życiu Natalii (rocznik 1985) papieża nigdy nie było, dopóki nie zaczęła z niego żartować. Te żarty cieszą ją chyba dlatego, że są tak popularne i autoironiczne. Bo ma wrażenie, że Polacy rzadko są autoironiczni.

Najlepsza godzina na wysłanie papieskiego mema to 21.37. Wtedy w mediach społecznościowych pojawia się ich najwięcej. Sama godzina śmierci papieża stała się memem. Rzeczywistość dostarcza ich w obfitości: liczba pojawia się na paragonach, tablicach rejestracyjnych, istnieją mieszkania nr 37 w bloku 21 przy ulicy Jana Pawła II (Maciek z duszpasterstwa: kiedy będziemy starsi, to będzie najdroższy adres w mieście). Kiedy liczba 2137 pojawia się gdzieś, można jej zrobić zdjęcie i wrzucić na stronę poświęconą memom z papieżem.

„O, już późno, 21.37" – rzucił na pierwszej randce Tomek, który uważa, że Kościół jest szkodliwą instytucją. Chciał sprawdzić, czy dziewczyna zrozumie i czy ma dystans.

Dla żartu „Barkę" śpiewał o 21.37 Maciek ze znajomymi z duszpasterstwa. Teraz uważa to za trochę głupie, ale wtedy go to bawiło.

Kiedy „Barkę" śpiewają na obozach stypendyści fundacji, ks. Nycz reaguje. Dołącza do nich, a później mówi: „pomódlmy się".

– Za fundacje, za darczyńców. Chodzi o pokazanie, że to jest ważna godzina, którą pamiętamy. Nie robię kazania, bo to nie przyniesie rezultatu. Ale oni mają już doświadczenie, że to godzina modlitwy: w myśl ewangelicznej zasady „zło dobrem zwyciężaj".

– Nie wiem, kogo miałoby to obrażać – mówi Adam marszcząc brwi. – Rozumiem, że dla niektórych śmierć jest tematem tabu, ale nie zgadzam się z tym. Jan Paweł II jest dla mnie postacią historyczną. Po Mieszku I też nie płaczę.

Na cześć papieża otrzymał swoje drugie imię. Przygotowując się do bierzmowania, zaczął zastanawiać się nad swoimi patronami i odkrył, że z Janem Pawłem się rozumie: obaj wierzą w miłosierdzie. Traktuje go jako wzór: kojarzy mu się w jakiś sposób z Gandalfem, który przemierzał świat z jednego końca na drugi, wierny swojej misji, zajmujący się sprawami małych.

Memy z Karolem Wojtyłą doczekały się niepoliczalnej ilości wersji: obrazoburczych, absurdalnych i tych akceptowalnych dla młodych katolików. **Dla badaczy to fenomen.**

Ale czy z szanowanych postaci nie może się śmiać?

W kościelnej nauce przeszkadza mu stosunek do osób nieheteronormatywnych i rozwiedzionych. Ale nie ma o to pretensji do Jana Pawła II. – Jak na swoje czasy, był liberalny – ocenia i przypomina o Soborze Watykańskim II. – Każdy jest dzieckiem swoich czasów. Nie miał pełnego oglądu. Być może dzisiaj inaczej by patrzył na niektóre rzeczy.

Dwóch papieży

Maciek w końcu wyszedł poza sztampowe cytaty, które tak go nudziły. Przeczytał któryś z papieskich listów i pomyślał, że to głęboki tekst. Spodobało mu się, jak w swoim wywodzie Wojtyła przechodzi od zwykłych, ludzkich emocji do Boga. Przeczytał homilie, z których wzięto powtarzane w nieskończoność cytaty, i odkrył, że to, co sądził o papieżu, to bzdura, bo „każdy ma swoje Westerplatte" jednak ma sens.

Papież wydał mu się bardzo autentyczny. Dlatego nie wierzy, że mógł wiedzieć o pedofilii McCarricka. Przeczytał cały raport, żeby wyrobić sobie zdanie na ten temat.

– Myślę, że ta sprawa go obciąża. Albo inaczej... Łatwo mi tak powiedzieć z dzisiejszej perspektywy, kiedy wiem to, co wiem. Być może była w tym jakaś naiwność papieża. Jakby był człowiekiem nie na ten świat.

Tomkowi takie wytłumaczenie nie wystarcza. Pontyfikat Polaka ocenia negatywnie. W ogóle Jan Paweł II kojarzy mu się z tymi cechami Polaków, których nie lubi najbardziej: zaściankowość, dewocja, nacjonalizm.

Po namyśle uznaje, że żadne z tych słów nie pasuje mu do samego Wojtyły. Raczej do osób, które jego wizerunkiem się posługują. Bo papież, którego zapamiętał z dzieciństwa, był inny. Pamięta go jako schorowanego człowieka. Wciąż ma przed oczami scenę, jak podchodzi do drzwi w bazylice Świętego Piotra: wielkie, metalowe wrota i zgarbiony starzec, dla którego zrobienie kolejnego kroku jest wysiłkiem. Mały Tomek mu współczuł, wzruszał go ten obraz. I dalej trochę wzrusza.

– Może jego niezłomność? Widać było, że nie miał do tego zdrowia, ale bardzo się starał. I ta ludzka słabość. Kontrast pomiędzy tym, kim był, i jak był postrzegany – stara się odtworzyć tę emocję.

Wychodzi mu, że czuje niechęć nie do samego Wojtyły, tylko do tego, kim się stał po swojej śmierci.

Na dobre i na złe

Ks. Nycz stara się szukać pozytywów.

– Bo przecież ten wielki atak na jego osobę to znak tego, że jest postacią ważną i wielką – mówi.

Dla prof. Kamińskiej to problem bardziej złożony: – Nawet ci, którzy Jana Pawła II mają dosyć, nie mogą się od niego uwolnić. Równocześnie go kochamy, nienawidzimy, śmiejemy się z niego. To po prostu znaczy, że stał się pełnowymiarową postacią, która na dobre zasiedliła naszą wyobraźnię.

© JAN RYBICKI

Wrocławski Klub TP świętuje 10-lecie!

NASZYM PRZYJACIOŁOM z wrocławskiego Klubu dziękujemy za obecność i zaangażowanie w wiele inicjatyw społecznych. Tworzycie wyjątkowe miejsce do debaty i dialogu. Życzymy Wam kolejnych wspaniałych inicjatyw oraz kolejnych dobrych lat!

Redakcja „Tygodnika Powszechnego"

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Bezsilność

MARTA KIEŁCZEWSKA-KONOPKA Z PARYŻA

We francuskim Kościele kardynał przyznał się do pedofilii, a biskup uprawiał rozbierane spowiedzi. Skandal goni skandal. Czy ten kryzys jest do przezwyciężenia?

Zachowałem się nagannie wobec 14-letniej dziewczynki 35 lat temu, kiedy byłem proboszczem. Moje czyny z pewnością wywołały u niej poważne i trwałe konsekwencje. Postanowiłem przerwać milczenie. Oddaję się do dyspozycji sprawiedliwości, zarówno świeckiej, jak i kościelnej. Ją samą i jej rodzinę proszę o przebaczenie". Wyznanie 78-letniego kardynała Jean-Pierre'a Ricarda wstrząsnęło 120 biskupami zgromadzonymi od 3 do 8 listopada w Lourdes na jesiennym zebraniu plenarnym konferencji episkopatu. Tym bardziej że dwukrotnie był jej przewodniczącym (2001-2007) i wielu z obecnych księży otrzymało święcenia z jego rąk. Co więcej, były arcybiskup Bordeaux, który trzy lata temu przeszedł na emeryturę, jest członkiem Dykasterii Nauki Wiary, organu kurii rzymskiej odpowiedzialnego m.in. za rozpatrywanie przypadków pedofilii w Kościele, uznanej za *delicta graviora* – przestępstwa najpoważniejsze.

Mianowany kardynałem w 2006 r., jest jednym ze 127 kardynałów elektorów uprawnionych do wyboru papieża. To także czwarty kardynał zamieszany w afery pedofilskie – po Austriaku Hermannie Groërze (Wiedeń), Brytyjczyku Keicie O'Brienie (Edynburg) i Amerykaninie Theodorze McCarricku (Waszyngton).

„To przyznanie się do winy było dla nas szokiem. Możemy tylko sobie wyobrazić zdumienie wszystkich katolików we Francji" – wyznał bp Éric de Moulins-Beaufort, przewodniczący episkopatu, po przeczytaniu listu od kardynała Ricarda podczas naprędce zaimprowizowanej, na dzień przed zamknięciem obrad, konferencji prasowej.

Ofiara przerywa milczenie

Za ujawnieniem afery stoi dominikanka Véronique Margron, teolożka, psycholożka i przewodnicząca Konferencji Zakonów Francji, od lat zaangażowana w niesienie pomocy ofiarom agresji i nadużyć seksualnych kleru. To ona, wraz z biskupem Érikiem de Moulins-Beaufortem, w 2018 r. powołała do życia Niezależną Komisję ds. Nadużyć Seksualnych w Kościele (Commission indépendante sur les abus sexuels dans l'Église, CIASE).

Złożona z 22 ekspertów, po dwóch i pół roku prac opublikowała liczący ponad 2 tys. stron raport o rozmiarach pedofilii w Kościele francuskim, liczbę jej ofiar w latach 1950-2020 szacując na 330 tys. (216 tys. z rąk księży i zakonników, reszta – laików pracujących na rzecz Kościoła). Na fali wstrząsu wywołanego tym raportem w listopadzie 2021 r. episkopat uznał swoją „odpowiedzialność instytucjonalną", jak również systemowy charakter przemocy seksualnej wobec dzieci. Obiecał reformę i zadośćuczynienie ofiarom.

Ofiara kardynała Ricarda zgłosiła się do siostry Véronique Margron kilka miesięcy później, w lutym 2022 r. Zdecydowała się opowiedzieć jej swoją historię, wstrząśnięta informacją, że kardynał został mianowany przez Rzym opiekunem wspólnoty katolickiej Ogniska Miłości (Foyers de Charité), w której doszło do poważnych przypadków przemocy seksualnej księży wobec konsekrowanych świeckich. Po gremialnym odwołaniu dyrekcji międzynarodowego ruchu kardynałowi powierzono misję zmiany sposobu zarządzania wspólnotą i wysłuchania ofiar.

„Kobieta, która teraz ma ok. 50 lat, poprosiła mnie o znalezienie sposobu na skłonienie kardynała do ustąpienia ze stanowiska. Poinformowałam o wszystkim przewodniczącego episkopatu. Po kilku dniach kard. Ricard oznajmił swoją dymisję" – ujawniła Margron.

„Bardzo prawdopodobne, że minimalizuje on znaczenie zarzucanych mu czynów, jak większość przestępców seksualnych. Ofiara wyznała mi, że musiała przejść przez gruntowną psychoterapię" – stwierdziła siostra Margron na antenie radia France Inter. Jej zdaniem jest „moralnie nie do przyjęcia", by kardynał zachował swój tytuł. „Naiwnością jest wierzyć sprawcom na słowo, niesie to ze sobą ryzyko poplecznictwa. Trudno jest jednak zwalczać ten etos naiwności oparty na zaufaniu, będącym wszak podstawą kultury chrześcijańskiej" – dodała.

We wtorek 8 listopada prokuratura w Marsylii wszczęła z urzędu dochodzenie w sprawie „agresywnej napaści seksualnej", by wstępnie zweryfikować fakty, łącznie z ich datowaniem. Wysłucha ofiarę i jej powierników. Ma też dociekać potencjalnego istnienia innych ofiar.

VANDEVILLE ERIC / ABACA / FORUM

Kardynał Jean-Pierre Ricard w sypialni Seminarium Francuskiego w Rzymie. 1 marca 2013 r.

Ze swojej strony Watykan również zapowiedział przeprowadzenie dochodzenia.

Wciąż zmowa milczenia

Oburzenie katolików we Francji jest tym większe, że to kolejny skandal, który wstrząsa Kościołem w ich kraju.

„Targają nami sprzeczne uczucia złości, wstydu, bezsilności, niedowierzania, być może nawet wzajemnej nieufności. Wyczuwamy gniew, zniechęcenie i znużenie wiernych, którzy wątpią w naszą wolę położenia kresu praktykom umożliwiającym i tuszującym nadużycia" – stwierdził biskup de Moulins-Beaufort 3 listopada na otwarciu obrad episkopatu.

Odniósł się w ten sposób do skandalu, który wybuchł 14 października w związku z ujawnieniem rozbieranych spowiedzi uprawianych przez emerytowanego biskupa diecezji Créteil Michela Santiera w latach 90. XX wieku, wówczas jeszcze księdza. Ten zaangażowany w dialog międzyreligijny i aktywnie działający w ruchach charyzmatycznych duchowny został oskarżony w marcu 2019 r. przez dwóch młodych mężczyzn o „podglądactwo" i „nadużycie władzy duchowej" (obaj brali udział w rocznym kursie Szkoły Modlitwy dla 18-30-latków, której Santier był dyrektorem).

Prałat przyznał się do zarzucanych mu czynów, zarzekając się, że to jedyne przypadki. Tymczasem już trzy kolejne osoby twierdzą, że padły jego ofiarą.

Opinię publiczną oburzyła nie tylko instrumentalizacja sakramentów do celów seksualnych, lecz także zatajenie tego wykroczenia przez hierarchów Kościoła. Oficjalnie bowiem biskup Santier podał się do dymisji w czerwcu 2020 r. ze względów zdrowotnych. Po hospitalizacji z powodu ciężkiego przebiegu covid uzasadnienie brzmiało wiarygodnie. Papież zaakceptował jego dymisję po trzech miesiącach, a sankcje dyscyplinarne – „życie modlitwy i pokuty" – nałożono dopiero ponad rok później, w październiku 2021 r. Biskup pozostał na stanowisku przez pół roku, do czasu nominowania w styczniu 2021 r. jego następcy biskupa Dominique'a Blancheta, którego nie poinformowano o sytuacji. Prawdziwe powody odejścia Santiera zostały ujawnione w prasie dopiero ostatnio.

„W sposobie potraktowania sprawy biskupa Santiera doszło do poważnych niedociągnięć, błędów, dysfunkcjonalności na wielu poziomach – przyznał przewodniczący episkopatu Éric de Moulins-Beaufort na zakończenie zebrania plenarnego. – Zarówno w prawie cywilnym, jak i kanonicznym nie istnieje obowiązek upublicznienia sankcji. Jednak w przypadku biskupa, który jest osobą publiczną, informacje nt. dyscyplinarnych środków eklezjalnych muszą być podawane do wiadomości ogółu systematycznie" – uznał.

To tsunami!

„W sumie jedenastu francuskich biskupów jest w różnej mierze zamieszanych w pedofilię: ośmiu zostało oskarżonych o przemoc wobec nieletnich, z czego pięć przypadków jest powszechnie znanych. Postępowania sądowe są bądź były w toku. W jednym przypadku sprawa została umorzona. W przypadku trzech pozostałych trwa dochodzenie – wyjaśnił biskup de Moulins-Beaufort 7 listopada. – Natomiast trzem innym biskupom postawiono zarzuty niezgłoszenia wymiarowi sprawiedliwości przypadków pedofilii w ich diecezjach" – sprecyzował. Jeden już nie żyje, jeden został uniewinniony, a jeden dostał wyrok ośmiu miesięcy w zawieszeniu.

Przewodniczący episkopatu podkreślił „wielką różnorodność sytuacji, popełnionych czynów i postawionych zarzutów". „Mamy świadomość, że zaufanie, jakie wierni pokładali w swoich duszpasterzach, jest nadwątlone. A u niektórych, być może nawet u wielu, unicestwione – oświadczył. – Ani święcenia, ani zaszczyty nie chronią nas przed popełnianiem błędów, czasem bardzo poważnych w oczach sprawiedliwości państwowej. W każdym drzemią ciemne siły, nie zawsze dające się okiełznać".

↦

„Nie podejrzewaliśmy, że problem dotyka tak wielu biskupów. To niemalże 10 proc. episkopatu – zauważa Marie-Jo Thiel, profesor etyki na wydziale teologicznym Uniwersytetu w Strasburgu. – Nikt w Kościele nie jest bez skazy. Oskarżenia wobec biskupów dotykają samego DNA kapłaństwa, gdyż oni jedyni posiadają pełnię sakramentu święceń. Nigdy wcześniej nie widziałam ich tak poruszonych – przyznaje. – Afera Santiera stała się paradygmatem systemowego kryzysu Kościoła, wcześniej negowanego przez niektórych biskupów. To kropla, która przepełniła czarę. Balansowaliśmy na skraju przepaści, teraz w nią wpadliśmy".

„Mam wrażenie, że mamy do czynienia z tsunami, które bezustannie niweczy wszelkie nasze wysiłki zreformowania Kościoła od wewnętrz. To syzyfowa praca – wtóruje jej dominikanka Véronique Margron. – Jak odbudować zaufanie, gdy całkiem legło w gruzach?".

Kościół tonie na własne życzenie

„Kościół reaguje dopiero wtedy, gdy jest pod ścianą. Skandali wokół księży i zakonników jest tak wiele, że spowszedniały – uważa Olivier Savignac, założyciel stowarzyszenia walki z pedofilią w Kościele Parler et Revivre. – W przypadku biskupów mamy jednak do czynienia ze strąceniem z piedestału samej wizytówki Kościoła. To nowy i porażający symbol. Dopóki Kościół nie wybierze linii przejrzystości, prawdy za wszelką cenę i zerowej tolerancji postulowanej przez papieża Franciszka, dopóty będzie wisiało nad nim widmo upadku".

„Przy tych wszystkich sprawach, które wychodzą na jaw, Kościół nie musi się nawet obawiać akcji sądowych ze strony stowarzyszeń ofiar. Sam tonie" – podsumowuje Nanou Couturier, założycielka Stowarzyszenia Wykorzystanych Seksualnie przez Kościół „Wszyscy Razem", ofiara molestowania ze strony trzech ojców marystów.

Natomiast teolożka Anne Soupa jest przeświadczona o konieczności głębokich reform prawa kanonicznego, by położyć kres systemowemu charakterowi nadużyć w Kościele. „Trzeba pilnie otworzyć kapłaństwo, w tym episkopat, na kobiety. Nie jest to możliwe bez udziału Watykanu" – uważa, wzywając biskupów Francji do zbiorowej dymisji.

Biskupi „wstrząśnięci i zdeterminowani"

„Kościół jest zdeterminowany i przepełniony wolą transparentności. Toczy się pewien proces, który wymaga odwagi, nawet jeśli nie wszyscy tę odwagę posiadają" – stwierdził papież Franciszek w samolocie z Bahrajnu do Rzymu, zapytany 6 listopada (a zatem przed rewelacjami na temat kardynała) o afery pedofilskie we Francji. Wezwał też do pozbycia się „brzydkiego nawyku ukrywania wszystkiego".

„Ta kolejna odsłona nieuczciwości i tuszowania prawdy ze strony kościelnych duszpasterzy jest wielkim rozczarowaniem" – nie ukrywa ks. Hans Zollner, członek Papieskiej Komisji ds. Ochrony Nieletnich.

„Z samej natury swego urzędu apostolskiego biskupi zależą bezpośrednio od Stolicy Apostolskiej. Procedury, które ich dotyczą, są złożone i czasochłonne. Zobowiązujemy się do współpracy z Watykanem, aby je wyjaśnić i uprościć. Postanowiliśmy też powołać Radę Monitorującą, abyśmy nie musieli stawiać czoła tym sytuacjom sami i w naszym własnym gronie" – napisali francuscy biskupi w liście do wiernych zatytułowanym „Wstrząśnięci i zdeterminowani".

Złożona z prawników, psychologów i laickich ekspertów rada będzie udzielać kompleksowej pomocy biskupowi, w którego diecezji ksiądz jest oskarżony o pedofilię. Do końca roku ma też powstać, zgodnie z rekomendacjami komisji CIASE, krajowy kanoniczny trybunał karny do osądzania czynów popełnionych przez księży.

„Kondycja ludzka jest, jaka jest: nikt nie jest wolny od poważnych i dramatycznych błędów. Jednak możemy i chcemy wzmocnić procesy w Kościele, które ograniczą je do minimum i odpowiednio potraktują, gdy te się pojawią" – zadeklarowali w swoim liście biskupi.

A biskup Éric de Moulins-Beaufort na zakończenie dodał: „Nie mamy złudzeń, że droga do uzdrowienia będzie długa. Mamy odwagę wierzyć, że warto ją podjąć. I zapewniamy, że nią podążamy".

Rok temu biskupi też postanawiali poprawę. Czy tym razem wystarczy skandali, by dobre intencje stały się rzeczywistością?

© MARTA KIEŁCZEWSKA-KONOPKA

Dzikość Boga

PIOTR SIKORA

Uroczystość Chrystusa Króla zwykle kojarzymy w chrześcijaństwie z tradycją wprowadzającą ład i porządek. Błędnie.

Monarchia. Ciekawe, jakie mamy skojarzenia z tym słowem. Niedawna śmierć Elżbiety II, wstąpienie na tron brytyjski Karola III i cały medialny szum wokół tych wydarzeń kierują myślenie i wyobraźnię w rejony high-folkloru – szacownych tradycji, rozbudowanych protokołów dworskich i ściśle określonych, skomplikowanych planów działania na wypadek śmierci królewskiej osoby.

W naszej przestrzeni kulturowej monarchia raczej stała się szacownym zestawem tradycji – jak jest w Wielkiej Brytanii. Na europejskim kontynencie ma jeszcze mniejsze znaczenie (kto z nas pamięta, że Belgia czy Szwecja to monarchie i kto potrafi powiedzieć, czy panuje tam król, czy królowa?). Owszem, są na świecie kraje, w których król (szejk albo sułtan) ma realną władzę. Są to jednak państwa autorytarne, w których trudno mówić o przestrzeganiu praw człowieka, i w których nie za bardzo chcielibyśmy żyć.

Miedzy folklorem a autorytaryzmem

Przez takie, a nie inne skojarzenia uroczystość Jezusa Chrystusa Króla Wszechświata, którą Kościół katolicki obchodzi na koniec roku kościelnego, może wiązać się z dwoma sposobami pojmowania religii. Po pierwsze, jako szacownego folkloru, zespołu symboli i rytuałów przekazanych przez tradycję, które mogą nadawać szarej codzienności nieco odświętnego kolorytu, karmić w nas dziecięcą tęsknotę za bardziej bajkową rzeczywistością,

DOMENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA

Witraż z Jezusem Królem Wszechświata w kościele św. Jana, Ashfield, Nowa Południowa Walia

bez konieczności rezygnacji z powagi dorosłego człowieka XXI wieku, ale które tak naprawdę pozbawione są wpływu na kształt codziennej egzystencji.

Możemy też widzieć w świętowaniu Chrystusa Króla chęć zdobycia przez instytucje religijne autorytarnej władzy nad naszym życiem społecznym albo i nawet osobistym. Mówienie o Chrystusowym królowaniu wiąże się w tej perspektywie z próbami wpisania reguł moralnych głoszonych przez chrześcijaństwo w prawo państwowe. Lub zagwarantowania kościelnej instytucji i jej przedstawicielom ekonomicznych przywilejów czy penalizacji krytyki chrześcijańskiej tradycji i jej symboli pod pretekstem „ochrony uczuć religijnych".

Oba obrazy chrześcijaństwa, kojarzące się wielu z koronowaniem Jezusa na króla, są – w pewnym sensie – prawdziwe. Chrześcijaństwo bywa bowiem szacownym high-folklorem, koloryzującym szary, „odczarowany" świat współczesnej cywilizacji, pozbawionym jednak rzeczywistego znaczenia. Istnieją także chrześcijańskie środowiska, które podejmują próby odzyskania realnego wpływu na kształt społeczeństwa i życie jego poszczególnych członków za pomocą środków prawnych.

Zwolennicy obu opcji mogą nawet powoływać się na fakt, że sam Jezus w swoim nauczaniu łączył bardzo często pojęcia odnoszące się do Boga z metaforami „monarchicznymi". Trzeba jednak postawić pytanie, czy w ustach Jezusa to połączenie miało znaczenie podobne do tego, jakie buduje którąkolwiek z wyżej naszkicowanych wizji religii chrześcijańskiej. Uważna lektura Ewangelii sugeruje, że nie – nawet jeśli rabbi z Nazaretu korzystał w „monarchicznej" metaforyki, to nadawał jej – przewrotnie – zupełnie inne znaczenie.

Proces, nie terytorium

Owszem, możemy w Nowym Testamencie przeczytać, że sam Jezus mówi: „muszę głosić Dobrą Nowinę o królestwie Bożym, bo na to zostałem posłany" (Łk 4, 43). Niemal wszyscy biblisci są zgodni – przewodnim motywem nauczania rabbiego z Nazaretu było nadejście *basilea tou theou – malkut JHWH* albo *basilea ton uranon – malkut szamajim.* Zwykle zaś w polskich przekładach Nowego Testamentu obraz użyty przez Jezusa oddawany jest terminami „królestwo Boże" – „królestwo niebieskie".

Nie jest to jednak – jak twierdzi wielu specjalistów – przekład adekwatny. Zarówno bowiem grecki termin *basilea*, jak i – jeszcze bardziej – hebrajski *malkut* oznaczają nie tyle jakiś obszar (wyrażany polskim terminem „królestwo"), co raczej wydarzenie lub proces – coś, co się dzieje. Zatem lepszym polskim przekładem byłaby fraza: królowanie albo panowanie Boga.

Nawet frazę *basilea ton uranon* lepiej tłumaczyć przez panowanie niebios niż królestwo niebieskie. Tu także nie chodzi o jakieś (mityczne?) terytorium, które jest „hen tam, w niebie". Słowo „Niebo/ /niebiosa" używane było bowiem tylko po to, by zadość uczynić żydowskiej tradycji unikania wyrażeń zawierających imię Boga. Widać to wyraźnie, gdy porówna się np. Ewangelie Mateusza i Łukasza: tam, gdzie w pierwszej, pisanej w środowiskach chrześcijan pochodzących z judaizmu mamy „królowanie/ panowanie niebios", to w drugiej – pisanej także dla chrześcijan pochodzących z pogan – napotykamy „królowanie/ panowanie Boga" (por. np. Mt 13, 31-33 – Łk 13, 18-20).

Ważne przy tym, że nie chodzi tu o jakiś językowy puryzm, skupiający się na lingwistycznych szczegółach. Język jest ważny jedynie dlatego, iż sposób mówienia jest sposobem myślenia, zaś ten ostatni kształtuje nasze nastawienie do rzeczywistości. W gruncie rzeczy chodzi o to, by język nie zasłaniał nam rzeczywistości, lecz na nią otwierał. Chodzi o to, ↦

↦ byśmy uniknęli błędu faryzeuszy, którzy nie potrafili dostrzec panowania Boga, gdyż szukali nie tego i nie tam, co trzeba: „Zapytany przez faryzeuszów, kiedy przyjdzie królestwo Boże, odpowiedział im: »Panowanie Boga nie przyjdzie dostrzegalnie; i nie powiedzą: 'Oto tu jest' albo: 'Tam'. Oto bowiem panowanie Boga w was jest«" (Łk 17, 20-21).

Faryzeusze szukali jakiejś rzeczywistości, którą da się zlokalizować w zewnętrznej przestrzeni – rozpoznać jako przestrzeń posiadającą granice, wewnątrz których obowiązują ustalone prawa. Myśleli, że skoro w danym czasie takiej rzeczywistości nie widzą, to królestwo Boga ma dopiero przyjść. Jezus zupełnie zmienia perspektywę: kieruje ich wzrok ku procesowi, który wewnątrz nich (już) się dzieje (choć oni go nie zauważają).

Wielość obrazów

Nie sposób opisać owego procesu precyzyjnym językiem, ująć w spójnej teorii. Jezus korzysta z wielu bardzo różnych przypowieści. Ich metaforyka odwołuje się nie do rzeczywistości statycznej, ustalonej, lecz płynnych procesów, często pełnych napięć i dramatycznych zwrotów akcji.

Panowanie niebios podobne jest na przykład do historii młodych dziewczyn, które wyszły nocą na spotkanie pana młodego. Jedne były *morai* (ociężałe, przytępione, głupie), inne – *phronimoi* (rozsądne, pojętne, bystre, o przenikliwych zmysłach i przytomnym umyśle). Te pierwsze nie wzięły zapasu oliwy do swoich lamp. Drugie zaś wzięły i były w stanie utrzymać płomień i przywitać oblubieńca (podczas gdy pierwsze odeszły zakupić brakujące paliwo). Królowanie Boga podobne jest do człowieka, który coś robi – np. wyjeżdża daleko zostawiając swoim sługom talenty do pomnożenia (por. Łk 19, 11-27; Mt 25, 14-30), albo poszukuje najpiękniejszej perły, a znalazłszy ją, sprzedaje wszystko, co ma i kupuje wydobytą z głębin kulkę (por. Mt 13, 45-46).

To wszystko w nas się dzieje – ciemność i małe w niej światełko o chybotliwym płomyku, i potrzeba przenikliwości, czujnej uwagi, która nie odwraca się w niewłaściwym kierunku. Ale także gotowość i podejmowanie ryzyka – puszczenia talentów w obieg, wychodzenia z tego, co znane, poszukiwania i stawiania wszystkiego na jedną kartę.

Ale panowanie Boga dzieje się nie tylko w naszych wysiłkach i działaniach. Dzieje się w nas po prostu, nawet, gdy śpimy. Jest też jak ziarnko gorczycy posadzone w ogrodzie, kiełkujące i wyrastające do postaci wielkiego drzewa. Albo jak zaczyn wsadzony w trzy miary mąki, inicjujący proces, który trwa, aż zakwasi się wszystko (por. Mt 13, 33; Łk 13, 18-20). Ale i wtedy jest zmianą, rozsadzającą dawne formy, tworzeniem się czegoś zupełnie nowego.

> Panowanie Boga w świetle Jezusowych opowieści, w których jest tak wiele paradoksów i sprzeczności, **w niczym nie przypomina hieratycznego folkloru** oficjalnej postaci brytyjskiej monarchii.

Królowania Boga, które się w nas dzieje, nie sposób jednak „wydzielić" z szerszego tła, odróżnić od tego, co nim nie jest, nawet w procesie uważnej introspekcji, mieszają się w nas bowiem to, co boskie i niedoskonałe, właściwe i niewłaściwe wybory, nie mają sensu próby precyzyjnego rozróżnienia absolutnego dobra i przygodnego zła: „Panowanie niebios podobne jest do człowieka, który posiał dobre nasienie na swej roli. Lecz gdy ludzie spali, przyszedł jego nieprzyjaciel, nasiał chwastu między pszenicę i odszedł. A gdy zboże wyrosło i wypuściło kłosy, wtedy pojawił się i chwast. Słudzy gospodarza przyszli i zapytali go: »Panie, czy nie posiałeś dobrego nasienia na swej roli? Skąd więc wziął się na niej chwast?«. Odpowiedział im: »Nieprzyjazny człowiek to sprawił«. Rzekli mu słudzy: »Chcesz więc, żebyśmy poszli i zebrali go?«

A on im odrzekł: »Nie, byście zbierając chwast nie wyrwali razem z nim i pszenicy. Pozwólcie obojgu róść aż do żniwa; a w czasie żniwa powiem żeńcom: Zbierzcie najpierw chwast i powiążcie go w snopki na spalenie; pszenicę zaś zwieźcie do mego spichlerza«" (Mt 13, 2-30).

Chaos życia

Wiele obrazów, które Jezus zestawia ze sobą, nauczając o Bożym królowaniu, pozostaje ze sobą w sprzeczności. Widzimy to na przykład we fragmencie, w którym najpierw mówi o królowaniu niebios jako o skarbie, którego trzeba szukać i za który trzeba słono zapłacić, a zaraz potem jako o kupcu, który szuka perły i wykupuje ją za cały swój majątek. Można powiedzieć, że obie historie mają identyczną strukturę, ale królowanie zajmuje w nich przeciwstawne miejsca: raz tego, co szukane i wykupywane przez człowieka, raz człowieka, który szuka i wykupuje. Albo jak wejść do królestwa – czyli jak dotrzeć do dziejącego się wewnątrz nas boskiego procesu – przyjmując jak niemowlę (Łk 18, 17) czy wdzierając się gwałtem (Łk 16, 16)?

Paradoksy i wewnętrzne sprzeczności można znaleźć także wewnątrz poszczególnych opowiadanych przez Nauczyciela historii. Jak na przykład tej o królu wyprawiającym ucztę weselną synowi, którą zaproszeni goście zlekceważyli, a nawet zabili posłańców przynoszących zaproszenie. Król odpowiedział gniewem, zabijając zabójców. Potem zaś wysłał sługi, by przymuszali do wejścia przypadkowych przechodniów. A w końcu wyrzucił z uczty jednego z przymuszonych za brak stroju weselnego (por. Mt 22, 2-14).

Ile tu napięć i nielogicznych działań! Zabijać przynoszących zaproszenie na wesele? Domagać się stroju weselnego od człowieka przywiezionego na ucztę pod przymusem z ulicy? Jak to można wytłumaczyć? A może przeciwnie, ta przypowieść jest jak buddyjski koan – paradoksalna zagadka, która ma za zadanie zatrzymać dyskursywną pracę umysłu i doprowadzić do pozalogicznego błysku oświecenia?

Tak czy inaczej, panowanie Boga w świetle Jezusowych opowieści o nim – i zapewne w świetle zawiłego ludzkiego doświadczenia, na które opowieści te otwierają – w niczym nie przypomina hieratycznego folkloru oficjalnej postaci brytyjskiej monarchii. Nie jest też podobne do stagnacji autorytarnych reżimów ani do wymarzonego przez chrześcijańskich politycznych konserwatystów uporządkowania świata i duszy. To raczej wewnętrzny proces: ciemny, destabilizujący nieruchome trwanie, skłaniający do ryzyka, niewolny od napięć, zawirowań i wewnętrznych konfliktów. Wyrywający ze zrozumiałej martwoty ku nieogarnionemu życiu.

©℗ PIOTR SIKORA

WOJCIECH

Bonowicz: *Co z tym Orwellem?*

Wiele lat temu miałem okazję mieszkać przez kilka dni na zachodnim wybrzeżu Szkocji, z widokiem na Jurę, wyspę, na której George Orwell spędził ostatnie lata życia. Kiedy po południu schodziłem nad brzeg morza, gdzie kąpały się foki, pasły stada owiec, a króliki niespodziewanie wyskakiwały ze swoich norek, by w pośpiechu szukać sobie nowej kryjówki, długo wpatrywałem się w surowe wzgórza Jury, malowniczo zwieńczone śniegiem. Do dziś wyspa jest słabo zaludniona, a słynie głównie z destylarni, które na cały świat wysyłają znakomitą whisky. Aż dziw, że w tym spokojnym miejscu powstała jedna z najstraszniejszych książek, jakie napisano w wieku XX – „Rok 1984".

Na jej autora powołują się dziś wszyscy. Jednych przyciąga doń przenikliwa krytyka komunizmu, innych to, że bliski mu był socjalistyczny etos – przypomina redakcja „Znaku", która Orwellowi poświęciła kilkanaście stron listopadowego numeru. „Gdy lewica i liberałowie widzą w konserwatywnych mediach świat »jak z Orwella«, to prawica znów porównuje poprawność polityczną do nowomowy i piętnowania myślozbrodni. Autora »Folwarku zwierzęcego« uwielbiają też zwolennicy teorii spiskowych". Orwell, piszą redaktorzy, siedzi dziś „w każdej szufladce". Orwell, dodaje w tym samym numerze Jakub Majmurek, „stał się cenną politycznie etykietą, z której korzystają aktorzy z całego spektrum (...), napełniając oznaczone nią butelki własną treścią".

Dla autora zmarłego przed ponad siedemdziesięciu laty to los, którego inni mogliby mu pozazdrościć. W styczniu 2017 r. „Rok 1984" trafił w USA na szczyt listy bestsellerów Amazona; sprzedaż książki w ciągu zaledwie siedmiu dni wzrosła o... 9500 procent. Biograf Orwella Richard Bradford („Znak" przedrukowuje fragment jego książki opublikowanej po polsku w przekładzie Aleksandry Żak) przypomina, w jakich okolicznościach doszło do tego spektakularnego powrotu. Było to zaraz po tym, jak sekretarz prasowy Białego Domu oznajmił, że inauguracja prezydentury Donalda Trumpa przyciągnęła największą w historii publiczność. Na pytanie dziennikarza, dlaczego ogłoszono to łatwe do sprawdzenia kłamstwo, szefowa kampanii Trumpa Kellyanne Conway odparła, że rzecznik przedstawił jedynie „fakty alternatywne". To stwierdzenie nie tylko wywołało burzę, ale sprowokowało skojarzenia z działaniami opisanego w powieści Orwella Ministerstwa Prawdy. Co ciekawe – jak przypomina Majmurek – po tym, jak konto Trumpa zawiesił Twitter, jego syn, Donald Trump jr, odwołał się do tego samego przykładu: oświadczył, że w Stanach Zjednoczonych skończyła się wolność słowa. „Żyjemy w »Roku 1984« Orwella", powiedział.

Porównania z Orwellem bywają trafne, ale i złudne. Świat Zachodu wciąż jest światem, w którym zdemaskowanie kłamstwa jest możliwe, a nawet stało się pod wieloma względami łatwiejsze. Zasadniczy problem polega na tym, że owa demaskacja nie ma już znaczenia. Kłamstwo stało się tak powszechnie stosowanym środkiem w walce o władzę, że zbudowało sobie cały system uzasadnień, które określamy mianem „postprawdy". Postawa postprawdy zakłada, że kłamstwo jest „prawdą" przeznaczoną dla określonej grupy ludzi, fałszywą informacją, która ma zaspokoić ich oczekiwania, iluzją, która da im realne – to znaczy: realnie odczuwane – poczucie bezpieczeństwa. „To przecież nieprawda!", wołamy oburzeni. „Ale w to właśnie chcą wierzyć ludzie", słyszymy w odpowiedzi. Ściślej rzecz biorąc, odpowiedź brzmi zawsze nieco inaczej; nie może tak brzmieć, jak napisałem, bo byłaby wpuszczeniem powietrza prawdy w zatęchły świat kłamstwa. Ale jej sens jest właśnie taki. Ewentualną książkę demaskującą wszystkie wyborcze kłamstwa Trumpa (czy podobnego mu polityka) kupią jedynie ci, którzy wiedzą, że Trump (czy ów polityk) kłamał. Ci, którzy wierzą, że mówił prawdę, nigdy po nią nie sięgną, zakładając, że książka jest jedną wielką manipulacją. Nawet drobiazgowe śledztwa i wyroki sądów nie mają wpływu na tak ugruntowane przekonania.

Niestety, są na świecie miejsca, gdzie proroctwa spisane na pięknej szkockiej wyspie spełniły się dokładniej. Ale tam na Orwella nikt się nie powoła. Nikt tam o nim nawet nie usłyszy. ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **OGÓLNOKLUBOWE**, poniedziałek 21 listopada, spotkanie dyskusyjne wokół książki Tomáša Halíka „Popołudnie chrześcijaństwa", cykl „Wspólne czytanie"/ online /
- **RZESZÓW**, poniedziałek 21 listopada, spotkanie z Krystyną Lenkowską, „Starość. Bliskość. Śmierć" / stacjonarne /
- **KATOWICE**, środa 23 listopada, spotkanie z Leszkiem Jodlińskim, „Historia Żydów ze Śląska. Między indywidualną narracją a portretem zbiorowości" / stacjonarne /
- **WARSZAWA**, środa 23 listopada, spotkanie z Tomaszem Stawiszyńskim, cykl „Piszą w Tygodniku" / online /

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

Więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ŚWIAT

WYGRANA BEZ WYGRANEJ

Zamiast szybkiego rozstrzygnięcia, wybory do Kongresu przyniosły zaskakujący wniosek: Amerykanie są coraz bardziej zmęczeni duetem Biden-Trump.

MARTA ZDZIEBORSKA

GIORGIO VIERA / AFP / EAST NEWS

Republikanie marzyli o zalewającej Amerykę „czerwonej fali" (to ich kolor partyjny), jednak doczekali się zwodniczego, niewielkiego podmuchu. Takiego porównania chętnie używano w mediach społecznościowych w trakcie nocy wyborczej – tej, która nie przyniosła konserwatystom upragnionej, miażdżącej przewagi w Kongresie.

Zamiast tego Republikanie zafundowali długie zliczanie głosów, przypominające wybory prezydenckie w 2020 r., kiedy przez kilka dni świat czekał w napięciu na werdykt. Tym razem w czwartek 10 listopada, czyli dwa dni po zamknięciu lokali wyborczych, było wciąż za wcześnie, by zaprosić jedną z dwóch partii na podium. Według prognoz „New York Timesa" i CNN Republikanie kroczyli ku zwycięstwu w Izbie Reprezentantów, z kolei bój o Senat wciąż zależał od wyników wyrównanej walki w stanach Nevada, Arizona i Georgia.

W tym ostatnim żaden z kandydatów nie otrzymał 50 proc. głosów, co według stanowego prawa wymuszało dogrywkę. Broniący mandatu Demokrata Raphael Warnock i popierany przez Trumpa Herschel Walker staną więc do walki 6 grudnia. Komentatorzy nie wykluczają, że właśnie ten pojedynek zaważy o tym, która partia będzie kontrolowała Senat.

Przegrany Trump

Po tych wyborach – zwanych połówkowymi, bo odbywających się w środku prezydenckiej kadencji – na razie jedno jest pewne: wielkim przegranym okazał się Donald Trump. Po tygodniach jeżdżenia na wiece i promowaniu „swoich" kandydatów były prezydent musiał przełknąć porażkę niektórych z nich – i to nawet w stanach, w których zdawało się, iż zwycięstwo mają w kieszeni.

Przykładem Arizona, gdzie znana w republikańskich kręgach Kari Lake wlecze się za swoją rywalką w wyścigu o fotel gubernatora. Choć jej przegrana nie była jeszcze przesądzona, republikańscy eksperci już grzmieli, że przyszło jej płacić za powtarzanie kłamstw o „skradzionym" wyścigu prezydenckim w 2020 r.

Wybory połówkowe pokazały Trumpowi, że jego nachalny populizm nie jest tak popularny wśród konserwatywnego elektoratu, jak mu się wydawało. Widać to było szczególnie w tzw. *swing states* – stanach tradycyjnie kluczowych dla wyników wyborów prezydenckich, gdzie zwycięzca nie jest oczywisty: większość popieranych przez Trumpa kandydatów poniosła tam porażkę, m.in. w pojedynkach o urząd gubernatora i sekretarza danego stanu; to stanowisko, które odgrywa kluczową rolę w zatwierdzaniu wyników wyborczych.

Najbardziej spektakularną porażkę konserwatyści zaliczyli w boju o urzędy gubernatorów Michigan, Wisconsin i stanu Nowy Jork. Z kolei w kluczowym starciu o Senat stracili miejsce dotąd zajmowane przez Republikanina Pata Toomeya. Jego mandat zgarnął Demokrata John Fetterman – wicegubernator Pensylwanii, bardziej doświadczony od rywala Mehmeta Oza, jednak obciążony politycznym ryzykiem. W maju przeszedł bowiem udar, ma teraz problemy ze słuchem i podczas wywiadów telewizyjnych musi czytać zadane mu pytania na ekranie.

Nieoczekiwana gwiazda

Na dzień po tych wyborach w mediach społecznościowych i konserwatywnej

Zwolennicy gubernatora Florydy Rona DeSantisa podczas nocy wyborczej w Convention Center w Tampa na Florydzie. USA, 8 listopada 2022 r.

stacji Fox News zaczęto wytykać Trumpa palcami – obciążano go winą za porażkę w kluczowych stanach i pytano, czy zasługuje on jeszcze na pozycję lidera Partii Republikańskiej. Nóż w plecy wbili mu nawet dotychczasowi sojusznicy: jego były doradca David Urban mówił, że Trump „doprowadził partię na skraj klifu", a były kongresmen Peter King – że partia nie może być „miejscem kultu jednej osoby".

Nieoczekiwanie gwiazdą nocy wyborczej stał się gubernator Florydy Ron DeSantis, który koncertowo wygrał bój o reelekcję, zdobywając niemal 20 proc. przewagi nad rywalem, i to nawet w rejonie Miami-Dade, bastionie Demokratów. Na fali tego sukcesu konserwatywne imperium medialne Ruperta Murdocha okrzyknęło DeSantisa nowym liderem Partii Republikańskiej. To podnosi notowania polityka, który od dłuższego czasu postrzegany jest jako alternatywa dla Trumpa w przyszłym boju konserwatystów o Biały Dom.

To rzecz jasna burzy plan byłego prezydenta. Na fali spektakularnego zwycięstwa Republikanów chciał zapewne ogłosić swój start w kolejnych wyborach prezydenckich – na to wskazywały jego deklaracje, że 15 listopada wygłosi „wielkiego oświadczenie". Choć może się okazać, że i tak dopnie swego, to w szeregach partii nie brak głosów, iż powinien poczekać do grudnia, gdy znany będzie wynik dogrywki w Georgii.

Bez względu na kolejny ruch Trumpa eksperci są zgodni, że jest za wcześnie na pogrzebanie jego udziału w boju o reelekcję. „W normalnych warunkach liderem wyścigu za dwa lata powinien być Ron DeSantis. Ale odkąd Trump ogłosił swoją kandydaturę w 2015 r., nic nie jest już w Partii Republikańskiej normalne" – pisze Ross Douthat, felietonista „New York Timesa".

Zły kierunek

Medialny szum wokół Trumpa przyćmił inną prawdę, jaką obnażyły te wybory. Choć Joe Biden nazwał je „dobrym dniem" dla demokracji, z pewnością nie był to dobry dzień dla jego prezydentury. Owszem, jego partii poszło znacznie lepiej, niż się spodziewano, trudno jednak ukryć, że sukces ten napędzany był niechęcią do Trumpa i kopiujących go polityków.

Jak wynika z badania exit poll na zlecenie agencji Associated Press, aż 44 proc. ↦

respondentów deklarowało, że idąc do urn chcieli obronić amerykańską demokrację. Głównym zmartwieniem większości wyborców bezsprzecznie są jednak inflacja i kondycja gospodarcza kraju. Aż 80 proc. respondentów ocenia ją jako kiepską, a 75 proc. uważa, że Stany zmierzają w złym kierunku. Jak z kolei wynika z sondażu telewizji CBS, 46 proc. wyborców uważa, że rządy Bidena są szkodliwe dla kraju, 54 proc. ma złe zdanie na jego temat, a 66 proc. nie chce, by w 2024 r. ubiegał się o reelekcję. Podczas powyborczego przemówienia Biden odniósł się do tych wyników, mówiąc, że „rozumie frustrację wyborców". Jednocześnie podkreślił, że myśli o reelekcji, i żartował, że zabawne byłoby obserwować prawyborczą rywalizację Trumpa z DeSantisem.

Joe Biden lubi dowcipkować, jednak trudno zaprzeczyć, że w USA mnożą się wątpliwości co do jego szans w 2024 r. Jeszcze przed tym listopadowym wyścigiem prominentni Demokraci unikali odpowiedzi na pytania reporterów, czy uważają, że kandydatura Bidena to dobry pomysł. Także w mediach miesiąc miodowy prezydenta dawno się skończył: na dzień po wyborach komentatorzy CNN dyskutowali, czy to nie moment, by dla dobra kraju Biden zrezygnował z przyszłych politycznych ambicji. Nie odpuścili mu dziennikarze innych mediów – wytknęli mu liczne pomyłki i przydługie pauzy podczas powyborczego przemówienia.

Budżet dla Kijowa

Bez względu na to, czy Biden zdecyduje się na bój o reelekcję, czekają go dwa trudne lata. Spodziewany sukces Partii Republikańskiej w Kongresie, nawet jeśli niewielką większością, to zapowiedź starć na linii Kapitol–Biały Dom. Konserwatyści będą blokować Bidenowskie propozycje reform m.in. dotyczących opieki zdrowotnej, dostępu do broni palnej czy aborcji. Po zniesieniu przez Sąd Najwyższy konstytucyjnego prawa do przerywania ciąży Demokraci postawili sobie za cel zagwarantowanie tego ustawą federalną. Republikanie patrzą na to na odwrót: w przypadku zwycięstwa będą dążyć do wprowadzenia federalnego zakazu aborcji po 15. tygodniu ciąży. Mogą też utrudnić Bidenowi walkę z kryzysem klimatycznym. Choć w sierpniu prezydent wywalczył przekierowanie 370 mld dolarów na transformację energetyczną, Republikanie mogą spowolnić wdrażanie tych reform.

Kontrolując Izbę Reprezentantów, Republikanie zyskają kontrolę nad wydatkami, co ma znaczenie także dla polityki zagranicznej i wsparcia wojskowego dla Ukrainy. Na kilka tygodni przed wyborami niepokój wzbudziła wypowiedź lidera mniejszości republikańskiej Kevina McCarthy'ego. Polityk, który od stycznia obejmie funkcję przewodniczącego w Izbie Reprezentantów, oświadczył, że „skończy się wypisywanie czeków *in blanco*" dla Kijowa. „Ukraina jest ważna, ale recesja otworzy ludziom oczy. Staniemy w obliczu ważniejszych problemów" – tłumaczył McCarthy, któremu wtórowała kongresmenka Lauren Boebert (teraz przegrana). Gdy Biały Dom zwrócił się do Kongresu o zgodę na kolejną transzę pomocy, Boebert pisała na Twitterze, że USA nie są „bankomatem".

Izolacjoniści, wyznający w ślad za Trumpem zasadę „*America First*", argumentują, że to najwyższa pora, by skupić się na wyzwaniach wewnętrznych. W ostatnich tygodniach coraz wyraźniej rysuje się podział między skrzydłem izolacjonistów a skrzydłem polityków ze starej gwardii, jak lider Republikanów w Senacie Mitch McConnell. Ci drudzy postrzegają Rosję jako zagrożenie i uznają za konieczne zaangażowanie USA w Europie Wschodniej. Choć większość ekspertów jest zgodna, że wsparcie Ukrainy nie ustanie, może być teraz mniejsze i poprzedzane międzypartyjnymi negocjacjami.

ROBERT GAUTHIER / GETTY IMAGES

Sortowanie i weryfikowanie kart do głosowania w hrabstwie Los Angeles. USA, 9 listopada 2022 r.

Długopis do weta

Republikanie mogą wytoczyć w Kongresie najcięższe działa. Niektórzy od miesięcy przebąkują, że będą dążyć do procedury impeachmentu przeciw Bidenowi i członkom jego administracji. Na czarnej liście jest m.in. prokurator generalny Merrick Garland, który czuwa nad śledztwem w sprawie roli Trumpa w szturmie na Kapitol, oraz Alejandro Mayorkas, sekretarz bezpieczeństwa wewnętrznego, który zdaniem prawicy nie radzi sobie z kryzysem migracyjnym na granicy z Meksykiem.

Kongres w rękach Republikanów może przeistoczyć się w maszynkę do wszczynania wszelkiego rodzaju dochodzeń – począwszy od interesów syna prezydenta, Huntera, po kulisy decyzji wycofania wojsk USA z Afganistanu i walki administracji z pandemią. Możliwe, że komisja sprawiedliwości w Izbie Reprezentantów weźmie na warsztat rzekome nadużycia w Federalnym Biurze Śledczym – zdaniem konserwatystów FBI jest upolitycznione. Trudno nie postrzegać tego ruchu jako przejawu zemsty – agenci FBI w sierpniu tego roku przeszukali dom Trumpa na Florydzie i skonfiskowali tajne dokumenty; trwa śledztwo w tej sprawie.

Bez względu na to, jak zakończy się bój o obie izby Kongresu, Stany czeka polityczna jatka, którą obie partie będą chciały wykorzystać przed wyścigiem o Biały Dom. Szykując się na tę walkę, Biden dowcipkował jeszcze przed tymi wyborami: „Jeśli wygrają Republikanie, czekają nas dwa straszne lata. Ale dobra wiadomość jest taka, że mam długopis do podpisywania weta".

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press".

Tekst ukończono 10 listopada po południu.

ISLAM SAFWAT / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Przed przyjazdem 40 tysięcy gości na szczyt klimatyczny COP27 Szarm el-Szejk przeszło gruntowną metamorfozę. Egipt, 8 listopada 2022 r.

Zielone światło

KATARZYNA MALAROWSKA

W Egipcie trwa globalny szczyt klimatyczny COP27. W tym roku nie tylko klimat dominuje w dyskusjach. Na pierwszy plan wysuwa się łamanie praw człowieka w kraju gospodarzy.

W filmie promującym szczyt klimatyczny COP27 Szarm el-Szejk, goszczące uczestników szczytu, reklamuje się jako miasto „pokoju, lasów namorzynowych i zrównoważonego rozwoju". Jest oczkiem w głowie prezydenta Abdela Fattaha el-Sisiego. To do niego chętnie zaprasza gości z zagranicy, aby pochwalić się porządkiem, nowoczesnością i świeżością.

Szczyt klimatyczny sprawił, że miasto przeszło kolejne metamorfozy. W kurorcie, który ma stać się pierwszym w Egipcie „zielonym miastem", robotnicy gorączkowo uwijali się na długo przed przyjazdem ponad 40 tys. gości. Musieli wyrobić się z budową mostu i obwodnicy, a także trzech elektrowni słonecznych, centrum handlowego i szpitala weterynaryjnego.

Zmodernizowano też tor wielbłądów w strefie safari, a na pustyni postawiono stacje do ładowania samochodów elektrycznych. Prawie trzysta ekologicznych autobusów wozi gości z hoteli do centrum konferencyjnego. Tuż przed konferencją wolontariusze szturmem ruszyli na miejskie plaże i przeczesali pobliskie dno Morza Czerwonego, sprzątając śmieci i odpady.

Gdy konferencja trwa...

Do tego miasta 6 listopada ponad stu przywódców państw przybyło na 27. konferencję ONZ w sprawie zmian klimatu. W tym roku dwutygodniowe negocjacje skupiają się wokół adaptacji do zmian klimatycznych, ograniczenia emisji, a także rekompensat dla biednych krajów za rosnące szkody związane z globalnym ociepleniem. W swoim wystąpieniu na forum prezydent Andrzej Duda podkreślał wagę bezpieczeństwa energetycznego zwłaszcza dla krajów, które muszą przetrwać nadchodzącą zimę.

Gdy konferencja trwa w najlepsze, pięćset kilometrów dalej Alaa Abd el-Fattah, brytyjsko-egipski aktywista, od ponad dwustu dni prowadzi strajk głodowy w kairskim więzieniu Wadi an-Natrun. Według jego krewnych przyjmował sto kalorii dziennie w postaci łyżki miodu i kropli mleka w herbacie. W dniu rozpoczęcia szczytu przeszedł na pełną głodówkę – odmawia przyjmowania także wody.

„Zanim szczyt dobiegnie końca Alaa będzie albo wolny, albo martwy" – mówi rodzina więźnia.

Alaa Abd el-Fattah, aktywista i bloger, jest jednym z symboli arabskiej wiosny z roku 2011. Strajk głodowy rozpoczął 2 kwietnia w proteście przeciw aresztowaniu i nieludzkim warunkom panującym w więzieniu. Mimo że Alaa otrzymał w tym roku obywatelstwo brytyjskie – dzięki staraniom matki, która urodziła się w Londynie – brytyjskim dyplomatom służba więzienna odmawia prawa do odwiedzin.

Sześćdziesiąt tysięcy

Większość ostatniej dekady Alaa spędził za kratami. W zeszłym roku został ponownie skazany – tym razem na pięć lat za „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości"; to częsty i bezpodstawny zarzut, stosowany wobec osób niewygodnych w Egipcie. Powodem tego ostatniego aresztowania był post w mediach społecznościowych, w którym Alaa skrytykował stosowanie tortur wobec więźniów w owianym złą sławą więzieniu Tora, do którego następnie sam trafił.

Kilka miesięcy temu Amnesty International informowało, że Alaa był torturowany przez służby więzienne. Po licznych apelach rodziny przetransportowano go do „lepszego" więzienia Wadi an-Natrun. Jego siostra Sanaa Seif po niedawnej wizycie przyznała, że brat „wyglądał krucho, miał zapadnięte oczy, a ciało uschło".

Alaa jest jednym z ponad 60 tys. więźniów politycznych, których liczba rośnie od czasu, gdy władzę w Egipcie w 2013 r. w wyniku zamachu wojskowego przejął gen. Abdel Fattah el-Sisi. Dla porównania: ↦

↦ pod koniec rządów Hosniego Mubaraka – prezydenta obalonego w wyniku arabskiej wiosny – liczba ta była ponad sześć razy mniejsza.

Delikatne kwestie

Rodzina Ali w związku z COP27 wzmogła wysiłki na rzecz jego uwolnienia. Jego dwie siostry przez kilka tygodni protestowały przed resortem spraw zagranicznych w Londynie. Zwróciły się też do premiera Rishiego Sunaka: „Będziesz na tej samej ziemi, co umierający obywatel brytyjski, i jeśli nie pokażesz, że obchodzi cię jego los, zostanie to zinterpretowane jako zielone światło, by go zabić".

W pewnym momencie do protestujących sióstr dołączyła Greta Thunberg. Szwedzka aktywistka na rzecz klimatu zapowiedziała, że nie weźmie udziału w szczycie ze względu na łamanie praw człowieka przez kraj gospodarzy i ograniczenie swobody wypowiedzi. Konferencję nazwała okazją dla ludzi władzy do „greenwashingu, kłamstwa i oszukiwania".

Podczas poprzednich szczytów aktywiści organizowali marsze, strajki głodowe i okupacyjne, aby podkreślić wagę katastrofy klimatycznej. Wolność wypowiedzi jest wpisana w ideę COP. Tym razem aktywiści obawiają się represji ze strony rządu egipskiego. Raport Human Rights Watch z września wskazuje, że egipscy aktywiści, naukowcy, dziennikarze zajmujący się „delikatnymi kwestiami środowiskowymi" są nękani i zastraszani. Utrudnia się im podróże w celu wykonywania badań terenowych, zmusza do porzucenia tematów, są też aresztowani. Żaden z nich nie zgodził się na wystąpienie pod nazwiskiem w tym raporcie.

Stabilność ponad wszystko

W Egipcie „delikatnymi kwestiami" są przykładowo te, które wskazują na szkodliwy wpływ na środowisko projektów infrastrukturalnych realizowanych przez firmy powiązane z pełniącym władzę wojskiem.

Jednak rząd egipski ustaleniom HRW zaprzecza i zapewnia, że na COP27 jest przestrzeń na demonstracje – tyle że w wyznaczonym do tego miejscu, z dala od głównej sali konferencyjnej. Według wytycznych opublikowanych na oficjalnej stronie COP protesty musiały być zgłoszone z wyprzedzeniem. Prezydent Sisi strzeże dobrego imienia kraju jak maski Tutanchamona w muzeum w Kairze, a sygnały obywatelskiego nieposłuszeństwa gasi w zarodku. Dlatego kilku niezależnym egipskim organizacjom pozarządowym, m.in. Egipskiej Komisji Praw i Wolności, odmówiono akredytacji na konferencję.

Nie przeszło to bez echa. Tuż przed rozpoczęciem szczytu grupa noblistów w dziedzinie literatury, w tym Olga Tokarczuk, wysłała list do światowych przywódców, domagając się dyskusji na temat praw człowieka w Egipcie. „Jeśli COP27 zakończy się cichym zgromadzeniem, na którym nikt nie ryzykuje otwartego wypowiadania się z obawy przed rozgniewaniem prezydencji COP, to jaka przyszłość jest negocjowana?" – pytają nobliści.

Władze Egiptu od kilku miesięcy chwaliły się w mediach, że zwalniają setki więźniów. W tym celu na polecenie prezydenta powołano specjalny komitet ds. ułaskawienia. Jednocześnie Sisi apelował o „dialog polityczny, który nikogo nie wyklucza". Wielu Egipcjan sceptycznie traktowało te obietnice, obawiając się, że są one jedynie posunięciem wizerunkowym.

– Porewolucyjny Egipt nie jest mniej autorytarny, niż był przed arabską wiosną. Troska o poszanowanie wolności politycznych nie jest, delikatnie mówiąc, priorytetem władz. Są nim stabilność polityczna, porządek społeczny, bezpieczeństwo i rozwój gospodarczy. W tej kwestii Zachód od dawna prowadzi w miarę konsekwentną politykę, czyli przedkłada bezpieczeństwo i stabilność nad demokrację. To oczywiście może nas oburzać, ale takie są realia – mówi dr Michał Lipa, adiunkt w Instytucie Bliskiego i Dalekiego Wschodu UJ.

W stronę mocarstwa

Krytycy zarzucają Egiptowi opieszałość w egzekwowaniu zobowiązań ograniczania emisji i dużą zależność kraju od gazu ziemnego, którego produkcję niechętnie ogranicza. Krytyka spadła nań także wtedy, gdy oficjalnym sponsorem COP27 została Coca-Cola.

– Szczerze? Egipt jest najgorszym krajem do organizacji tego szczytu – mówi mój egipski znajomy Karim, były student prestiżowego Amerykańskiego Uniwersytetu w Kairze. – W Egipcie nikogo nie obchodzi ani COP27, ani kwestie związane z klimatem. Podczas studiów zaproponowałem znajomym, żebyśmy jeździli jednym samochodem na uczelnię na zmianę, skoro mieszkamy obok siebie. Nikt się nie zgodził. Każdy wolał komfortowo jeździć w pojedynkę. A dla rządu takie wydarzenia to po prostu okazja do zarobienia pieniędzy.

Ten najbardziej ludny kraj arabski boryka się ze złą sytuacją gospodarczą, pogłębioną przez pandemię i skutki wojny w Ukrainie. Rosnące ceny, ubóstwo, wysokie stopy procentowe i słabnąca wartość tutejszego funta spędzają Egipcjanom sen z powiek.

Mimo to Egipt aspiruje do bycia liderem Afryki w kwestiach klimatycznych. Jako pierwszy kraj Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej wyemitował zielone obligacje, przeznaczając 750 mln dolarów na czysty transport publiczny i zrównoważoną gospodarkę wodną. W ciągu ostatnich dwóch dekad pięciokrotnie zwiększył moc w zakresie energii wiatrowej, zbudował zakłady odsalania i infrastruktury przeciwpowodziowej.

– W przeciwieństwie do Mubaraka, mimo wielu problemów prezydent Sisi zaproponował Egipcjanom przynajmniej jakąś wizję rozwoju społeczno-gospodarczego, która już jest wdrażana – mówi Michał Lipa. – Wizytówką tych megaprojektów ma być nowa stolica administracyjna, gdzie spora część energii ma pochodzić ze słońca, wykorzystując technologię fotowoltaiczną. Choć to kropla w morzu potrzeb, widać, że ambitne plany są wdrażane.

– Sisi dąży do tego, aby Egipt odzyskał status regionalnego mocarstwa – dodaje dr Lipa. – Z tej perspektywy organizacja takiej imprezy jak COP27 nie jest pozbawiona sensu. Egipt potrzebuje impulsów rozwojowych, poprawy wizerunku i podstaw do tego, by w ogóle ubiegać się o rolę silnego gracza regionalnego.

■■■

Przed uczestnikami szczytu nie lada wyzwanie. Może uda się znaleźć odpowiedź na pytanie, jak traktować wyzwania klimatyczne w kraju, gdzie nie przestrzega się podstawowych praw człowieka.

Gdy kończyłam ten tekst 8 listopada, nie było informacji, czy prowadzący swoją głodówkę Alaa Abd el-Fattah nadal żyje. ©

Autorka jest reporterką; w latach 2018-21 mieszkała w Kairze, pracowała w Ambasadzie RP w Kairze.

DAISUKE URAKAMI / AP / EAST NEWS

Uroczystości upamiętniające byłego premiera Shinzō Abego w prefekturze Yamaguchi. Japonia, 15 października 2022 r.

Skandal po japońsku

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Ponura sekta religijna, z którą okazuje się powiązana znaczna część elit politycznych – to nie teoria spiskowa, lecz japońska rzeczywistość. Co mówi o tym kraju i jego powojennej historii?

8 LIPCA TEGO ROKU 41-letni Tetsuya Yamagami zastrzelił byłego premiera Japonii Shinzō Abego. Strzelał z własnoręcznie skleconej broni. Zamach wywołał szok wśród Japończyków, nieprzywykłych do politycznej przemocy, jak również za granicą, gdzie Abe dał się poznać jako najbardziej wyrazisty japoński lider od dekad. Zatrzymany na miejscu sprawca oświadczył, iż kierował się zemstą: Abe miał być powiązany z sektą religijną, która przed laty uwiodła jego matkę, na koniec doprowadzając do finansowej ruiny całą jego rodzinę.

Z początku zeznania zamachowca mogły wydać się majaczeniem człowieka nieszczęśliwego lub chorego psychicznie. Jednak stopniowo zaczęły się potwierdzać. Okazało się, że związki z tajemniczą organizacją religijną – znaną jako Kościół Zjednoczeniowy lub sekta Moona – miał nie tylko Abe, ale niemal połowa parlamentarzystów rządzącej Partii Liberalno-Demokratycznej. Na skutek tych informacji z udziału w pogrzebie Abego, który odbył się 27 września, zaczęli wycofywać się kolejni światowi dygnitarze. Tragedia wywołała też kryzys rządowy: wielu ministrów musiało złożyć rezygnację zaraz po tym, jak przyznali się do kontaktów z sektą.

Decyzja, by pogrzebowi Abego nadać status państwowy, podzieliła społeczeństwo. W proteście pewien starszy mężczyzna podjął próbę samospalenia. Japońskie media tymczasem, drążąc temat penetracji świata polityki przez ową sektę, podjęły też debatę o miejscu religii w demokracji. A na dalszym planie tych dyskusji pobrzmiewać zaczęły echa sporów toczących Japonię po II wojnie światowej, kiedy to prominentną pozycję publiczną zajmowali dziadek i ojciec zabitego premiera.

STO OSIEMDZIESIĄT TYSIĘCY | Popularne powiedzenie głosi, że Japończycy witają świat w obrządku szintoistycznym, ślub biorą chrześcijański, a po śmierci przywołują buddyjskiego mnicha.

Żarty żartami, ale faktem jest, że wielu Japończyków ma kłopot ze zdefiniowaniem własnej religijności. W sondażach ponad 60 proc. deklaruje się jako osoby niereligijne, co piąty wyznaje buddyzm, a kolejne miejsca w tym zestawieniu zajmują szintoizm i chrześcijaństwo. Równocześnie jednak 47 proc. Japończyków wierzy w bóstwa (buddyjskie lub szintoistyczne), 71 proc. odprawia jakieś rytuały religijne, a 60 proc. przywiązuje wagę do życia duchowego.

Ogólnie można chyba postawić tezę, że z jednej strony większość Japończyków nie żyje według wskazań jakiejś jednej konkretnej świętej księgi i ma raczej znikomą wiedzę o systemach religijnych – z drugiej jednak jest otwarta na sferę duchową czy mistyczną, która może zostać zagospodarowana przez nowy obiekt kultu. Wystarczy popatrzeć, jaką fascynację budzą opowieści o siłach nadprzyrodzonych w japońskiej telewizji. Wymiar duchowy obejmuje też deifikację maskotek, pamiątek rodzinnych albo nawet celebrytów.

Od końca II wojny światowej i upadku „szinto państwowego" – quasi-religii, która wymagała od całego narodu oddania się boskiemu cesarzowi – jak grzyby po deszczu wyrastały i nadal wyrastają w Japonii nowe organizacje religijne. Zarejestrowanych jest ich dziś ponad 180 tys. Wśród przyczyn tego zjawiska wymienia ↦

↦ się powojenny rozwój i urbanizację, a w rezultacie wykorzenienie oraz duchową pustkę. Zarazem religia bywa też, ze względów podatkowych, tylko przykrywką dla zupełnie innej działalności.

SKROJONY POD JAPONIĘ | Jedną z bardziej znanych „nowych religii" staje się właśnie Kościół Zjednoczeniowy.

Rodem z Korei Południowej, w Japonii działa od roku 1959. Jego założyciel Sun Myung Moon, zmarły w 2012 r., uważał się za mesjasza, który został powołany, by naprawić ziemskie błędy Chrystusa. Sekta ta szerzej znana jest ze stadionowych małżeństw tysięcy par, które spotykają się tego dnia po raz pierwszy, błogosławionych przez swojego guru.

Kościół Zjednoczeniowy rozwija się w Japonii dynamicznie, w apogeum osiągając liczbę 600 tys. członków. Od lat 80. pojawiają się jednak sygnały o wątpliwych praktykach stosowanych przez jego władze. Pod pretekstem ukojenia dusz nieżyjących krewnych, lub też żeby odgonić szatańskie pokusy, wyznawcy zmuszeni są nabywać horrendalnie drogie wazony i inne dewocjonalia o rzekomo boskiej mocy.

Elementem teologii, skrojonym wyłącznie dla Japonii, było zaś prezentowanie tego kraju jako biblijnej Ewy, która w czasie II wojny uwiodła Adama, czyli Koreę. Wierni, którym wpajano poczucie winy za zbrodnie armii japońskiej, musieli więc dla odkupienia grzechów wysyłać do Korei Południowej – a konkretnie Moonowi – swoje pieniądze. Przez dekady wytransferowano tak z Japonii setki milionów dolarów, umożliwiając globalną ekspansję organizacji. Także do USA, gdzie – obok działalności religijnej – stanie się ona z czasem poważnym inwestorem na rynku mediów i nieruchomości.

HISTORIE ZNACZONE NIESZCZĘŚCIEM | Japońskie media rozpisują się dziś o sposobach naboru do sekty.

Jej ludzie prezentowali się często z początku jako wróżbici, ankieterzy uliczni albo po prostu chrześcijanie, co nie budziło złych skojarzeń. Dopiero po połknięciu haczyka, krok po kroku, następowała indoktrynacja.

Do wyjątkowo perfidnych metod należało wyszukiwanie ofiar poprzez nekrologi. Sądzono bowiem, że krewnych zmarłego, a zwłaszcza samobójcy, łatwo będzie zmanipulować. Kimś takim okaże się również matka zabójcy Abego, której mąż odebrał sobie życie. W efekcie przekazała ona Kościołowi Zjednoczeniowemu cały majątek rodzinny o równowartości 3,5 mln złotych. Trójka dzieci musiała zapomnieć o studiowaniu; bywało nawet, że w domu brakowało jedzenia.

Moon wytransferował z Japonii setki milionów dolarów, umożliwiając tym sobie globalną ekspansję.

Tetsuya Yamagami został zapamiętany przez rówieśników jako dobry uczeń i kolega. Jednak trauma wyniesiona z dzieciństwa, a potem brak życiowej stabilizacji rodziły w nim frustrację i poczucie zmarnowanego życia. Winił za to sektę, która opętała mu matkę. Najpierw planował zabić wdowę po Moonie, we wrześniu 2021 r. trafił jednak na zapis wideo, gdzie Shinzō Abe przesyłał członkom Kościoła pozdrowienia. Ciąg dalszy jest znany.

Po wyświetleniu wszystkich okoliczności zabójstwa Yamagami – przechodzący teraz obserwację psychiatryczną – zaczął dostawać od zwykłych ludzi słowa otuchy, prezenty i pieniądze. Przy okazji wyszło na jaw, że istnieje w Japonii liczna grupa podobnych osób, których rodzice związali się kiedyś z tym Kościołem. Są to często indywidualne historie naznaczone nieszczęściem, depresją, a nawet samobójstwem.

Co robił jednak w tym towarzystwie polityk Abe – zdeklarowany konserwatysta, który z pietyzmem odnosił się do tradycji? Wszak ktoś taki powinien szerokim łukiem omijać wszelkie wynaturzone formy chrześcijaństwa, a tym bardziej pochodzące z nieprzyjaznej Korei.

Odpowiedzi na to pytanie trzeba szukać w pierwszych latach powojennych.

„WSZYSCY JESTEŚMY DEMOKRATAMI" | Ojciec zabitego polityka, Shintarō Abe (1924-1991), zwykł mawiać z ironią: „Ja nie żeniłem się z córką premiera, tylko wojennego kryminalisty".

W istocie jego teść Nobusuke Kishi był i jednym, i drugim. Uchodzący za świetnego administratora i specjalistę od gospodarki, Kishi stanowił część elity rządzącej w okresie japońskiego militaryzmu. Po klęsce roku 1945 zostaje uwięziony na trzy lata pod zarzutem przestępstw wojennych. Japonia przechodzi w tym czasie burzliwe zmiany.

Z początku Amerykanie z werwą biorą się za demokratyzowanie niedawnego wroga. Rezultat to nowa pacyfistyczna konstytucja i swobody polityczne. Znaczące poparcie zdobywają wówczas tłamszona dotąd lewica oraz komuniści. Jednocześnie w Tokio odbywa się trybunał mający osądzić zbrodniarzy wojennych.

Liberalizacja nie potrwa jednak długo. Początek zimnej wojny wymusi na Stanach Zjednoczonych zmianę priorytetów: przede wszystkim będą chciały mieć teraz stabilną Japonię, twardo zakotwiczoną po swojej stronie. Oznacza to pomoc gospodarczą, ale też ukrócenie strajków i lewicowej aktywności, niekoniecznie demokratycznymi środkami. Swoją szansę uzyskują na nowo ludzie byłego systemu: obok kompetencji liczy się ich szczery antykomunizm.

Kimś takim jest również Nobusuke Kishi. Opuszczając więzienie, miał powiedzieć: „A, to teraz wszyscy jesteśmy demokratami". Szybko rzuca się w ferwor działalności politycznej. Stoi za powołaniem Partii Liberalno-Demokratycznej, która rządzi Japonią niemal bez przerwy od siedmiu dekad. Funkcję premiera pełnił tylko trzy lata (1957-60), ale wpływową osobistością japońskiej polityki pozostawał do śmierci w 1987 r.

W BLISKIM SĄSIEDZTWIE | Kishi był konserwatystą, reprezentującym tę część establishmentu, która nigdy nie pogodziła się z artykułem 9. konstytucji – Japonia wyrzeka się w nim wojny i posiadania sił zbrojnych (armia istnieje, ale nosi oficjalną nazwę sił samoobrony i do tego do niedawna ograniczała się jej misja). Kishi uważał pacyfizm za fikcję; był przekonany, że status i położenie Japonii wymagają od niej prowadzenia nieskrępowanej polityki obronnej. Chciał też faktycznego, opartego na obustronnych zobowiązaniach, sojuszu z USA.

Takie poglądy, zwłaszcza głoszone przez kogoś z życiorysem Kishiego, działały jak płachta na byka na japońską lewicę. Lata 50. i 60. XX w. – już po zakończeniu amerykańskiej okupacji kraju – to czas jej gwałtownych protestów. Przywódcy partii socjalistycznej w swojej re-

toryce przeciwstawiali „lud Chin i Japonii" „amerykańskiemu imperializmowi". Prawica na serio brała wówczas groźbę komunistycznej rewolty. Sen z powiek spędzała jej też „masochistyczna" (jak mówiono) wersja historii, propagowana przez lewicowe szkolnictwo. Jako kontrnarracja funkcjonować zaczyna więc historyczny rewizjonizm, m.in. wybielający japońskie zbrodnie wojenne.

Tak wygląda polityczny kontekst, w którym na horyzoncie pojawia się sekta Moona.

Okoliczności jej osiedlenia się na terenie Japonii wciąż wymagają wyjaśnień; wedle jednej z wersji pomagała w tym japońska mafia. Natomiast faktem są bliskie kontakty Moona z Kishim, niemal od początku. Tak się składa, że organizacja, którą tworzy jego Kościół Zjednoczeniowy – Międzynarodowa Federacja dla Zwycięstwa nad Komunizmem – ma siedzibę tuż obok rodzinnego domu Kishiego.

Istotne jest, że w owym czasie ludzie Moona znani są głównie z działalności antykomunistycznej – dlatego mogą liczyć na wsparcie konserwatywnego establishmentu. Przykładowo, kiedy Japonią wstrząsają demonstracje studenckie pod hasłami antyamerykańskimi, sekta rekrutuje – przez powiązane z nią organizacje – młodych ludzi o prawicowych poglądach.

CHARAKTER TRANSAKCYJNY | W kolejnych dekadach konglomerat Moona, mający także swoje media, rozrasta się, tworząc setki placówek w całej Japonii. Ich wolontariusze roznoszą ulotki na rzecz wskazanych polityków i organizują im wiece wyborcze. W ponad stumilionowej Japonii są grupą może niezbyt liczną, ale karną, religijnie zmotywowaną.

Wraz z końcem zimnej wojny i upadkiem komunizmu sekta przeistacza się w adwokata „tradycyjnych wartości". Występuje teraz – często pod przykrywką którejś z pokrewnych organizacji – przeciw małżeństwom jednopłciowym czy LGBT, a polityków o poglądach zbliżonych do swoich wspiera w wyborach do parlamentu i na szczeblu lokalnym.

Równolegle Kościół Zjednoczeniowy prowadzi aktywność religijną, łowiąc kolejnych członków. Pomimo doniesień o nadużyciach odbywa się to bez większych przeszkód, stąd wizerunek organizacji mającej możnych protektorów. W 1984 r. dziennikarz, który zaczyna opisywać sekrety Kościoła i jego relacje z polityką, otrzymuje cios nożem w niewyjaśnionych okolicznościach. Kilka lat później Moon, ścigany listem gończym za nadużycia podatkowe, najpierw zostaje zatrzymany na tokijskim lotnisku, a potem szybko odzyskuje wolność i bez przeszkód wjeżdża do Japonii.

Marząc o liczącej się w świecie konserwatywnej Japonii, premier Abe kierował się pragmatyzmem i cynizmem.

Tymczasem po Kishim, patronie rodu, siatkę kontaktów z Kościołem przejmie jego zięć Shintarō Abe, a potem jego wnuk Shinzō Abe.

Nasuwa się pytanie, czy przez te lata teologia Moona mogła jakoś przeniknąć do świata japońskiej polityki? Wydaje się to wątpliwe. Relacje z sektą miały raczej transakcyjny charakter: walka z lewicą czy pomoc wyborcza w zamian za możliwość działania. Oczywiście profil Kościoła nie był bez znaczenia – antykomunizm i tradycyjne wartości wpisują się w agendę konserwatyzmu.

Dodać trzeba jednak, że japońscy politycy, obok sekty Moona, utrzymują często kontakty także z innymi organizacjami religijnymi, szintoistycznymi czy buddyjskimi. Wszystkie je łączyć może konserwatyzm, ale teologicznie pozostają sprzeczne. Dla byłego premiera Abego ktoś taki jak Moon był zapewne cwanym, lecz pożytecznym biznesmenem, z którego usług warto było korzystać.

ARCHITEKT ANTYCHIŃSKIEGO SOJUSZU | Shinzō Abe nigdy nie ukrywał, że czuje się politycznym spadkobiercą swego dziadka, że chce zmienić konstytucję oraz pragnie Japonii silnej i dumnej. To wystarczyło, by budzić kontrowersje, zwłaszcza u starszego pokolenia, w którym silne są poglądy lewicowe. Podejrzewano, że marzy on skrycie o przywróceniu militaryzmu, a nawet boskiego wizerunku cesarza. Zarazem jednak Shinzō Abe, najdłużej urzędujący premier w historii, miał mandat demokratyczny.

Gdy teraz ujawniono jego powiązania, część znanych nazwisk istotnie wycofała się z udziału w jego pogrzebie: Macron, Obama czy Trudeau. Istotniejsze może jest jednak to, kto mimo wszystko przyjechał: premierzy Indii i Australii (przyznała ona Abemu swe najwyższe odznaczenie) i wiceprezydent USA Kamala Harris. Prezydent Biden zarządził natomiast po śmierci Abego żałobę narodową i opuszczenie amerykańskich flag do połowy masztu. Te trzy kraje oraz Japonia tworzą nieformalny sojusz o nazwie Quad, który ma równoważyć wpływy Chin w regionie. Jego głównym architektem był właśnie Abe.

Podczas jego ośmioletnich rządów Japonia pierwszy raz po 1945 r. zaczęła odgrywać w dyplomacji rolę współmierną do swojego potencjału gospodarczego. Zostało to zauważone na świecie, zwłaszcza w Waszyngtonie. O dyplomatycznej zręczności byłego premiera niech świadczy fakt, że zbudował dobre osobiste relacje z Obamą, Trumpem i Bidenem.

To Abe stał za koncepcją otwartego Indo-Pacyfiku, gdzie współpraca odbywa się z poszanowaniem prawa międzynarodowego. I to również on, po wycofaniu się Trumpa, ratował porozumienie o wolnym handlu w regionie. Testamentu dziadka do końca nie wypełnił – konstytucja pozostaje niezmieniona, ale dzięki wprowadzonej reinterpretacji Japonia mogłaby już dziś wesprzeć militarnie sojusznika poza swoim terytorium, gdyby okazało się to konieczne.

KTÓRY ABE BYŁ PRAWDZIWY? | Ta ostatnia decyzja wywołała protesty w Japonii. Jednak za granicą największe kontrowersje budził zawsze stosunek Abe do wojennej przeszłości.

Jako młodemu politykowi zdarzało mu się podważać masakrę w Nankinie (w latach 1937-38 armia japońska zamordowała w tym chińskim mieście co najmniej 100 tys. cywilów) i cenzurować materiały o wykorzystywaniu seksualnym kobiet z podbitych terenów. Mówił też o niesprawiedliwych, jego zdaniem, wyrokach tokijskiego trybunału wojennego i odwiedzał słynną tokijską świątynię Yasukuni – poświęcona jest ona duchom tysięcy żołnierzy, którzy oddali życie za kraj i cesarza, a w tym gronie także kilkunastu zbrodniarzom wojennym.

Jedyną wizytę w tej świątyni jako premier Abe złożył w 2013 r., za co spotkała go surowa reprymenda Waszyngtonu. ↦

↦ Szesnaście miesięcy później wygłosił dobre i historycznie poruszające przemówienie w Kongresie USA. Większość jego późniejszych wystąpień kierowanych do sąsiadów będzie łączyć żal za popełnione zbrodnie z apelem o budowę lepszej przyszłości.

Który Abe był prawdziwy? Nagła zmiana poglądów u dojrzałego polityka może budzić wątpliwości. Rację wypada chyba przyznać tym, którzy twierdzili, że przeszkodę do zrzucenia historycznego balastu stanowi ograniczona japońska suwerenność po 1945 r. Jeśli bowiem obronność zostaje scedowana na USA i kraj ma ograniczone pole manewru w dyplomacji, wtedy jego politykom wiele zachowań uchodzi bezkarnie. Z chwilą jednak, gdy Abe podejmuje działania niezależne i sprawcze, ponosi też za nie odpowiedzialność – i musi kalkulować, co jest dla kraju dobre, a co nie.

Swoją drogą, nie zaszkodziłaby też Japonii depolityzacja sporu o historię – ma on wszak swoje źródła w chaosie lat powojennych, gdy służył za amunicję do rozgrywki między lewicą a prawicą.

PRAGMATYZM I CYNIZM | Wracając do sekty Moona i zabójstwa Abego: na działającą od września gorącą linię dla poszkodowanych przez Kościół Zjednoczeniowy tylko w ciągu pierwszego miesiąca zgłosiło się 1,7 tys. osób. Władze poczuły się więc zmuszone do wszczęcia postępowania, które może zakończyć się zdelegalizowaniem organizacji.

Biorąc pod uwagę skalę jej powiązań z partią rządzącą, byłby to ryzykowny ruch dla obecnego premiera Fumio Kishidy, którego popularność spadła ostatnio do 30 procent. Japonia przechodzi też bardzo potrzebną debatę na temat relacji państwo–Kościoły oraz jak definiować sektę i czy wyznaczyć dopuszczalny limit datków dla organizacji religijnych, np. procentowo od rocznych dochodów.

Ujawniony skandal nadwyrężył i tak kontrowersyjny wizerunek Shinzō Abego. Jego polityczny ród, który marzył o liczącej się w świecie konserwatywnej Japonii, dla osiągnięcia tego celu kierował się pragmatyzmem i cynizmem.

Ten pierwszy każe dziś Japonii zwiększyć wydatki na obronę, ale też szukać porozumienia z Koreą Południową w sprawie odszkodowań wojennych. Za ten drugi Shinzō Abe zapłacił ostatecznie życiem.

© PIOTR BERNARDYN

Wyrwani ze świętego spokoju

PIOTR OLEKSY Z VICTORII (KOLUMBIA BRYTYJSKA, KANADA)

Rosyjska agresja dotyka również odległą Kanadę. Czy dla jej rządu światowy kryzys w sferze bezpieczeństwa okaże się ważniejszy niż czystość środowiska, będąca dotąd priorytetem?

Łososie tłoczyły się w okolicach cypla Whiffin Spit, który jest bramą do jednej z wielu zatok na kanadyjskiej wyspie Vancouver, u pacyficznych wybrzeży kraju. Na skrzącej w słońcu powierzchni oceanu co rusz pojawiała się foka lub lew morski, ciesząc się tą ucztą.

Sytuacja ta nie była jednak normalna – poziom wody w rzece Sooke był zdecydowanie za niski, by łososie mogły odbyć swoją wędrówkę w górę nurtu i złożyć ikrę. Dotyczyło to większości rzek w południowej części Kolumbii Brytyjskiej, jednej z kanadyjskich powincji. Porządny deszcze nie spadł tutaj od czterech miesięcy. Potężne ulewy zapowiadano na przedostatni weekend października – niestety skończyło się na przelotnych opadach. Bardzo możliwe, że susza zakłóci cykl rozrodczy łososia. Cały czas powoduje też pożary lasów, w związku z czym archipelag wysp w okolicach Vancouver okrywa pomarańczowa mgiełka.

Jest to jeden z głównych tematów, którymi żyje Kolumbia Brytyjska w ostatnich tygodniach. Widoczne zmiany klimatyczne są w Kanadzie istotnym argumentem na rzecz rozwoju zielonej energii i ograniczenia wydobycia paliw kopalnych. Państwo to plasuje się na czwartym miejscu pod względem zasobów złóż ropy naftowej, jednak dążenie do zahamowania zmian klimatycznych to kluczowy wątek tamtejszej polityki. Dla powszechnego wyobrażenia o roli Kanady w świecie stał się on równie ważny jak wspieranie demokracji, wolności słowa i jedności Zachodu.

ARTUR WIDAK / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Protest przeciw rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Alberta, 15 maja 2022 r.

Jeszcze niedawno te dwa wątki wydawały się komplementarne. Wojna Rosji przeciw Ukrainie spowodowała, że pojawiła się między nimi sprzeczność. Czy dla kanadyjskiego rządu światowy kryzys bezpieczeństwa staje się ważniejszy niż oczarowanie czystością środowiska? – pyta teraz publicysta Andrew Coyne na łamach „The Globe and Mail", najbardziej opiniotwórczego dziennika w kraju.

Przesuwanie akcentów

W swoim tekście Coyne ironizuje, że Partia Liberalna premiera Justina Trudeau zwykła z opóźnieniem dostrzegać i potwierdzać to, co od dawna jest powszechnie wiadome. W ten sposób komentuje przemówienie Chrystii Freeland, wicepremier i minister finansów, która kilka tygodni temu – w czasie wykładu wygłoszonego w waszyngtońskim think tanku Brookings Institution – zarysowała nowe kanadyjskie podejście do stosunków handlowych w świecie.

Freeland zauważyła, że wolny handel i promocja liberalnej demokracji nie mogą być już postrzegane jako gwarancje stabilności. Dlatego jej zdaniem nowy porządek międzynarodowy powinien opierać się na trzech filarach: bliższej współpracy handlowej i inwestycyjnej między państwami demokratycznymi (czytaj: Kanadą, USA, Unią Europejską i państwami brytyjskiej Wspólnoty Narodów), otwarciem na relacje handlowe z innymi państwami, które „podzielają nasze wartości", a także na jedności w przeciwstawianiu się agresywnym państwom autokratycznym.

Takie podejście do handlu międzynarodowego jest określane mianem „friend-shoringu". Termin ten oznacza wzmacnianie relacji handlowych i inwestycyjnych wśród państw zaprzyjaźnionych, szczególnie w obszarach wrażliwych i strategicznych. Jest to rodzaj ekonomicznego protekcjonizmu międzynarodowego, w którym czynniki (i koszty) polityczne są ważniejsze od finansowych. W ten sposób „doktryna Freeland" – jak koncepcję tę nazwały kanadyjskie media – wpisała się w wizję zaproponowaną już wcześniej przez Janet Yellen, sekretarz skarbu USA.

W przypadku Kanady, która do tej pory była orędownikiem globalnego wolnego handlu, jest to istotne przesunięcie akcentów. Ottawa już od kilku miesięcy wyraźnie mówi, że w obliczu rosyjskiej agresji na Ukrainę oraz niepokojących sygnałów płynących z Chin Zachód musi zwierać szyki.

Premier Trudeau udał się do Europy już dwa tygodnie po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji. Odwiedził Wielką Brytanię, Niemcy, Polskę i Łotwę, zapowiadając podwojenie liczby kanadyjskich żołnierzy stacjonujących w ostatnim z tych państw, w ramach grupy bojowej NATO (w efekcie kontyngent ten liczy teraz tysiąc żołnierzy). Ottawa od początku była również zwolennikiem wprowadzenia znaczących sankcji na Rosję.

Kredyty i granaty

Co równie ważne, Kanada znajduje się obecnie na trzecim miejscu wśród państw i organizacji zasilających ukraiński budżet.

W tym przypadku nie jest to tylko efekt wojny. Jeszcze w styczniu i lutym 2022 r., gdy w Europie narastało napięcie – po tym, jak w połowie grudnia Kreml postawił swoje ultimatum Ukrainie i Zachodowi, domagając się przyjęcia nowych traktatów o bezpieczeństwie europejskim na swoich warunkach – rząd Trudeau udzielił Ukrainie dwóch kredytów: 720 mln dolarów kanadyjskich na reformy gospodarcze oraz 50 mln na projekty rozwojowe.

Kanada tradycyjnie jest jednym z najbardziej przychylnych Ukrainie państw zachodnich, co było zauważalne już w trakcie rewolucji godności w 2014 r. oraz po aneksji Krymu i wybuchu wojny w Donbasie. Dużą rolę odgrywają tu liczni obywatele tego kraju pielęgnujący pamięć o swych ukraińskich korzeniach. Wśród tej społeczności, prawie półtoramilionowej (to sporo, jak na 38-milionową populację), znajduje się wielu ludzi zamożnych i wpływowych.

Skąd tak liczna obecność w Kanadzie ludzi o ukraińskich korzeniach? To efekt m.in. polityki władz Kanady jeszcze z przełomu wieków XIX i XX, która w ukraińskich imigrantach dostrzegła szansę na rozwój rolnictwa. W efekcie obecnie w pomoc dla Ukrainy angażuje się nie tylko rząd federalny, ale również władze prowincji (to tutejszy odpowiednik amerykańskich stanów), które prowadzą własne programy wsparcia dla uchodźców, a nawet przekazują fundusze na zakup uzbrojenia (a także zakazują sprzedaży rosyjskiego alkoholu).

Sprzęt wojskowy – w tym broń o charakterze ofensywnym – był przekazywany przez Ottawę jeszcze przed rozpoczęciem rosyjskiej inwazji. 14 lutego 2022 r. przekazano pakiet pomocowy o wartości ok. 7,8 mln dolarów kanadyjskich, a po inwazji w ślad za nim poszły systemy przeciwpancerne, wyrzutnie rakiet oraz granaty. Natomiast w październiku minister obrony Anita Anand ogłosiła nowy pakiet pomocy wojskowej dla Ukrainy, o wartości 47 mln dolarów kanadyjskich. Oprócz pocisków artyleryjskich i technologii komunikacyjnych w pakiecie tym znajdą się również – jakże potrzebne wkrótce – zimowe mundury.

Czarne piaski

Pogłębiający się kryzys w sferze bezpieczeństwa i problemy na rynku energii sprawiają jednak, że zachodnia wspólnota państw demokratycznych, do której tak chętnie odwołuje się Ottawa, będzie chciała od niej czegoś więcej – ropy.

Do niedawna Kanada regularnie obniżała skalę wydobycia ze swych bogatych roponośnych zasobów. W 2020 r. osiągnęło ono najniższy poziom od pięćdziesięciu lat. Jednocześnie intensywnie ↦

↦ rozwijano sektor źródeł odnawialnych. Jednak potem, w końcu marca 2022 r., minister bogactw naturalnych Jonathan Wilkinson zapowiedział zwiększenie eksportu surowców. Do końca roku Kanada miała zwiększyć sprzedaż ropy i gazu o 7 proc.

W obliczu przedłużającej się wojny w Ukrainie i pogłębiania się kryzysu energetycznego w Europie jest to wciąż za mało. Kanada posiada co prawda bardzo duże rezerwy, które może uruchomić (i – jak powiedzieliśmy – uruchamia, zwiększając eksport). Jednak dodatkowe zwiększenie wydobycia i eksportu surowców napotyka na liczne problemy. Istniejąca infrastruktura przesyłowa pozwala zaspokajać przede wszystkim rynek amerykański.

Ponadto kanadyjskie zasoby ropy mają głównie postać piasków smołowych, czyli mieszanki ropy, piasku, mułu oraz tzw. bituminów (to mieszanka substancji organicznych, w formie stałej lub ciekłej). Wydobycie takiej ropy – nazywanej ciężką – oraz późniejszy proces rafineryjny są niezwykle złożone, kosztowne oraz energochłonne. Taka ropa jest droga i podwójnie obciążająca dla środowiska.

Gazociąg i Pierwsze Narody

Ponowny rozwój przemysłu surowcowego w Kanadzie stałby również w sprzeczności z polityką pojednania państwa z autochtonami, które dzisiaj zwykło się określać mianem Pierwszych Narodów.

W ostatnich latach kwestia ta stała się jedną z najbardziej palących i drażliwych w tamtejszym życiu publicznym. Wynika to również z ustaleń i odkryć dotyczących brutalnej polityki naturalizacyjnej, którą realizowano aż do lat 90. XX w., także w szkołach katolickich. Podnosi się kwestie przemocy fizycznej i seksualnej w tych instytucjach. Politykę władz wobec ludności rdzennej określa się mianem „kulturowego ludobójstwa", a osoby, które wyszły z tych szkół, nazywane są Ocalałymi (pisanymi dużą literą).

Tymczasem spora część złóż oraz obszarów, przez które przebiegają lub miałyby przebiegać rurociągi, położona jest na terytoriach zarządzanych dziś właśnie przez Pierwsze Narody. Poważny konflikt, który poruszył opinię publiczną w całym kraju, pojawił się jesienią ubiegłego roku. Przedstawiciele ludu Wet'suwet'en próbowali zablokować budowę 670-kilometrowego gazociągu Coastal GasLink, który ma przebiegać przez należące do nich terytoria. Spotkało się to z reakcją policji, która aresztowała ponad 70 osób, w tym wodza ludu.

> Kanadyjczycy przez lata nabrali przekonania, że położenie gwarantuje im spokój, a świat – kierowany regułami wolnego handlu **– będzie rozwijał się stabilnie.**

Opisy działań stróżów prawa były dość zatrważające – użyto gazu, psów i przemocy fizycznej. Wywołało to ogólnokrajowe manifestacje solidarności z Pierwszymi Narodami, do których przyłączyli się również ekolodzy. W lutym tego roku z kolei doszło do fizycznego ataku na miejsce budowy gazociągu – grupa ok. 20 osób, uzbrojonych także w siekiery, zniszczyła samochody firmy ochroniarskiej oraz nowo budowaną infrastrukturę.

Przez cały ten czas spółki realizujące inwestycje wkładały duże pieniądze w przemyślaną kampanię w mediach społecznościowych, której celem było przekonanie Pierwszych Narodów do zmiany stanowiska. Rozbudowę gazociągu przedstawiano jako szansę na skok rozwojowy. Kampania ta faktycznie wywołała rozłam wśród członków Wet'suwet'en. Część z nich zaczęła popierać inwestycję, widząc w niej szansę na wyjście z fatalnego położenia społecznego i ekonomicznego. Większa część tej społeczności widzi w tym jednak przede wszystkim kontynuację kolonialnej polityki oraz gwałt na rodzącej się podmiotowości ludu, a także na jego kulturze i wartościach – opartych na szacunku wobec ziemi i przyrody.

W cieniu Ukrainy – i Arktyki

Rosyjska agresja sprawiła także, że do kanadyjskiego życia publicznego wróciły tematy światowej polityki i kwestie bezpieczeństwa. W dyskusji stawiane są pytania o własną aktywność i rolę kraju w świecie. Wsparcie dla Ukrainy, okazywane od kilku lat, jest bowiem jednym z niewielu tylko przykładów zaangażowania Kanady w kształtowanie ładu międzynarodowego – takiego, jaki odpowiadałby potencjałowi państwa będącego współzałożycielem NATO i członkiem grupy G7.

Kanadyjscy wojskowi w końcu zyskują posłuch, gdy narzekają na zaniedbania w finansowaniu sił zbrojnych. Co prawda jeszcze w marcu 2020 r. premier Trudeau zapowiedział, że wydatki na obronność w końcu osiągną wymagany przez NATO próg 2 proc. PKB, a w czerwcu przekazano 5 mld dolarów amerykańskich na modernizację północnoamerykańskiego systemu obrony powietrznej NORAD. Niemniej dowództwo armii (liczy ona 65 tys. żołnierzy) podkreśla, że zaniedbania, wynikające prawdopodobnie z wiary w globalną stabilność i własne bezpieczeństwo, będą wymagać naprawdę dużych inwestycji.

Z coraz większym niepokojem patrzy się również na Arktykę. Wayne Eyre, szef sztabu obrony kanadyjskich sił zbrojnych, występując 18 października 2022 r. przed parlamentem federalnym ostrzegał, że dotychczasowa „wątła kontrola" nad terytoriami arktycznymi będzie musiała zmierzyć się wkrótce z wyzwaniem w postaci ekspansywnej obecności tamże Rosji i Chin. Współpraca tych dwóch państw – stwierdził Eyre – „będzie stanowić znaczące wyzwanie dla kanadyjskich zdolności obrony własnej suwerenności [terytorialnej]". W tym przypadku konieczne są inwestycje w okręty podwodne oraz system monitorowania głębin. Na tyle szybkie, by dogonić Rosjan, których zdolności militarne w obu tych sferach są bardzo rozwinięte.

Planeta Kanada

Kanadyjczycy przez lata mogli nabrać przekonania, że ich położenie geograficzne gwarantuje im spokój, a świat – kierowany racjonalnymi regułami wolnego handlu – będzie rozwijał się stabilnie. Z północy amerykańskiego kontynentu, zajęci swoimi sprawami, z dystansem przyglądali się rozwojowi wypadków w świecie.

Teraz rosyjskie bomby spadające na Ukrainę i wywołany przez Putina kryzys energetyczny odbijają się głośnym echem również tutaj. Dylematy związane z energetyką, ekologią oraz polityką wobec Pierwszych Narodów – oraz z pytaniem, jak pogodzić teraz te priorytety – nabierają zupełnie nowego znaczenia.

© PIOTR OLEKSY

JACEK

Podsiadło: *Niezwykli obywatele Chin*

Wiadomości płyną takie: „90 proc. banków centralnych na świecie używa, testuje lub bada CBDC (cyfrową walutę banku centralnego)". „Cyfrowy juan jest dziś najczęściej stosowanym CBDC na świecie. Za jego emisję odpowiada Bank Ludowy Chin. Bank zapewnia, że zwykli obywatele Chin nie muszą martwić się, że władze będą ingerować w ich prywatność". „Turcja chce wprowadzić CBDC i połączyć ją z systemem identyfikacji cyfrowej – koncepcja ma zostać wdrożona już w 2023 roku. Umożliwi monitorowanie i kontrolę wydatków obywateli". „Norges Bank infrastrukturę dotyczącą emisji waluty cyfrowej oparł na technologii ethereum".

Sprawa jest tym bardziej niepokojąca, że komunikaty ze strony rządów, banków i większości dziennikarzy brzmią uspokajająco: „Europejscy prawodawcy aktywnie badają potencjalne zalety i zagrożenia wiążące się z CBDC", „CBDC jest cyfrową wersją gotówki". Cyfrową, a więc łatwiejszą w użyciu. I nie zamierza gotówki wyprzeć, tylko ją uzupełnić: „zapewnienie niezakłóconego dostępu do banknotów i monet, mających status prawnego środka płatniczego w Polsce, oraz zagwarantowanie powszechnej akceptacji płatności gotówkowych w transakcjach detalicznych jest niezbędne do sprawnego funkcjonowania gospodarki oraz odpowiada społecznemu zapotrzebowaniu" – pisał w ubiegłym roku prezes Glapiński we wstępie do opracowania NBP „Pieniądz cyfrowy banku centralnego".

Co o tym wszystkim myśli pani Mariola z okienka w Pekao? Podobnie jak ja żywi obawy, że CBDC jednak wyprze pieniądz tradycyjny. Wprawdzie Zespół Analiz Makroekonomicznych jej własnego banku jeszcze w ubiegłym roku zapewniał: „Nie sądzimy, aby banki centralne chciały przy pomocy CBDC wyeliminować obrót gotówkowy – wręcz przeciwnie", ale zaraz potem dodawał: „Być może w przyszłości popyt na gotówkę obniży się tak mocno, że rzeczywiście zostanie ona wyparta. Na razie taki scenariusz traktujemy raczej w kategoriach futurologicznych". A na futurologii pani Mariola już nieraz się przejechała. Ostatnio, jak pan Zygmunt z Zespołu Analiz zapewniał, że NA RAZIE nie może wziąć rozwodu, ale swojej starej naprawdę ma dość, a Marioli pożąda NAPRAWDĘ.

Pani Mariola ma dwadzieścia trzy lata i pozuje na nowoczesną. W pracy się do tego nie przyznaje, ale trzyma w domu trochę gotówki w skarpecie. Odkąd pan Zygmunt się do niej nie odzywa, pani Mariola coraz częściej zagląda do skarpety, bierze z niej parę groszy i kupuje sobie wino, w którym topi smutki. Żyje w kraju demokratycznym, więc wolno jej. Ale w demokratycznym kraju za sznurki pociąga pewien satrapa. Taki dzieciakowato-dziadziusiowaty, niby niegroźny, właściwie atrapa satrapy. Pani Mariola boi się, że jak CBDC zastąpi gotówkę, bank centralny może za jego sprawą odciąć ją od źródełka. I jak ona będzie chciała zapłacić za wino, to kasa powie głośno na całą Biedronkę, że jako bezdzietna osoba poniżej 25 lat i płci niewykluczającej dzietności wykorzystała już limit dawania w szyję w miesiącu bieżącym.

W cytowanym już opracowaniu NBP pisze się, że podczas pandemii „Szybkie dotarcie z pomocą finansową (...) napotkało na szereg trudności, zwłaszcza w państwach z dużym odsetkiem osób nieubankowionych. Jednym z powodów była dominacja w realizacji tego typu zadań instrumentów płatniczych mało efektywnych w warunkach pandemii. W większości jednak podstawowym problemem okazał się brak systemu cyfrowej identyfikacji/cyfrowego potwierdzania tożsamości. Zakłada się, że system CBDC, połączony z efektywnym systemem potwierdzania tożsamości cyfrowej klientów, mógłby zapewnić sprawną dystrybucję środków".

„Osoby nieubankowione" tak mi się tutaj spodobały, że odpuszczam bankopisarzom „napotkało na szereg trudności". Ale nie mogę odpuścić pochwały wariantu chińsko-tureckiego, o którym Martin Young pisze: „CBDC powiązane z ID jest idealnym narzędziem dla państw autorytarnych do uciskania dysydentów i działaczy antyrządowych". Ograniczenia nakładane na użytkowników CBDC mogą być najróżniejsze, jakich władza tylko zapragnie. Ujemne oprocentowanie. Limity oszczędności. Nadanie walucie daty ważności. Uniemożliwienie dostępu do niej na określonym obszarze – poza miejscem zamieszkania w razie pandemii, ale też za blisko granicy osobom niepowołanym podczas obchodów święta narodowego Murem za Obszczymurem. Od większości tych plag może nas uchronić gotówka. Jeśli zniknie, niemożliwa będzie jakakolwiek operacja, nawet pożyczenie przez panią Mariolę 50 cyfrowych złotych panu Zygmuntowi, bez wiedzy organów nadzoru. I jeśli atrapa satrapy uzna pana Zygmunta jako osobnika zdradzającego żonę za terrorystę, nie będzie potrzebne nawet jedno kliknięcie, żeby pana Zygmunta wyrzucić poza nawias społeczeństwa.

I co Wy na to? Ja próbuję się na początek odbankowić. Lekko nie będzie, ale odniosłem już pierwszy sukcesik: kiedy spytałem redakcję „Tygodnika Powszechnego" o możliwość dostawania honorariów za felietony do ręki, usłyszałem, że dla własnej wygody powinienem raczej nadal korzystać z konta bankowego, ale jeśli się upieram, to mogę przyjeżdżać do Krakowa co dwa tygodnie. I że byłbym trzecim po Zygmuncie Baumanie (sic!) i Ludwiku Flaszenie (wow!) nieubankowionym autorem w najnowszej historii Redakcji. ©

HISTORIA

ŁOBUZ Z KROWODRZY

Prawie 80 lat leżały w depozycie – najpierw obozowym, potem archiwalnym. Właśnie wróciły do rodziny ich właściciela, więźnia Auschwitz.

EWELINA KARPIŃSKA-MOREK

Zachowanie: odpowiednie. Religia: bardzo dobry. Język polski, śpiew: dostateczny. Roboty (tj. zajęcia praktyczne): bardzo dobry. To fragment „zawiadomienia szkolnego" Stanisława Króla z roku 1924/25.

Sprzedana butelka. Jedna, druga, setna. Pierwsze pieniądze. Czy wystarczy na ramę? Kolejne butelki, stosy butelek. Z tego po kolei: manetka, siodełko, widelec, piasta. Korba, sztyca, opony. I tak dalej. Kawałek po kawałku. Byle do celu. Taki jest Staszek. Osiemnaście miesięcy później wjeżdża na podwórko przy ulicy Mazowieckiej w Krakowie skonstruowanym przez siebie rowerem.

Wypucowana kolarka lśni na zdjęciu zrobionym 12 października 1930 r. w Pieskowej Skale. Trzech młodzieniaszków pod krawatem, w sportowych garniturach i kaszkietach, pozuje na tle zamku i Maczugi Herkulesa. Stanisław ma wówczas 19 lat. Za dwa dni zda egzamin na czeladnika i dostanie świadectwo ukończenia nauki w rzemiośle. Zawód: ślusarz.

Ubiera się jak Humphrey Bogart. Wie, jak patrzeć w obiektyw. Wie, jaki kapelusz założyć i jak dobrać krawat. Czaruje uśmiechem. Pozuje na mecie zawodów kolarskich, na ławce w parku. Również z kobietami. Przyjaźni się z ludźmi z różnych środowisk.

Jest bardzo świadomy detali, które budują wizerunek. Gdyby go zapytać, która jest godzina, wyjąłby z kieszeni srebrną omegę na łańcuszku.

„Grzecznemu Stasiowi...", „na pamiętkę mile spędzonych chwil". Takie dedykacje wpisują mu na odwrocie portretowych fotografii zauroczone nim krakowskie panny. „Stasiowi – łobuzowi – na pamiątkę, Jaśka".

To jedno z ostatnich zachowanych zdjęć Stacha.

Obóz

8 października 1940 r.: pociąg do obozu koncentracyjnego i zagłady Auschwitz. Numer obozowy: 5912.

Rok 1944: transport do obozu koncentracyjnego Neuengamme w Hamburgu.

Kwiecień 1945 r.: kilka dni w pociągu towarowym z „ewakuowanego" obozu Neuengamme do Lubeki.

Zegarek omega przekazany odnalezionemu krewnemu Stanisława Króla, więźnia Auschwitz. Kraków, 3 listopada 2022 r.

ROBERT STELMACH / MATERIAŁY PRASOWE AROLSON ARCHIVES

Jego omega „podróżuje" w kopercie jako depozyt. Podobnie rzeczy osobiste zabrane innym więźniom – i dokładnie opisane w chwili zarejestrowania w obozie. Gdy więźniowie są przenoszeni do innych miejsc prześladowań, ich rzeczy osobiste jadą za nimi, choć w zgoła innych warunkach niż ludzie, sprowadzeni do poziomu kilku liczb.

Podróż na odcinku 80 kilometrów z Neuengamme do Lubeki, która dziś zajęłaby maksymalnie dwie godziny, trwa kilka dni. Ludzi pozbawionych jedzenia i picia przy życiu trzyma nadzieja, że lada dzień wyzwolą ich alianci.

W porcie więźniowie zostają załadowani na holowniki, którymi powinni dostać się na pokład liniowca SS „Cap Arcona". Tego, na którym w 1942 r. w porcie w Gdyni kręcono film „Titanic". Dowództwo jednostki odmawia jednak przyjęcia zawszonych i chorych na tyfus więźniów – wnętrza są zbyt luksusowe. Przychodzi rozkaz Reichsführera-SS Heinricha Himmlera i nie ma już wątpliwości: filmowy „Titanic" ma przyjąć niechcianych pasażerów.

Pojemność 27,5 tony, 196 metrów długości i prawie 26 metrów szerokości. Jeden z więźniów, który razem ze Stanisławem trafił na „Cap Arconę" – Jan Karcz – przepisał te dane z urzędowej niemieckiej książki marynarskiej. Na statku umieszczono też dokumenty z obozu Neuengamme.

Statek znajduje się w odległości około siedmiu kilometrów od brzegu, ale wielu czekających na wyzwolenie tego nie wie. Zostali stłoczeni na najniższych nieoświetlonych pokładach. Pełne napięcia oczekiwanie – wyzwolenie wydaje się bliskie.

Bałtyk

Jest 28 kwietnia 1945 r. „Obserwujemy z okien kabin niezwykły ruch na morzu dziesiątek łodzi podwodnych i mniejszych jednostek morskich niemieckich, które w niespokojnym manewrze dają nam odczuć o niezdecydowaniu. W szeregi więźniów zaczyna się wkradać niepokój, gdyż więźniowie znają dobrze swoich katów" – zezna Jan Karcz w 1946 r. przed Główną Komisją Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce.

30 kwietnia 1945 r. część więźniów zostaje przeniesionych z „Cap Arcony" na zakotwiczony w pobliżu statek „Athen". Wśród nich jest Karcz. Na znajdującym się około 800 metrów od „Cap Arcony" frachtowcu „Thielbek" jest jeszcze około 3 tysięcy więźniów. Łącznie blisko 7 tysięcy ludzi, którzy przeżyli „ewakuację" obozu Neuengamme, marsz śmierci z obozu Fürstengrube w Wesołej koło Mysłowic, transport i głodowy pobyt na morzu.

Alianci ostrzegają i stawiają ultimatum. Do 3 maja do godziny 14 wszystkie te statki mają zawinąć do portu. Jedynie kapitan „Athen" reaguje, wywiesza białą flagę i zawraca, ratując tym życie więźniom. Dwie pozostałe jednostki zwlekają. Zostają zbombardowane. Brytyjczycy myślą, że na statkach ukrywają się Niemcy.

„Cap Arcona" płonie, kładzie się na lewy bok i tonie, wciągając za sobą tych, którzy wskoczyli do morza i nie mieli czasu, by odpłynąć. Na pokładzie statku lub gdzieś za burtą w lodowatym Bałtyku jest Stanisław Król. Część więźniów, tych zdrowszych i silniejszych, próbuje płynąć do brzegu. Udaje się to nielicznym – tym, którzy mają wiecej siły lub znajdą coś, czego mogą się złapać. Na lądzie czekają esesmani. Strzelają do wychodzących z wody.

Zegarek Staszka jest wtedy w suchej kopercie. Wraz z innymi depozytami zostanie ukryty w kręgielni pubu w Lunden. Około 150 kilometrów w linii prostej na zachód od miejsca, w którym wskutek tragicznej pomyłki aliantów zginie 34-letni Stanisław i ponad 6 tysięcy innych więźniów.

Z punktu widzenia przegrywającej wojnę III Rzeszy zatopienie przez wojska brytyjskie statków ze świadkami i ofiarami nazistowskich zbrodni – oraz z dokumentami stanowiącymi dowody – jest wymarzonym scenariuszem.

Depozyt

Rok 1963. Do Międzynarodowej Służby Poszukiwań w Bad Arolsen trafia zbiór rzeczy zabranych więźniom w obozach koncentracyjnych, odnaleziony po wojnie w pubie w Lunden.

To 4,7 tys. kopert z rodzinnymi zdjęciami, różańcami, zegarkami, biżuterią, listami. Ostatnimi przedmiotami, jakie mieli w kieszeniach spodni, torebkach czy na sobie ludzie, których postanowiono odrzeć z godności, pozbawiając ich wolności oraz tożsamości.

Wiele z tych rzeczy uda się zwrócić prawowitym właścicielom na przestrzeni kolejnych lat. Pozostałe będą czekać. Między innymi na Elżbietę Pasternak i kilku ↦

↦ uczniów z I Liceum Ogólnokształcącego im. księdza Józefa Konarskiego w Oświęcimiu.

Poszukiwania

Jest czerwiec 2022 r. Elżbieta ogląda wystawę #StolenMemory w Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau, a na niej plakat z krótką historią Stanisława Króla i zdjęciem jego zegarka. Postanawia, że go odnajdzie.

On był związany z Krakowem, a ona dobrze zna miasto z czasu, gdy studiowała tam germanistykę. O wsparcie w poszukiwaniach prosi administratora strony Moja Krowodrza na Facebooku. W poszukiwania włączają się Marcin Grega i Mateusz Zimny.

W apelu o pomoc, opublikowanym w mediach społecznościowych, jest informacja, że w wykazie domów mieszkańców Krowodrzy – w księdze adresowej Krakowa z 1932 r. – pod adresem ul. Mazowiecka 136 widnieje właścicielka Maria Królowa, później Sulikowska. Jej grób znajduje się na cmentarzu Rakowickim. Razem z nią spoczywa pierwszy mąż Jan i Maria Kassatti, prawdopodobnie córka. Tyle wiadomo z końcem lipca.

30 lipca 2022 r. „Szanowny Panie, dzisiaj na profilu FB Moja Krowodrza znalazłem informację, której treść załączam poniżej. Zbieżność nazwiska – tak rzadkiego – Pana i zmarłej Zofii być może nie jest przypadkowa. Gdyby umiał Pan pomóc w rzeczonej sprawie, proszę o kontakt. Z wyrazami szacunku, Mateusz Zimny".

Ten mail zastaje Tadeusza Kassattiego – pianistę, kompozytora – na Filipinach, gdzie mieszka od 10 lat. Odpisuje: „Odpowiadam krótko, bo emocje plączą mi myśli, a i warunki utrudniają pisanie. A oto parę faktów: jestem synem Zofii Kassatti, córki Marii Sulikowskiej. Fakty dotyczące mego wuja, Stanisława, są mi znane z opowieści matki. Posiadam parę dokumentów. Tadeusz Kassatti".

Sprawdzone

Wśród dokumentów, o których pisze Kassatti, jest nieznana dotąd korespondencja Stanisława Króla z matką. Pożółkłe obozowe karty zapisane starannym pismem niemieckiego urzędnika.

Nie da się jej odczytywać bez świadomości zasad, jakie panowały w Auschwitz. Więzień mógł miesięcznie otrzymać i wysłać po dwa listy lub kartki do rodziny. Listy mogły się składać z trzydziestu linijek, a karty – z dziesięciu. Zabronione było wykorzystywanie zdjęć. Przesyłki pieniężne były dozwolone. Można było też wysyłać gazety, o ile zamawiano je przez placówkę pocztową Auschwitz. Zabronione było kategorycznie wysyłanie paczek, gdyż próbowano rodzinom wmówić, że więźniowie mogą na terenie obozu wszystko kupić, np. piwo czy papierosy. Nie można było też prosić o zwolnienie z aresztu. Odwiedziny więźniów w obozie były zakazane.

ARCHIWUM PRYWATNE

Stanisław Król, ok. 1939 r.

Jeśli spełniono te zasady, niemiecka administracja przybijała stempel „geprüft" (sprawdzone).

Przez to korespondencje więźniów z bliskimi opierają się na szablonowych informacjach, z których wyłania się fałszywy obraz obozowej rzeczywistości. Wielu więźniów zapewnia o dobrym samopoczuciu, pyta o zdrowie członków rodziny, przekazuje pozdrowienia. Jak Stach, numer 5712. System działa tak, by prawda o tym, czego doświadcza, nie wyszła na jaw.

Listy

Listy są pisane w języku niemieckim. Staszek w każdym wypytuje o rodzinę, zawsze ciepło pozdrawia Zosię, ukochaną siostrę. Braci czasem też, ale rzadziej. Często wymienia Julka – wspólnika. Dopytuje, czy Julek przynosi pieniądze. Przesyła porady związane z prowadzeniem firmy. Wypytuje też o Marysię Galasównę z Mikołajskiej 12, czy czasem przychodzi w odwiedziny. Wspomina o kantynie, jaka funkcjonuje w obozie, i o tym, że można tam kupić wszystko – tytoń i piwo również. Można uwierzyć, że w Auschwitz jest przyzwoicie, wręcz dobrze.

– Starałem się czytać te listy „między słowami". W pierwszych pisze do matki „moja kochana matko" (*meine liebe Mutter*), ale potem, pod koniec, zwraca się do niej o wiele bardziej pieszczotliwie „moja kochana mamusiu", „moja droga matuchno", jakby szukał schronienia w jej opiekuńczych ramionach. Jakby chciał wrócić do swojego dzieciństwa – mówi dziś Tadeusz Kassatti.

Patrzymy na charakterystyczne potrójne zdjęcie z Auschwitz, w pasiaku. To spojrzenie zagubionego dziecka, które nie bardzo rozumie, co mu się przydarzyło.

„Mamo, minęło prawie pół roku, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni. Ale myślami zawsze jestem z tobą" – pisze. To jedne z bardziej intymnych słów w cenzurowanej korespondencji z Auschwitz. I jeszcze: „Mam nadzieję, że dobry Bóg pozwoli nam spędzić następne święta razem".

Gdy to pisze, jest styczeń 1943 r. Dwa miesiące później zostaje przeniesiony do obozu koncentracyjnego Neuengamme. Stamtąd do rodzinnego domu Stacha (o prostej bryle, do którego wchodzi się po schodkach przez dwuskrzydłowe drzwi) nie przyszedł już żaden list.

Odzyskany

Spotykamy się z Tadeuszem Kassattim w listopadzie 2022 r. Mówi tak: – Jeśli wspomnienia z upływem czasu bledną, to cóż powiedzieć o wspomnieniach wspomnień? Urodziłem się już po wojnie, a tragedię wuja Stacha znam jedynie z opowieści matki. Jasne, pamięć o tych wydarzeniach powinna trwać, tylko... Komu i kiedy o tym mówić? Nie widujemy się przecież z przyjaciółmi, by ciągle im opowiadać o tych smutnych sprawach... Tak więc cała ta tragedia stała się dla mnie odległym epizodem z historii rodziny.

– Mail Mateusza Zimnego dotyczący Stacha podziałał na mnie jak raca – wspomina Kassatti. – Narracja nagle zmieniła kierunek. To nie ja komuś zawierzałem losy wuja, lecz jakby cały internet i cały świat się o niego dopytywał! Miałem wra-

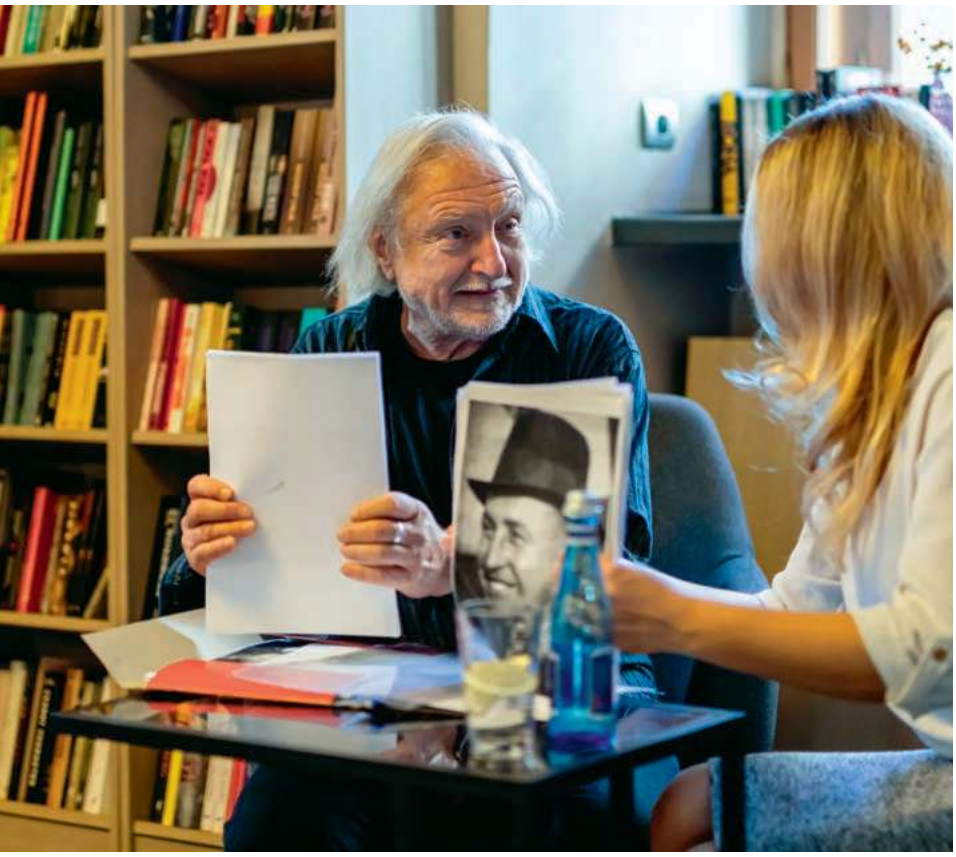

ROBERT STELMACH / MATERIAŁY PRASOWE AROLSON ARCHIVES

Tadeusz Kassatti podczas przekazania pamiątek rodzinnych z depozytu. Kraków, 3 listopada 2022 r.

żenie olbrzymiej solidarności ze strony ludzi, którzy poświęcali mu swój czas i energię. Było to wspaniałe, nigdy dotąd niedoznane przeze mnie uczucie. Cała sprawa z momentu na moment odzyskała wyrazistość i aktualność. Później kontaktowały się ze mną kolejno Elżbieta Pasternak z Międzynarodowego Domu Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu i Małgorzata Przybyła z Arolsen Archives.

I dalej: – Przetrząsając od nowa rodzinne archiwum w poszukiwaniu szczegółów, odnalazłem parę interesujących dokumentów, które, nawet nie będąc licznymi, pozwalają na ustalenie ciekawych faktów. Jak w jakimś śledztwie poszlakowym. Bardzo pomocny okazał się tutaj pan Marcin Grega i jego wyjątkowa wręcz znajomość historii dzielnicy Krowodrza.

– Zdecydowanie wuj Stach nie był przeciętnym człowiekiem – dodaje. – Szkoda, że nie było mi dane go poznać, ale i tak czuję, że odzyskałem bliskiego członka rodziny.

Spotkanie

Jest 3 listopada 2022 r., Kraków. Pudełko ze srebrną omegą trzyma Zofia Przeworska, dziś studentka judaistyki na UJ. Skany dokumentów z Arolsen Archives, na podstawie których można dość dokładnie odtworzyć ścieżkę prześladowań Stanisława, przekazuje Mateusz Mika – student historii, wcześniej, podobnie jak Zofia, uczeń oświęcimskiego liceum, które włączyło się w poszukiwanie rodzin.

Zbiór rzeczy zabranych więźniom to 4,7 tys. kopert ze zdjęciami, różańcami, biżuterią, listami. Wiele udało się już zwrócić rodzinom właścicieli. Pozostałe czekają.

Zegarek Staszka zatrzymał się na godzinie jedenastej trzydzieści dziewięć.

Tadeusz Kassatti chciał osobiście odebrać pamiątkę po wujku. Przyleciał z Filipin. Teraz starannie dobiera słowa, kreśląc portret człowieka, którego zna z opowieści matki, Zofii Kassatti.

Zofia wychowywała się w skromnej rodzinie. Ucząc się wieczorami, miała do dyspozycji lampkę numer pięć. Zawsze to podkreślała. Lampka numer pięć, czyli ta najsłabsza. Gdy dorośli kończyli swoją pracę, gaszono ją natychmiast, by oszczędzać naftę. Bieda piszczała, a jej brat Stachu chciał mieć rower. To tak, jakby marzył o rakiecie, by móc polecieć na Księżyc.

Tadeusz wyciąga z teczki kopie zdjęć z rodzinnego archiwum. Jest ich wiele. Żadna z fotografii nie jest zdjęciem studyjnym. Wszystkie wykonano w plenerze. Są bardzo naturalne. Na jednej stoi w rzędzie kilkanaście osób. Większość to kolarze w sportowych strojach. Wygląda to na finał wyścigu.

– Mam wrażenie – mówi Tadeusz – jakby Stachu poprzez przepaść 80 lat, które nas dzielą, przekazywał mi wraz z zegarkiem swój czas. Czas, którego nie mógł wykorzystać. I jakby mówił do mnie: teraz biegniesz ty! Jak w sztafecie rodzinnej. Daje mi to poczucie niesłychanej energii i optymizmu. Nie mogę wuja zawieść.

Tylko jedno spośród zdjęć nie pasuje do wizerunku ambitnego konstruktora, sportowca, eleganckiego młodzieńca z dzielnicy Krowodrza. To z Auschwitz.

Mój Stachu

Tadeusz Kassatti: – Jest takie powiedzenie, które w tej sytuacji uderza mnie podwójnie swoją prawdziwością: osoby nam bliskie żyją tak długo, jak długo istnieją w naszych sercach, umysłach. Jak długo się o nich mówi i myśli. Nasuwa mi się jednak w związku z tym powiedzeniem pytanie: jak mamy o tych ludziach myśleć?

– Chciałbym podkreślić mój szacunek do ich cierpienia, do tego, co przeszli. Myśl o tym napawa grozą i na pewno nie jestem tutaj wyjątkiem – dodaje. – Ale... Czy przypadkiem myśleć o nich tylko z punktu widzenia ich męczeństwa nie oznacza skazania ich na wieczne uwięzienie, na chodzenie w pasiakach do końca naszej jaźni? Wolę myśleć o moim Stachu, wyobrażając go sobie ubranego w elegancki garnitur, noszącego piękny krawat. Dla mnie zawsze pozostanie „łobuzem z Krowodrzy".

© EWELINA KARPIŃSKA-MOREK

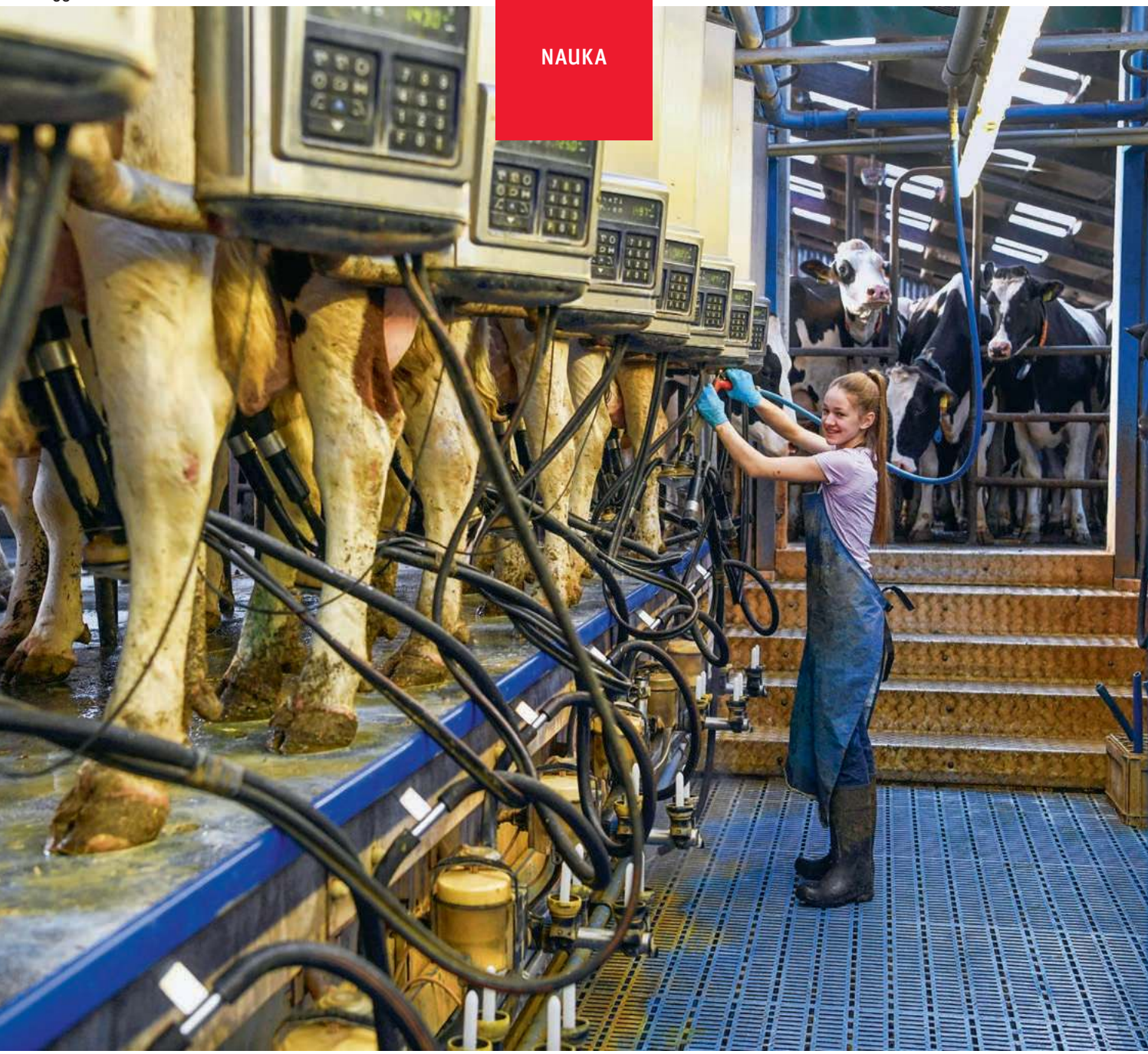

Dojenie krów na farmie w Oberheckenbach. Niemcy, kwiecień 2021 r.

PRZEPIS NA MLEKO

Nie ma bardziej typowej cechy ssaków niż produkcja mleka. U wszystkich gatunków pełni tę samą funkcję, choć jego skład i dostępność może się bardzo różnić. A czy właściwie wiemy, skąd się wzięło?

MARTA ALICJA TRZECIAK

Ludzie spożywają mleko innych ssaków od 10 tys. lat – przynajmniej tak wynika z badań Richarda P. Eversheda z Uniwersytetu w Bristolu i współpracowników, przedstawionych w lipcu w „Nature". Trawienie laktozy (cukru mlecznego) stało się zaś powszechne w dorosłej populacji nie wcześniej niż 3 tys. lat temu. To oznacza, że nasi przodkowie przez kilka tysięcy lat hodowali kozy, owce lub bydło i spożywali produkty ich udoju, narażając się na pewne dolegliwości. Nie były one jednak zbyt groźne – z reguły ograniczały się do bólu brzucha, biegunki czy wzdęć – nie mogły więc uruchomić mechanizmu naturalnej selekcji.

Mutacja umożliwiająca rozkład laktozy u dorosłych rozpowszechniła się w populacji dopiero po kilku wielkoskalowych klęskach, takich jak epidemie czy głód. Wtedy jakiekolwiek problemy jelitowe mogły doprowadzić nawet do śmierci, a sprawne trawienie i przyswajanie pożywienia dawało przewagę. Osoby i grupy, które skutecznie radziły sobie z laktozą w mleku, statystycznie żyły dłużej i zostawiały więcej dzieci.

Dziś mleko jest dla nas nierozerwalnie skojarzone z żywnością. Ale jego ewolucyjne początki niewiele mają z nią wspólnego.

Protomleko

Wszystkie współczesne ssaki wytwarzają mleko – ich wspólny przodek również musiał je zatem produkować. Mleko może więc istnieć nawet od 237 mln lat, gdy rozdzieliły się linie prowadzące do współczesnych łożyskowców i stekowców. Wcześniej przodkowie ssaków, cynodonty, produkowały w gruczołach skórnych protoplastę mleka, którego skład prawdopodobnie można by porównać do potu.

Funkcja tej starej wydzieliny – pierwotnego „mleka" – była inna. Przodkowie ssaków wysiadywali jaja, które różniły się budową i składem np. od jaj współczesnych ptaków. Ich otoczka nie była tak wysycona związkami mineralnymi, ale błoniasta, więc jaja były miękkie. Groziła im nie tylko utrata ciepła, ale też wilgotności. Mlekopodobna wydzielina miała więc za zadanie nawilżać, natłuszczać, uelastyczniać i chronić wrażliwe jaja. Z czasem skład tej substancji zaczął się zmieniać i stawał się coraz bardziej wysycony substancjami odżywczymi. Te mogły przenikać przez przepuszczalną błonę jaja i odżywiać zarodek.

To sprawiało, że zmieniało się także samo jajo. Duże i „kosztowne" żółtko mogło ulec stopniowej redukcji. Być może taki sposób karmienia potomka trwał również po wykluciu się młodych. Tak się dzieje u współczesnych stekowców, np. u dziobaka. W przeciwieństwie do innych ssaków nie posiadają one sutków, więc młode pobierają pokarm prosto z powierzchni skóry rodzica.

Cztery dni ssania

Mleko stanowi jedyny i podstawowy pokarm noworodków wszystkich współcześnie żyjących ssaków. Na pierwszym etapie ich życia zaspokaja całe zapotrzebowanie energetyczne, a także dostarcza innych niezbędnych składników, takich jak lekkostrawne białko, witaminy, rozmaite pierwiastki. Zawiera także związki wspomagające układ odpornościowy potomstwa i regulujące u niego skład mikroorganizmów. To, że wszystkie młode ssaki polegają na wydzielinie gruczołów sutkowych, nie oznacza jednak, iż produkty laktacji wszystkich zwierząt mają ten sam skład.

Mleko człowieka składa się głównie – zwykle w ponad 80 proc. – z wody. Reszta to przede wszystkim węglowodany (w tym laktoza i oligosacharydy), tłuszcze, których jest ok. 4 proc., oraz białka, stanowiące ok. 1 proc. Skład ten może jednak diametralnie różnić się u innych ssaków i jest związany przede wszystkim ze środowiskiem życia zwierzęcia oraz jego strategią rozrodczą. Przykładowo, kapturniki morskie, należące do rodziny fokowatych, wytwarzają pokarm, w którym zawartość tłuszczu wynosi ponad 60 proc., czyli przewyższa nawet ilość wody. Ich mleko bardziej przypomina więc masę używaną do ubijania kremów i masła niż biały płyn, do którego jesteśmy przyzwyczajeni.

Szczenięta kapturnika przyswajają dziennie aż 45 tys. kcal. Tę niewiarygodną ilość energii pozyskują, spożywając ponad 7,5 kg pokarmu na dobę. W efekcie w ciągu pierwszych czterech dni życia przybierają na masie około 30 kg – niemal podwajają swoją wagę urodzeniową. Wysoka zawartość tłuszczu w mleku fok nie jest zaskoczeniem – wszak zwierzęta te żyją w lodowatej wodzie, a ich główna bariera przed chłodem to warstwa podskórnej izolacji, którą noworodek musi szybko zbudować, jeśli nie chce zginąć z wyziębienia. Jednak sama niska temperatura nie tłumaczy jeszcze, dlaczego zawartość tłuszczu w pokarmie tych zwierząt osiąga tak wysoki poziom.

Kluczem do zrozumienia strategii fok są okoliczności ich narodzin. Młode przychodzą zwykle na świat na lodzie dryfującym po powierzchni wody, co czyni z nich łatwy łup dla drapieżników. Ponadto, takie środowisko jest bardzo zmienne i niepewne, dlatego okres bezradności noworodka musi być skrócony do minimum. Tak też jest w przypadku kapturników: czas karmienia mlekiem jest u tego gatunku rekordowo krótki i wynosi zaledwie cztery dni.

Sutek dla każdego

Inne rozwiązanie zastosowały nosorożce czarne, których mleko składa się niemal wyłącznie z wody, a zawartość tłuszczu jest śladowa (0,2 proc.). Skąd biorą się te różnice? W przeciwieństwie do kapturników, nosorożce żyją w wysokich temperaturach, a zasobem, który najtrudniej jest zdobyć, jest woda. Ponadto, czas trwania laktacji tych ogromnych ssaków wynosi niemal 2 lata, dlatego mogą sobie pozwolić na tak „skromny" skład mleka. W ten sposób samica będzie karmiła młode znacznie dłużej, ale wytworzenie jednej porcji mleka będzie ją kosztowało niewspółmiernie mniej niż w przypadku fokowatych. Ciąża nosorożca trwa bardzo długo (ponad rok), a odstęp pomiędzy jednym a drugim porodem to wiele miesięcy. Skoro więc czas poświęcany młodemu i tak jest długi, młode nie musi szybko dorastać; strategia laktacyjna jest więc długodystansowa, a nie – jak u kapturnika – „sprinterska".

Z analizy przeprowadzonej przez Amy L. Skibiel i współpracowników (opisanej w 2013 r. w „Journal of Animal Ecology") wynika, iż wytwarzanie mleka jest dla samicy ogromnym wysiłkiem, dlatego musi ona dostosować produkcję oraz skład pokarmu do warunków środowiskowych i schematu rozrodczego. Z tego powodu gatunki, u których opieka nad bezradnym potomstwem i karmienie trwa dłużej, produkują zwykle uboższe w składzie mleko. Natomiast te ssaki, które karmią krócej, wytwarzają zazwyczaj pokarm bogaty w tłuszcz oraz białko.

Warto jednak zauważyć, że skład mleka nawet u tego samego gatunku nie jest cały czas stały. Pierwszym pokarmem ↦

SEPP SPIEGL / ZUMA PRESS / FORUM

noworodka jest zwykle siara, czyli mleko, którego kompozycja bardzo różni się od dojrzałej wydzieliny gruczołu sutkowego. Siara to mniej pożywienie, a bardziej koktajl odpornościowy – zawiera bowiem przede wszystkim przeciwciała i inne białka, w tym enzymy. Ale co, jeśli jedna samica w tym samym momencie karmi mlekiem dwa młode, z czego każde jest na innym etapie rozwoju? Tak się typowo dzieje np. u kangurów, u których często jedno podrośnięte kangurzątko nadal przebywa w torbie matki, a drugie jest noworodkiem nie większym od żelki. W takiej sytuacji każdy z potomków korzysta z innego sutka i otrzymuje zupełnie odmienny skład pokarmu, dopasowany do swojego aktualnego zapotrzebowania.

Laktacja u ojca

Dostosowanie laktacji do indywidualnych potrzeb gatunku może być jeszcze dalej posunięte. W przypadku niektórych zwierząt wytwarzanie mleka nie jest zarezerwowane wyłącznie dla samic. Na przykład u dajakolotów sundajskich – owocożernych nietoperzy żyjących w Azji Południowo-Wschodniej – produkcja pokarmu w gruczołach sutkowych zachodzi zarówno u samców, jak i u samic. Niestety, nadal nie ma pewności, jaka dokładnie jest rola mleka wytwarzanego przez przedstawicieli płci męskiej.

Niektóre hipotezy sugerują, że nietoperze te są monogamiczne, a ojciec karmi młode, by odciążyć partnerkę. Być może samcza laktacja została ukształtowana przez mechanizm doboru płciowego – a samice miałyby preferować partnerów wytwarzających mleko, ponieważ to oni są w stanie zapewnić im większe wsparcie w utrzymaniu potomka. Część uczonych uważa, że samce nietoperzy wytwarzają mleko w reakcji na fitoestrogeny (roślinne związki upodabniające się w ustroju do żeńskich hormonów) zawarte w spożywanym pokarmie. Nie wiemy na razie, czy u tych nietoperzy samcze mleko jest ubocznym skutkiem diety, czy adaptacją. Istnieją jednak zwierzęta, co do których mamy pewność, że zarówno ojciec, jak i matka wytwarzają substancję pełniącą funkcję mleka, by karmić potomstwo. Należą do nich niektóre ptaki, np. gołębiowate i flamingi.

Gołębie nie posiadają wprawdzie gruczołów sutkowych, ale potrafią wytwarzać odżywczą wydzielinę w wolu, czyli zachyłku gardła. Skład ich „mleka" nieco

M. WATSON / ARDEA / EAST NEWS

Szczenięta kapturnika morskiego przyswajają 45 tys. kalorii dziennie i w ciągu czterech dni niemal podwajają masę urodzeniową. **Mleko produkowane przez ich matki ma więcej tłuszczu niż wody.**

różni się od produktu laktacji ssaków, ale też jest źródłem pożywienia, zwłaszcza białek i tłuszczy, oraz wspomagaczem odporności młodych. Co więcej, regulacja wydzielania pokarmu jest pod wieloma względami analogiczna u obu grup zwierząt. Przykładowo, o wytwarzaniu mleka tak ssaczego, jak i ptasiego decyduje ten sam hormon – prolaktyna.

Zarówno skład mleka, jak i przebieg laktacji mają przełożenie na potencjał spożywczy tego produktu. Pierwszymi zwierzętami wykorzystywanymi przez ludzi do przetwarzania substancji niejadalnych (traw) w jadalne (mleko) były kozy, owce i krowy. Jednak nie są to jedyne gatunki, od których pozyskuje się obecnie mleko. Należą do nich również bawoły, wielbłądy, jaki czy konie. Produkty laktacji niektórych gatunków nie są powszechnie spożywane ze względu na nieprzyjemny smak. Nie oznacza to jednak, że nigdy ich nie próbowano. Najbardziej chyba skrajnym przykładem jest tu mleko niedźwiedzia polarnego, które ma smakować „bogato, morsko, ziemsko, kredowo i rybnie". W taki właśnie sposób opisał je w swojej książce „Polar Bears: A Complete Guide to Their Biology and Behavior" wieloletni badacz tego gatunku – prof. Adrew Derocher z University of Alberta.

Niektóre gatunki wytwarzają jednak pokarm o składzie bardzo zbliżonym do doskonale znanego nam mleka krowiego. Tak jest chociażby w przypadku świń. Nie spotkamy jednak ich mleka na półkach sklepowych, bo hodowla świń na mleko byłaby kłopotliwa. Ich gruczoły mlekowe rozłożone są wzdłuż całego podbrzusza, liczba sutków wynosi 12-14, ilość zaś produkowanego przez nie mleka jest znacznie mniejsza niż u przeżuwaczy. Dodatkowo, lochy nie posiadają tak rozbudowanej zatoki mlekowej, czyli przestrzeni w wymieniu, w której zbierałby się pokarm gotowy do udojenia.

Ile jest warte mleko

Współcześnie coraz częściej stawia się pytanie, czy nadal powinniśmy konsumować mleko innych zwierząt. Wiemy, że dla naszych przodków było ono ważnym składnikiem diety (choć nie wszystkich, np. protoplaści Azjatów niemal nigdy nie byli nosicielami mutacji umożliwiającej trawienie laktozy). Z drugiej strony – od tamtych czasów zarówno ludzkość, jak i przemysł mleczarski zmieniły się diametralnie.

Najważniejsze rozterki związane z konsumpcją zwierzęcego mleka dotyczą kwestii zdrowotnych, środowiskowych oraz etycznych. Gdy idzie o te pierwsze, to mleko bez wątpienia stanowi bogate źródło białka i wapnia; jego przeciwnicy podkreślają, że konsumpcja niesie za sobą ryzyko spożywania hormonów zwierząt czy pestycydów, poza tym nie jest ono „normalnym" pożywieniem dorosłego ssaka. Wyniki większości badań nadają mleku status neutralny. Z jednej strony: argument dotyczący „naturalności" spożycia jest od dawna nie na miejscu, ponieważ prawie żaden element naszej współczesnej diety nie przypomina tego, co jedliśmy przed rewolucją agrarną. Jeśli zaś chodzi o zawartość hormonów czy pestycydów, to przy prawidłowo i legalnie prowadzonej produkcji zawartość tych składników w mleku jest mniejsza niż w większości spożywanych warzyw (warto pamiętać, że w niektórych roślinach również znajdują się substancje, które w naszym ustroju „udają" hormony).

Z drugiej strony, stanowisko organizacji zajmujących się zdrowiem i żywieniem, takich jak Światowa Organizacja Zdrowia czy Instytut Żywności i Żywienia, jest jasne: ani mleko, ani nabiał nie są niezbędne

w diecie człowieka. Zarówno białko, jak i wapń oraz witaminy mogą być dostarczane w inny sposób – chociażby poprzez warzywa liściaste, strączki, orzechy. Spożywanie mleka i jego pochodnych w przeciętnych ilościach może nieść za sobą pewne korzyści zdrowotne, ale z pewnością nie jest to produkt niezastąpiony. Tym bardziej więc przybywa osób, które kwestionują zasadność spożycia mleka z innych perspektyw: etycznej oraz środowiskowej.

Wizja krowy pasącej się na zielonej łące, a następnie spędzanej do obory, poklepywanej po boku przez gospodynię i dojonej do wiadra ma obecnie niewiele wspólnego z rzeczywistością. Większość mleka pochodzi z chowu lub hodowli intensywnej, w ramach której zwierzęta żyją na bardzo ograniczonej przestrzeni, zwykle nie mając dostępu do żadnego wybiegu zewnętrznego. Czynności wykonywane przy krowach są mocno zautomatyzowane, a każdy rok produkcyjny jest bardzo intensywny: samice rodzą młode tak często, jak tylko są w stanie, a potomstwo zaraz po porodzie się odsadza. Zwierzęta pozbawione są możliwości realizowania typowego zachowania (eksploracja otoczenia, węszenie, pasienie itp.), ponieważ każdy ubytek energii zwierzęcia, który nie jest inwestowany w produkcję, postrzega się jako stratę. Krowy są zresztą wcześnie ubijane, aby wyprzedzić spadek ich produktywności mlecznej, który z kolei jest następstwem intensywnej eksploatacji ich organizmów. W produkcji ekologicznej warunki życia zwierząt są znacznie lepsze, ale także w tym przypadku można przywoływać argumenty środowiskowe.

Produkcja mleczarska jest odpowiedzialna za emisję znacznej ilości gazów cieplarnianych – ok. 4 proc. tego, za co odpowiada ludzkość (i prawie jedną trzecią emisji związanych z hodowlą zwierząt). Na wyżywienie zwierząt mlecznych trzeba też przeznaczyć ogromne ilości pasz. A te pochodzą z wielkoobszarowych upraw: szacuje się, że około jednej trzeciej pól uprawnych przeznaczone jest na wyżywienie zwierząt gospodarskich. Tak intensywne rolnictwo prowadzi zaś do degradacji środowiska naturalnego, redukuje liczbę dzikich siedlisk i zmniejsza bioróżnorodność. Ponadto, wykorzystuje miliony hektarów na produkcję pasz, nie przyczynia się zatem do zmniejszenia problematyki głodu w uboższych społecznościach globu.

Z obory do laboratorium

W związku z tym coraz więcej wysiłku poświęca się na znalezienie alternatyw dla mleka. Jedną z nich jest mleko pochodzące z tzw. precyzyjnej fermentacji. W przeciwieństwie do roślinnych produktów mlekopodobnych, mleko „precyzyjne" posiada w składzie te same białka, co klasyczny produkt udoju krowy – przede wszystkim białko serwatkowe. Serwatka jest produktem, który może zostać wyizolowany z mleka krowiego, a także może stanowić punkt wyjścia do stworzenia niemal dowolnego produktu mlecznego. Bazując na niej można więc przygotować mleko, sery czy lody. Dlatego niektóre laboratoria rozpoczęły prace nad stworzeniem serwatki, która nie będzie pochodziła od krów, ale wciąż umożliwi wykonanie niemal dowolnego produktu mlecznego. Podobnie jak w przypadku produkcji np. insuliny, do wytwarzania serwatki zatrudnia się mikroorganizmy, hodowane w bioreaktorach.

Na bazie prac laboratoryjnych powstało kilka start-upów, takich jak amerykański Perfect Day czy australijski Eden Brew. Ta pierwsza firma od 8 lat pracuje nad wytwarzanymi przez mikroorganizmy produktami mlecznymi, a od 2019 r. sprzedaje już taką żywność zaakceptowaną przez amerykański Urząd ds. Żywności i Leków. W lipcu opublikowano na łamach „Agriculture and Human Values" obszerną pracę przeglądową analizującą aktualne trendy w światowym sektorze mleczarskim, z której wynika, że w technologii produkcji mleka pochodzącego z precyzyjnej fermentacji musimy rozwiązać jeszcze wiele kwestii, zwłaszcza logistycznych, ale ma ona szansę na szybki rozwój. Część gigantów mleczarskich, takich jak australijska spółdzielnia Norco, już dziś łączy siły ze start-upami zatrudniającymi do produkcji mleka mikroorganizmy.

Mleko przeszło więc długą drogę. Od ubogiej w składzie substancji nawilżającej jaja po pełnowartościowy produkt odżywczy. Od pokarmu noworodka do surowca napędzającego gigantyczny przemysł mleczarski. Być może przyszłość przyniesie mleku jeszcze jedną zmianę: opuści ono obory i przejmie laboratoria.

© MARTA ALICJA TRZECIAK

REKLAMA

Pomagamy szpitalom w Ukrainie

Polska Misja Medyczna

Wspieraj: pmm.org.pl

KULTURA

MOWA

Opowieść jest dzieckiem samotności.
I dzieckiem ciemności.
Ci, co mówią do innych, a zwłaszcza do wszystkich,
skazani są na ględzenie.

ANDRZEJ STASIUK

Za progiem listopad, czas pięknego schyłku. Siedzimy w tej sali w nadziei, że jej ściany ochronią nas przed chłodem i mrokiem. Wszak to jedna z funkcji kultury i literatury – ochrona przed nieuniknionym. Dlatego się tu zbieramy, gdy za progiem stoi listopad. Ponieważ potrzebujemy schronienia. Gdy byłem chłopcem, szukałem go w opowieściach. Nie czułem się jakoś szczególnie zagrożony. Ani listopadem, ani chłodem. Nieuniknione dopiero czaiło się w mroku.

Dla umarłych

Byłem normalnym chłopcem. Rzucałem kamieniami w przejeżdżające pociągi i dręczyłem zwierzęta. W tamtych czasach chłopcy dręczyli zwierzęta. Nie z okrucieństwa, ale z ciekawości świata. Żeby patrzeć w gasnące oczy i dotykać gasnącej krwi. Tak robili chłopcy ciekawi świata. Chłopcy w tamtych czasach.

A ja potrzebowałem i krwi, i opowieści. By w końcu wybrać i oddać się tym drugim. Ponieważ wydawało mi się, że nad opowieściami będę miał większą władzę i nie będę musiał rozlewać krwi, która na końcu stygnie. A opowieści nigdy nie miały zagrozić chłód ani mrok. Tak mi się wydawało. I tak mi się wydaje i dziś, chociaż listopad stoi już u drzwi.

Co do pociągów, pragnę Państwa uspokoić: rzucaliśmy głównie w towarowe. Ta liczba mnoga jest oczywiście czymś w rodzaju usprawiedliwienia. Ale cóż... Chłopcy w tamtych czasach byli podobni do kotów: reagowali tylko na rzeczy w ruchu. I podobnie jak psy reagowali stadnie.

Ale wieczorami niektórzy z nich odchodzili na bok i skryci w mroku, którego nadejścia jeszcze nie podejrzewali, oddawali się opowieściom. Bo opowieść jest dzieckiem samotności. I dzieckiem ciemności. Ci, co mówią do innych, nie zostaną wysłuchani. Ci, co mówią do innych, a zwłaszcza do wszystkich, skazani są na ględzenie.

Jeżeli już musicie mówić/pisać (widzę na tej sali legion piszących, zamierzających pisać, piszących ale niepokazujących, tęskniących do pisania itd., itp.), to piszcie dla umarłych.

Josif Brodski – który koniec końców jak wszyscy wiemy, okazał się wielkoruską szowinistyczną świnią – powiedział przynajmniej jedną sensowną rzecz: „Pisz tak, żeby się podobało tym, którzy żyli/pisali przed tobą". To jest mądra rada nawet z ust szowinistycznego Wielkorusa żydowskiego pochodzenia. Jeżeli już dla kogoś pisać – pisz dla umarłych. Pisz dla nieboszczyków. Żywi porwą twoją opowieść, i ani się obejrzysz, wykorzystają dla swoich celów. Zaczną ci klaskać albo sarkać, ale tak czy tak, będziesz chciał ich zaspokoić, będziesz chciał się podobać. Utracisz wolność i samotność. Będziesz ględził, żeby zadowolić wszystkich.

Andrzej Stasiuk,
Wołowiec, maj 2021 r.

GRAŻYNA MAKARA

Hitler

Zapłata

↦ Gdy to piszę, w naszym Wołowcu zapada zmierzch. Widzę ciemnozieloną grań wzgórza, ciemnoszare niebo i nagie, odarte z liści drzewo. I chciałbym pisać tylko o tym. O nieskończenie spokojnym i pięknym widoku. I o tym, że słyszę, jak szczeka pies u sąsiada. I o tym, jak na ziemię spływa mrok i pejzaż powoli gaśnie. I świecą w nim jeszcze tylko złote płomienie modrzewi i brzóz.

O czym chciałbyś opowiadać? To podstawowe pytanie dla tych, którzy pragną snuć opowieść. Tak mi się wydaje. O tym, co pragniesz zabrać na drugą stronę – jeśli oczywiście druga strona istnieje. Więc jeśli idzie o mnie, to chciałbym zabrać właśnie ten obraz, obraz zmierzchającego świata: piękny, wyrazisty i spokojny. Żeby powieka dnia zamknęła się razem z moją powieką. Żeby na tak zwaną drugą stronę zabrać obraz tego, co, mam nadzieję, będzie trwało, gdy nas już nie będzie. I żeby do końca o tym opowiadać. O tym, co nas przekracza, przerasta. O tym, co jest większe od nas. Reszta jest ględzeniem. Tak jak ten „wykład mistrzowski" – za który po prostu obiecali mi pieniądze; wcale nie jakieś wielkie.

Z jakiegoś względu większość nagród literackich przyznawana jest jesienią. Może ma być to pociecha w czasie, gdy za progiem słychać nieustępliwy oddech listopada. Dzisiaj w tej sali ma się odprawić jedna z tych podniosłych jesiennych ceremonii. Nie odmówię sobie przyjemności nawiązania. Tym bardziej że jako literacki dziad i dziaders dostałem od cholery nagród i dochodzą mnie słuchy, że literacka młódź uważa, iż dostałem ich zbyt wiele, nie wiadomo za co i na dobrą sprawę należałoby mi je odebrać i przekazać zniecierpliwionym.

Nagrody jednak są zdradliwe. Zatruwają umysły i serca piszących. Wywołują najniższe uczucia. Zawiść, zazdrość, pychę, wzgardę – tak u przegranych, jak u laureatów. Widziałem zwycięzców, którzy już nie podnieśli się po swojej wiktorii. Przytłoczeni dwuznacznym splendorem po prostu zamilkli. Zwyczajnie odebrało im mowę. Widziałem laureatów, których chwilowy triumf wpędzał w literackie gadulstwo podszyte dość komicznym przekonaniem, że po nagrodzie będę pisali już tylko lepiej i donośniej. Nie trzeba chyba dodawać, że było wręcz odwrotnie. Nagroda bowiem niczego nie czyni poza chwilową stymulacją ego. Realne są pieniądze, których i tak zawsze jest za mało.

> Pisanie to rzecz wysoce dwuznaczna. By zachować niewinność, powinniśmy trzymać je w ukryciu. Tak jak w tamtych niewinnych czasach, gdy **składaliśmy pierwsze słowa i prócz radości towarzyszyła nam wstydliwość.**

Ale cóż, oddajemy się tym jesiennym rytuałom. Siedzimy w rzędach i wstrzymujemy oddechy. Ktoś radzi nad skrwawionymi skrawkami naszych serc, dusz i umysłów. Gmera w nich. Ogląda pod światło. Robią to jacyś ludzie, których często nie znasz, a niektórych – Boże uchowaj – w ogóle nie chcielibyśmy poznawać.

Zasiadamy w rzędach, pocimy się i nasłuchujemy werdyktu obcych ludzi. Tak wygląda słynna pisarska wolność i samotność. Musimy ją porzucać, by w ogóle przetrwać? Musimy ją zdradzać? Sprzeniewierzać?

Ale pisanie to rzecz wysoce dwuznaczna. By zachować niewinność, powinniśmy trzymać je w ukryciu. Tak jak w tamtych niewinnych czasach, gdy składaliśmy pierwsze słowa i prócz radości towarzyszyła nam wstydliwość. Lecz niewinność jest cnotą dość bezpłodną, nieprawdaż? A cała historia, również ta pisana, zaczęła się w chwili upadku.

Runo

O dwuznaczności pisania dość precyzyjnie wyraził się Wystan Hugh Auden w jednym z esejów pomieszczonych w wiekopomnym tomie „Ręka farbiarza": „Ilekroć jakiś bubek mówi mi, że podobał mu się mój wiersz, czuję się tak, jakbym go okradł". Takoż i ja się czuję, Szanowni Państwo, z tym „wykładem mistrzowskim". Trochę jak bubek i trochę jak złodziej.

Niby „mistrz", a przelewam gorycz z pustego w próżne. Ostatnie słowa piszę na czwartym piętrze hotelu Ibis w Dąbrowie Górniczej. Wieczorny, neurotyczny hałas miasta wlewa się przez otwarte okno i wypełnia ciasne wnętrze. Parę dni temu miałem spotkanie w więzieniu w Piotrkowie Trybunalskim. Było dość podobnie, tylko znacznie ciszej. Podobnie w sensie architektury wnętrz. Więzienie przypominało Ibis, tyle że horyzontalny. Faceci w zielonych uniformach pytali mnie o różne mądre rzeczy. Co sądzę o tym, co o tamtym. O politykę pytali, o Kościół, przyszłość świata, a ja nie znałem żadnej odpowiedzi. Siedziałem przed nimi jak bubek i jak złodziej. Wszystko, co mogłem, to składać opowieści. Przypominać sobie, odtwarzać, przywoływać obrazy, sklejać pospiesznie historie. Żadnych odpowiedzi na nic. Żadnych „mądrości". W ciasnym wnętrzu przypominającym horyzontalny Ibis.

Miałem szczęście i oni też, bo kiedyś siedziałem w więzieniu i mogłem dotknąć ich serc. Wiedziałem, o czym mówię, i oni wiedzieli, że wiem. Przypomina mi się to spotkanie sprzed tygodnia, gdy tak stoję przed Państwem. I wtedy, i teraz towarzyszy mi poczucie pewnej bezradności. Żeby od niej uciec, żeby ją zażegnać albo i zakląć, powrócę do dzisiejszego poranka w naszym Wołowcu.

Obudziłem się koło szóstej i było zupełnie cicho. Tak cicho, że musiałem wykonać jakikolwiek ruch, by się przekonać, czy jeszcze żyję. Wstałem i podszedłem do okna, żeby odnaleźć pejzaż, o którym Wam opowiadałem. Lecz było jeszcze zbyt ciemno. Modrzewie dopiero zaczynały się tlić mglistym, złotawym blaskiem. Pod nimi, na mokrej trawie, leżało sześć naszych owiec. Ich runo było ciężkie od nocnej rosy. Ciężkie i szare. Poruszały miarowo pyszczkami i żuły. Jak to owce. W tym chłodzie i ponocnej wilgoci wyobrażałem sobie ich ciepłe, pełne życia ciała. Jak krąży w nich krew, pokarm i energia. Na przekór zimnemu tchnieniu listopada. Na przekór.

© ANDRZEJ STASIUK

Mowa została wygłoszona podczas gali wręczenia Nagrody Conrada przyznawanej za debiut na zakończenie Międzynarodowego Festiwalu Literatury im. Josepha Conrada.
Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | **www.radiokrakow.pl**

ŁUKASZ GĄGULSKI / PAP

Paulina Siegień, autorka książki „Miasto bajka", laureatka Nagrody Conrada za najlepszy debiut literacki, Kraków, 30 października 2022 r.

Między bajki

MONIKA OCHĘDOWSKA

Chłopak z Kaliningradu miał być pierwszą osobą w historii, która weszła w otwartą przestrzeń kosmosu. Radziecki skafander Bierkut wytrzymał osiem minut spaceru, zanim zaczął puchnąć.

Stalinowi ponoć wcale nie chodziło o te niezamarzające porty. Ważna była scenografia, bo towarzysz Lenin nauczał, że kino to najważniejsza ze sztuk. Wiele wskazuje na to – pisze Paulina Siegień w wyróżnionej Nagrodą Conrada debiutanckiej książce – że północna część Prus Wschodnich została włączona do ZSRR przede wszystkim na potrzeby propagandowej kinematografii. Bazę wojskową urządzono przy okazji. Liczyło się miasto jako bajka. W reportażu Siegień Kaliningrad przeistacza się w Kitież, legendarny ruski gród, którego nikt nigdy nie widział. Ale można o nim opowiadać, a potem czytać.

JA CZYTAŁAM POD KONIEC SIERPNIA W PÓŁNOCNEJ DALMACJI, nieopodal polecanych w przewodnikach dla turystów rozległych piaszczystych lagun. W planach miałyśmy wyspę Pag, której powierzchnię tworzą pola kamieni – księżycowy pejzaż. Nocą wyciągałyśmy z namiotów karimaty, by patrzeć na niebo przez aplikację zamieniającą konstelacje w kolorowanki dla dzieci. Blade kropki łączyły się ze sobą, nabierając ludzkich i zwierzęcych kształtów, stawały się rozległe, nawet zbyt bliskie. Wodnik lewym łokciem opierał się o starą kempingową przyczepę sąsiadów, rozlewając zawartość ciężkiego dzbana dokładnie na naszą parcelę. Potem się dowiemy, że jego odwiedziny były zapowiedzią jesieni. Pociągał nas ten krajobraz. Może dlatego, że silny, suchy wiatr Pagu nie pozwalał na rozmowy, zmuszając do pozostania w szumie własnych myśli. Gdzieniegdzie spod kamieni, po których ostrożnie szłyśmy oczekując, aż coś się wreszcie wyłoni na horyzoncie, wyglądała drobna, szorstka roślinność. Kilka listków zostało między stronami „Miasta bajki" – wybranymi nieprzypadkowo.

ALEKSIEJ LEONOW LUBIŁ RYSOWAĆ. Niekoniecznie niebo, raczej głębię oceanu albo statek kapitana Nemo. Szło mu tak dobrze, że sąsiedzi zapraszali go do swoich baraków, ozdabiał ściany wielkimi kwiatami. Wreszcie ojciec postanowił rozkręcić z tego mały biznes: na drewnianej ramie rozciągali prześcieradło, gruntowali je, a potem Alosza robił z niego staw z łabędziami albo las z jeleniem. Jakoś to szło, aż skończyła się wojna i jedna z sióstr Aloszy wyjechała do Kaliningradu – klimat był znacznie lżejszy niż na Syberii, miasto co prawda zrujnowane, ale i tak warunki mieszkaniowe nieporównywalne z tymi, które mieli dotąd. Rodzina Leonowów szybko dała się namówić Lubie na podróż.

Wiele lat później ze swoimi rysunkami pod pachą Alosza wyruszy z Kaliningradu do Rygi – miejsce w Akademii miało na niego czekać, ale Leonow szybko zrozumiał, że jako artysta nie da rady się utrzymać. Gdzie karmili studentów? W Wojskowej Akademii Lotniczej.

Na początku lat sześćdziesiątych w bazach wojskowych poszukiwano najlepszych. Po wielu badaniach, testach i eksperymentach z ponad trzech tysięcy kandydatów wyłoniono dwudziestu „kosmonautów słuchaczy". Co ich czekało po kursie teoretycznym? Tego nikt nie wiedział. Byli elitą, najlepiej wykształconymi ludźmi na świecie. Co złego mogło się stać? ↦

↦ **DOROSŁY ALOSZA ZAPAMIĘTA Z TEJ PODRÓŻY** przede wszystkim ciszę i oślepiające światło słońca. Chłopak z Kaliningradu miał być pierwszą osobą w historii, która weszła w otwartą przestrzeń kosmosu. Radziecki skafander Bierkut wytrzymał osiem minut spaceru, zanim zaczął puchnąć. Ręce wyślizgiwały się z rękawów, a nogi z butów – różnica ciśnień była zbyt duża. Zamieniony w wielki balon Leonow z wysiłkiem zwijał swoją nitkę Ariadny, by wrócić na pokład Woschodu 2, gdy okazało się, że nie przejdzie przez śluzę. Łamiąc wszelkie przepisy i instrukcje wcisnął na siebie statek jak przyciasny sweter. Ze stresu wypocił sześć litrów wody, w skafandrze było jej po kolana.

Potem trzeba było jeszcze wylądować, tyle że system ręcznego lądowania także zawodził. Śląc sygnał SOS Leonow i towarzyszący mu Pawieł Bielajew przeszli na ręczne sterowanie – zniosło ich gdzieś w tajgę. Wydostanie się stamtąd okazało się równie skomplikowane co kosmiczny spacer. Samoloty i helikoptery odstraszały wilki. Bierkut nie grzał zbyt dobrze, zrzucana z powietrza futrzana garderoba zawisła na drzewach, termos z herbatą rozbił się o ziemię, butelka koniaku także. Wtedy postanowiono po prostu zrzucić kosmonautom kocioł. Bielajew i Leonow nawrzucali do niego śniegu, postawili nad ogniskiem i nadzy weszli do środka, oczekując na oddział zwiadowców, który musiał jeszcze wyrąbać w głębokiej uralskiej tajdze lądowisko dla helikoptera. Dziesięć lat później Leonow poleciał w kosmos jeszcze raz. A potem w jednej z drezdeńskich galerii pojawił się jego obraz przedstawiający tę podróż.

SŁOWO „KALININGRAD" JEST TWARDE JAK KAMIEŃ, KANCIASTE. Razi ucho – pisze Siegień. Po rosyjsku brzmi inaczej: pierwsze trzy sylaby wymawia się szybko, język przebiega po nich w pośpiechu, a na koniec wybrzmiewa twarde ruskie, akcentowane „grad" – „z wysokości akcentu upada na ziemię, roztrzaskując się jak bryłka lodu". Albo butelka koniaku.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Paulina Siegień
MIASTO BAJKA. WIELE HISTORII KALININGRADU
Czarne, Wołowiec 2021

BARTOSZ ROZALSKI / FORUM

Ostatni dzień wystawy dzieł Stanisława Wyspiańskiego w Muzeum Narodowym w Warszawie, 9 października 2022 r.

Genotyp i terapia

PIOTR KOSIEWSKI

Pandemia obnażyła wady obecnego systemu funkcjonowania muzeów. „Pożegnaliśmy się z dekadą, która celebrowała globalizm" – twierdzi Meta Knol, dyrektorka Museum De Lakenhal w Lejdzie.

Wybuch pandemii postawił muzea i galerie sztuki w bardzo trudnej sytuacji. Liczba zachorowań i wprowadzone przez rządzących restrykcje radykalnie zmieniły ich funkcjonowanie. Według danych zebranych przez UNESCO oraz International Council of Museums (ICOM) 90 proc. muzeów na świecie, czyli ok. 85 tys. placówek, musiało czasowo zamknąć swoje podwoje. A nawet w okresach, w których były już czynne, ograniczały liczbę zwiedzających. Spowodowało to radykalny spadek frekwencji, a co za tym idzie, m.in. dochodów samych instytucji.

Sytuacja zaczęła się poprawiać w ubiegłym roku. Jak wyliczyła redakcja „The Art Newspaper", w 2021 r. sto najważniejszych muzeów na świecie odwiedziło łącznie 71 mln osób. To był wzrost o 31 proc. w stosunku do pierwszego roku pandemii, ale przed jej wybuchem, w 2019 r. te same muzea zwiedziło 230 mln osób.

Jeszcze wymowniejsze są dane dotyczące poszczególnych muzeów w 2021 r. W Luwrze frekwencja w stosunku do 2019 r. spadła o 71 proc., w nowojorskim Metropolitan Museum of Art o 68 proc., w londyńskim British Museum o 79 proc. Trudna była także sytuacja polskich muzeów. Według danych GUS-u w 2021 r. odwiedziło je 25,3 mln osób, tymczasem w 2019 r. było to aż 40,2 mln (a w pierwszym roku pandemii tylko 16,6 mln).

Koszty, koszty, koszty

Teraz trend się odwraca – widocznym tego znakiem jest w Polsce liczba osób, które zwiedziły tegoroczne wystawy. „Witkacego. Sejsmograf epoki przyspieszenia" w stołecznym Muzeum Narodowym zobaczyło 111 tys. osób, a pokaz „Jeźdźca polskiego" Rembrandta

ze zbiorów nowojorskiej The Frick Collection w Łazienkach Królewskich ok. 40 tys. Wystawy „Niepokój przychodzi o zmierzchu" w Zachęcie i Aleksandry Waliszewskiej w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie zebrały – każda – po ponad 48 tys. oglądających. Wystawa „Łempicka" w Muzeum Narodowym w Lublinie przyciągnęła blisko 87 tys., a jej odsłonę w krakowskim Muzeum Narodowym od września do października obejrzało już 33 tys. osób.

W czasie pandemii często pytano, czy będzie możliwy powrót do sytuacji sprzed jej wybuchu. Dotyczyło przede wszystkim przyszłości wystaw czasowych, zwłaszcza tzw. blockbusterów, bo one w ostatnich dekadach kreowały wizerunek muzeów, przyciągnęły do nich tłumy zwiedzających oraz stały się częścią oczekiwanej przez odbiorców oferty kulturalnej. Jednocześnie generowały ogromne koszty oraz były niezwykle angażujące dla samych instytucji, które coraz silniej zaczęły konkurować ze sobą nie tylko w zdobywaniu publiczności, ale też w dostępie do ograniczonej liczby dzieł, które mogą przyciągnąć jej uwagę.

Pandemia obnażyła wady stworzonego w ostatnich dekadach systemu funkcjonowania muzeów i galerii, w którym głównym miernikiem sukcesu była frekwencja. Zamknięcie instytucji czy ograniczenie liczby zwiedzających sprawiły, że blockbustery stały się za drogie, ale też wymusiły pytania o ich przyszłość, także w obliczu katastrofy klimatycznej i konieczności zmiany m.in. dotychczasowego modelu masowej turystyki.

„Pożegnaliśmy się z dekadą, która celebrowała globalizm" – mówiła w 2020 r. portalowi Artnet Meta Knol, dyrektorka Museum De Lakenhal w Lejdzie, które zorganizowało wystawę „Young Rembrandt", jedno z najgłośniejszych wydarzeń przedpandemicznego roku. Tymczasem dziś media szeroko rozpisują się o wystawie Johannesa Vermeera przygotowywanej przez amsterdamskie Rijksmuseum. Jej otwarcie zaplanowano 10 lutego 2023 r. i ma to być największa w historii retrospektywa wielkiego malarza. Znajdzie się na niej aż 28 obrazów wypożyczonych z Luwru, muzeów amerykańskich i kolekcji holenderskich, muzeów z Berlina, Drezna, Frankfurtu, Edynburga i Londynu, a także z Dublina. Już dziś mówi się, że to będzie najważniejsza ekspozycja trzeciej dekady XXI wieku.

PUBLICZNOŚĆ WRACA DO MUZEÓW

- **W tym roku** – do którego końca pozostały jeszcze dwa miesiące – Muzeum Narodowe w Warszawie odwiedziło ok. 684 tys. osób (w całym 2019 blisko 634 tys.), Muzeum Narodowe we Wrocławiu ponad 478 tys. (w 2019 – ponad 593 tys.), a Muzeum Narodowe w Krakowie ok. 1,1 mln (w 2019 – 1,2 mln).

- **Ogromnym zainteresowaniem** cieszą się też historyczne rezydencje. Zamek Królewski w Warszawie zwiedziło w tym roku już ponad 1,35 mln osób (w 2019 – ponad 1,03 mln), Łazienki Królewskie ponad 300 tys. (w 2019 ok. 270 tys.), Pałac w Wilanowie ponad 138 tys. (w 2019 blisko 249 tys.). Zamek w Malborku obejrzało ponad 494 tys. (w 2019 ok. 769 tys.), a Wawel wraz z oddziałami blisko 1,447 mln (w 2019 ok. 1,589 mln).

- **Uwagę przykuwa** też sztuka współczesna. Zachętę w bieżącym roku odwiedziło ponad 106 tys. osób (w 2019 – 124 tys.), a podczas tegorocznej odsłony Warsaw Gallery Weekend biorące w nim udział galerie prywatne w ciągu 4 dni obejrzało około 10-12 tys. osób. ©PK

Podczas pandemii Adrian Ellis, dyrektor AEA Consulting i przewodniczący Global Cultural Districts Network, sieci skupiającej światowe ośrodki kultury i sztuki, opublikował na łamach „The Art Newspaper" osiem postulatów dotyczących przyszłości muzeów. Sformułował je na podstawie rozmów z szefami ważnych placówek muzealnych. Podkreślał, że ogromnym błędem byłoby pozostanie muzeów przy utartych przyzwyczajeniach. Postulował odejście od liczby zwiedzających jako podstawowej miary oceny działania. Przekonywał, by muzea bardziej strategicznie podchodziły do wystaw czasowych i silniej wiązały je z zasadniczymi celami instytucji. Wreszcie, pisał, muszą one silniej związać się z otoczeniem, w którym działają.

Łowy

Dziś można jednak odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z powrotem do przeszłości. A może pandemia nie była dla instytucji przełomem? Jak podkreśla Andrzej Szczerski, dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie: – Już w jej trakcie widać było, że zamknięcie to tylko tymczasowa sytuacja, a system funkcjonowania muzeów i wielkich festiwali otrzyma znaczące wsparcie ze strony czy to środków publicznych, czy prywatnych, i pozostanie w dużym stopniu niezmieniony. Powodem jest przede wszystkim jego znaczenie dla dzisiejszego modelu funkcjonowania kultury, ale i wartości ekonomicznej, jaką przynoszą „przemysły czasu wolnego", które w związku z tym nie mogą być narażone na upadek.

Podobnie uważa Jarosław Suchan, do niedawna dyrektor Muzeum Sztuki w Łodzi i twórca wielkich sukcesów tej placówki: – Nie mamy do czynienia z powrotem do przeszłości, bo ta przeszłość nigdy nie została odrzucona. Pandemiczny *lockdown* to raczej krótki interwał w muzealnej historii, a nie radykalny przełom. Może muzea nauczyły się nieco lepiej wykorzystywać internet i media społecznościowe, może więcej pracuje się zdalnie, ale wielkiego przełomu nie widzę. Te, które były nastawione na przyciąganie jak największej publiczności, nie zmieniły tego nastawienia i nadal organizują spektakularne wystawy, pokazując znanych i lubianych artystów. Owszem, dużo się mówi o bardziej zrównoważonej działalności – choć to nie tyle pandemia jest tego powodem, co kryzys klimatyczny – ale na razie więcej w tym dobrych chęci niż realnych skutków.

Ważny jest też nasz lokalny kontekst. W ostatnich latach przeżywamy w Polsce muzealny *boom*, który w Europie miał miejsce na przełomie wieków. – Nowe muzea – podkreśla Andrzej Szczerski – generują nową publiczność, pokazując jednocześnie wartość całego muzealnictwa.

Nie jest to jednak powrót samoistny, jak bowiem zwraca uwagę Hanna Wróblewska, wieloletnia dyrektorka Zachęty: – Publiczność przychodzi na wystawy starannie zakomponowane, atrakcyjne wizualnie i myślowo, często adresowane też w sposobie promocji i narracji do młodszych widzów. Dla tej grupy nie jest to więc powrót do instytucji, ale pierwsza samodzielna wizyta.

Taką dobrze przygotowaną ekspozycją był „Witkacy", ale też wiele innych tegorocznych albo zorganizowanych w 2021 r. wystaw, jak „Awangardowe ↦

↦ muzeum" w łódzkim Muzeum Sztuki czy „Wszystkie arrasy króla. Powroty 2021–1961–1921" na Wawelu (rekord frekwencyjny ostatnich lat – obejrzało ją blisko 117 tys. osób).

Można jednak zauważyć inny trend, który pojawił się jeszcze przed pandemią – ekspozycji, które uwagę mediów i publiczności przykuwają przede wszystkim chwytliwym tytułem i znanymi nazwiskami. Są to wypożyczenia pojedynczych dzieł lub niewielkich wyborów prac z zagranicznych muzeów i prywatnych kolekcji, reklamowanych jako pokazy wielkich arcydzieł.

Tymczasem tylko nieliczne na to miano zasługują, a przede wszystkim rzadko ich sprowadzenie – jak w przypadku „Jeźdźca polskiego" Rembrandta czy „Świętego Jerzego i smoka" Paola Uccella – jest związane z historią muzeów, w których były prezentowane. Pokusie sięgnięcia po PR-owskie chwyty, a tym samym mało poważne traktowanie publiczności, ulegają niestety nawet najważniejsze z naszych muzeów, jak Zamek Królewski w Warszawie. Przygotował on w ostatnich latach bardzo ważne ekspozycje, jak trwającą obecnie, starannie zorganizowaną wystawę monograficzną Bernarda Belotta, ale też niedawno zmieniono nazwę Galerii Lanckorońskich na banalną Galerię Arcydzieł, tym samym wymazując znaczenie niezwykłego daru Karoliny Lanckorońskiej, z dwoma obrazami Rembrandta na czele. I deprecjonując przy tej okazji rolę kolekcjonerów jako współtwórców zbiorów narodowych.

Pokusie sięgnięcia po PR-owskie chwyty i mało poważne traktowanie publiczności ulegają nawet najważniejsze z naszych muzeów, jak **Zamek Królewski w Warszawie.**

Nowe zasady

Okres pandemii spowodował rozbudowanie narzędzi do prezentacji dzieł sztuki w formie cyfrowej, oferty edukacyjne online, rozwój katalogów i rozbudowę cyfrowych baz danych. Dlatego też Paweł Jaskanis przekonuje: – Stan z 2019 roku nie odtworzy się. Tak jak świat nie będzie ten sam.

Na zmiany zwraca też uwagę Hanna Wróblewska: – Dopiero się ucierają, pomiędzy kryzysami: pandemią, kryzysem uchodźczym, energetycznym, ale też kryzysem przywódczym czy wewnątrzinstytucjonalnym.

Po czym jednak dodaje: – Oficjalna narracja dąży co najmniej do przywrócenia myślowego *status quo* (lepiej, więcej, szybciej), któremu towarzyszy znana z polskich stadionów myśl: „Nic się nie stało, Polacy, nic się nie stało". Tymczasem muzea i galerie dziś mierzą się z kolejnymi kryzysami: funkcjonowaniem w czasie wojny za naszą wschodnią granicą, kryzysem energetycznym czy nadciągającymi kłopotami ekonomicznymi. Kluczowe zatem jest obecnie pytanie, czy doświadczenia ostatnich lat sprawiły, że muzea stały się bardziej odporne i zdolne sobie radzić w trudnych okolicznościach. I czy nasze państwo jest przygotowane na pomoc instytucjom kultury w tych kryzysach. Bo np. rząd Niemiec na początku listopada poinformował, że w ramach Funduszu Stabilizacji Gospodarczej miliard euro zostanie przeznaczony na wsparcie instytucji kultury; mają pomóc im w walce z kryzysem energetycznym.

Wydarzenia ostatnich lat nie podważyły znaczenia instytucji kultury. Przeciwnie, jeszcze wyraźniej pokazały ich istotną rolę społeczną, czego potwierdzeniem jest także publiczność, która je ponownie coraz licznej odwiedza. Pandemia, a teraz wojna w Ukrainie sprawiły, że – jak podkreśla Paweł Jaskanis – powraca terapeutyczna rola muzeów, wcześniej nieuświadamiana, teraz wprowadzana do warsztatu pracy muzealnej – pionierem w Polsce jest Muzeum Narodowe w Kielcach.

– To muzea – dodaje Jaskanis – ze względu na skalę oddziaływania i swój genotyp, będą wydatnie pomagać w ochronie zdrowia, edukacji szkolnej, rekreacji, rozwoju przemysłów kulturowych, zarządzaniu wiedzą, cyfryzacją, udziale w innowacjach technologicznych oraz społecznych i – oby – ekonomicznych.

By jednak było to możliwe, same muzea i galerie potrzebują pomocy.

© PIOTR KOSIEWSKI

REKLAMA

Kroniki grabieży

MAGDALENA BARTCZAK

W „Otwartych żyłach Ameryki Łacińskiej", najsłynniejszej książce Eduarda Galeano, widzimy, jak bezsilność staje się elementem tożsamości skolonizowanych narodów.

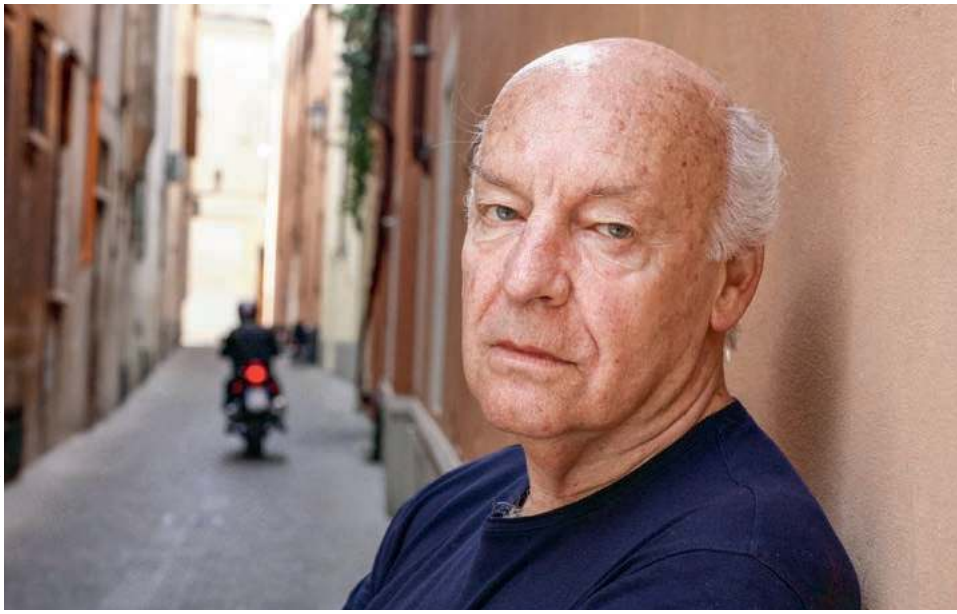

BASSO CANNARSA / OPALE / EAST NEWS

Eduardo Galeano, Mantua, Włochy, 2008 r.

Jest 1970 rok. W Meksyku odbywają się IX Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej, w których po raz trzeci triumfuje Brazylia. W środkowym Peru dochodzi do najtragiczniejszego w skutkach w historii obu Ameryk trzęsienia ziemi – śmierć ponosi niemal 70 tysięcy osób. W Chile wybory prezydenckie wygrywa lider lewicowej koalicji Frontu Jedności Ludowej, socjalista Salvador Allende. Paragwajem od 16 lat rządzi generał Alfredo Stroessner, który okaże się najdłużej panującym dyktatorem w Ameryce Łacińskiej – straci władzę dopiero w 1989 r., obalony przez przyjaciela i zastępcę.

Wojsko umacnia swe wpływy także w Urugwaju, gdzie od dwóch lat obowiązuje stan wyjątkowy. W tym samym czasie w Montevideo nad kolejną książką pracuje Eduardo Galeano – pisarz, dziennikarz i eseista, który w przyszłości stanie się jednym z najważniejszych głosów Ameryki Południowej. W 1970 r. ma 30 lat i dwie opublikowane książki na koncie. Większość wieczorów spędza w Café Brasilero, ulubionej kawiarni urugwajskiej bohemy, gdzie wspólnie z nim przesiadują najwięksi pisarze tego kraju, m.in. Juan Carlos Onetti, Idea Vilariño i Mario Benedetti.

Właśnie w tym miejscu powstanie większość rozdziałów, które złożą się na „Otwarte żyły Ameryki Łacińskiej". Wydana rok później opowieść o dziejach dawnego i współczesnego podboju tego regionu okaże się przełomowa. I wbrew woli samego autora uczyni go klasykiem. Właśnie ukazał się jej nowy polski przekład.

Pierwsze miłości

Przychodzi na świat w zamożnej, konserwatywnej rodzinie, należącej do nieco podupadłej urugwajskiej arystokracji. Jego dziadkowie byli migrantami, którzy pod koniec XIX w. dotarli nad La Platę. Ze strony ojca ma korzenie walijsko-niemieckie, ze strony matki (której panieńskie nazwisko później przyjmie jako własne) hiszpańsko-włoskie.

Marzy o tym, by zostać piłkarzem, a jego ukochaną drużyną, której pozostanie wierny, staje się stołeczny Club Nacional. Ta piłkarska miłość w przyszłości znajdzie odzwierciedlenie w jego licznych tekstach. Piłkarską pasję, determinację i dumę, którą w jego ojczyźnie określa się specjalnym terminem *garra charrúa*, będzie postrzegać jako naturalną część urugwajskiej duszy. „Grałem bardzo dobrze, byłem wręcz wspaniały, ale tylko w nocy, gdy spałem. Za dnia stawałem się najgorszą lebiegą, jaką oglądały boiska mojego kraju (...) Po latach w końcu doszedłem do ładu z tym, że jestem tylko żebrakiem w świecie futbolu. Idę przez świat z kapeluszem w dłoni i żebrzę na stadionach: Jedno piękne zagranie, na Boga, zlitujcie się!" – pisze w zbiorze opowieści „Futbol w słońcu i w cieniu" (1995).

Galeano dość wcześnie postanawia uniezależnić się finansowo. Jako nastolatek dorabia m.in. jako malarz mieszkań, kurier, maszynista i kasjer w banku. Próbuje też sił w pisaniu, a na początku lat 60., jeszcze będąc studentem, zaczyna pracę we wpływowym tygodniku „Marcha". Założycielem i redaktorem naczelnym pisma jest Carlos Quijano – ceniony lewicowy publicysta i prawnik, którego Galeano uważa za jednego ze swoich najważniejszych nauczycieli dziennikarskiego warsztatu. Jest to też czas, gdy zaczytuje się w dziełach argentyńskiego marksisty, Sergia Bagú, i obserwuje z daleka zwycięstwo kubańskiej rewolucji. Tak odkrywa swoją drugą miłość: socjalizm.

Życie Galeana gwałtownie zmienia się 27 czerwca 1973 r., gdy w Urugwaju dochodzi do zamachu stanu. Tak jak wielu jego przyjaciół, wkrótce zostaje uwięziony i zmuszony do opuszczenia ojczyzny. Wyjeżdża do Buenos Aires, a trzy lata później – gdy także w Argentynie dochodzi do przewrotu wojskowego – zamieszkuje w Barcelonie. Tam w 1977 r. dopisuje do „Otwartych żył..." ponad stustronicowe postscriptum.

Jest to czas, gdy w niemal całym regionie u władzy są wojskowe, skrajnie prawicowe reżimy, więc zaktualizowana książka nie ma szans na premierę – w większości państw trafia na listę dzieł zakazanych. W Urugwaju ukazuje się dopiero w 1986 r., już po upadku dyktatorskich rządów Gregoria Álvareza. W tym samym czasie Galeano powraca do rodzinnego Montevideo. I podobnie jak jego ojczyzna, próbuje zacząć życie od nowa.

Dzieje przegrywania

Jeszcze mieszkając w Hiszpanii pisze kilka książek, w których krąży wokół tematów kluczowych dla całej jego twórczości. Przygląda się wykluczeniom, społeczno-ekonomicznym nierównościom i trwałym skutkom (neo)kolonialnej ↦

↦ ekspansji, której ofiarą stała się Ameryka Łacińska. Jego teksty oddają ducha swojej epoki – okres wybijania się wielu państw globalnego Południa na polityczną niepodległość oraz prężnego rozwoju studiów postkolonialnych.

W tym duchu Galeano pisze m.in. trylogię „Memoria del fuego" (1982-1986), której tytuł można przetłumaczyć jako „Pamięć ognia". Na jej kartach przyznaje: „Zawsze byłem kiepskim uczniem z historii. Lekcje tego przedmiotu były dla mnie jak wizyty w Muzeum Figur Woskowych, gdzie przeszłość wydaje się sztuczna, pusta, niema. Historia, jakiej uczyliśmy się w szkołach, została uwięziona i pogrzebana pod brązem posągów oraz marmurowych pomników. Mam nadzieję, że moje pisanie pomoże przywrócić przeszłości oddech i wolność. (...) Przez stulecia Ameryka Łacińska doświadczała grabieży nie tylko złota, srebra, saletry, kauczuku, miedzi, ropy naftowej i wielu innych bogactw. Była też ograbiana z pamięci, skazywana na amnezję. (...) Nie jestem historykiem. Jestem pisarzem, który chciałby przyczynić się do ratowania tej pourywanej i zawłaszczonej pamięci Ameryki Łacińskiej. Chcę z nią dyskutować, dzielić się jej sekretami, pytać o to, z jakich korzeni wyrosła, z jakich aktów miłości i przemocy powstała" (przekład mój).

Przesłanie zawarte w przedmowie do tego monumentalnego dzieła wydaje się przyświecać także „Otwartym żyłom Ameryki Łacińskiej" – kronice podbojów, wyzysków i zawłaszczeń, doświadczanych przez ten region od momentu jego „odkrycia" w XV w. po czasy współczesne. Jest to tekst z pogranicza powieści poetyckiej i eseju historycznego, napisany w charakterystycznym dla urugwajskiego autora języku – dosadnym i żarliwym.

Mocna fraza daje o sobie znać już w pierwszych linijkach: „Międzynarodowy podział pracy polega na tym, że niektóre kraje specjalizują się w wygrywaniu, a inne w przegrywaniu. Nasz zakątek świata, zwany dziś Ameryką Łacińską, odegrał pod tym względem rolę iście pionierską: wyspecjalizował się w przegrywaniu już za tych zamierzchłych czasów, gdy renesansowi Europejczycy rzucili się przez morze, by zatopić kły w gardle naszego regionu".

Ameryka odkryta i porzucona

Duchy niewolników sprowadzanych na karaibskie i brazylijskie plantacje. Zapomniane miliony rdzennych mieszkańców, którzy umierali na nieznane sobie choroby, przyniesione z Europy. Górnicy, robotnicy i rolnicy, którzy ciężką pracą utrzymywali europejskie imperia. Zdradzeni marzyciele, politycy i rewolucjoniści. Pokonani przywódcy i królowie – jak choćby Tupac Amaru, ostatni władca Inków, który próbował desperacko ratować swoje królestwo przed zagładą i wypowiedział wojnę Hiszpanom. Podobnie jak wielu innych przywódców podbitego Nowego Świata, został stracony.

Opisując dzieje „przegranego regionu", Galeano zagląda do miejsc, z których w procesie zagarniania terytoriów przesiedlano dotychczasowych mieszkańców – zwykle na tereny znacznie uboższe, mniej żyzne i niesprzyjające rozwojowi. Wędruje przez upadłe przestrzenie, które stały się ofiarami ekonomicznych zależności. Były „odkrywane", czyli eksploatowane na potrzeby imperiów, a następnie porzucane lub pozostawiane same sobie. Odwiedza karaibskie wyspy, wypalone i wykarczowane na potrzeby przemysłu drzewnego oraz upraw trzciny cukrowej.

Pisze o górniczych miastach widmach w Chile i brazylijskim Salvador de Bahía, gdzie po dawnej obfitości bogactw naturalnych nie ma już śladu – dziś jest ono jednym z najbiedniejszych miast w całym kraju. Jednym z takich miejsc, które „runęły ze szczytów skąpanych w blasku metali szlachetnych prosto w czeluść ogołoconych ze skarbów zapadlisk", stało się też Potosí. W epoce kolonialnej gorączki srebra i złota to boliwijskie miasto było jednym z najbogatszych na świecie, większym niż ówczesny Paryż czy Londyn. Oszałamiające bogactwo surowców przyniosło mu rozkwit okazało się przekleństwem. Sprawiło, że światowa stolica srebra, określana mianem Cerro Rico (czyli Bogatej Góry), stała się piekłem niekończącego się wyzysku. Jednym z najuboższych, najbardziej niemożliwych do życia miast w tej części świata.

Historie przemocy

Potosí jest miejscem symbolicznym dla całej Ameryki Łacińskiej, która od XV w. przez kolejne stulecia zmieniała się – jak pisze Galeano – w „jeden wielki szyb wydobywczy". Stany Zjednoczone budowały relację z Ameryką Łacińską, stopniowo uzależniając ją od swoich inwestycji i kapitału. Eksploatując jej surowce i bogactwa naturalne – począwszy od drewna na Kubie, skończywszy na chilijskiej miedzi – i ustanawiając ekonomiczne monopole. Galeano opisuje, jak „Ameryka drugiej klasy" stała się ofiarą zimnowojennej walki o wpływy. Stany Zjednoczone wspierały brutalne reżimy i wywoływały lub podtrzymywały wewnętrzne konflikty w wielu latynoskich krajach. Poma-

Mural z portretem Eduardo Galeano w Caracas. Wenezuela, styczeń 2017 r.

THIERRY MONASSE / GETTY IMAGES

gały też w neoliberalnych eksperymentach, które mieszkańcom tego regionu – zamiast społecznych zdobyczy – przyniosły wiele rozczarowań.

„Otwarte żyły…" stanowią kronikę narodzin także tych nierówności, które istnieją wewnątrz latynoskich społeczeństw. Są opowieścią o formowanej przez stulecia, niemożliwej do zakopania przepaści, która stała się ponurą specjalnością tego regionu – biedy. Galeano pisze o „systemowej niemocy" – ekonomicznej, społecznej i państwowej – trzymającej Amerykę Łacińską w klinczu kolejnych zależności. Wskazuje też na bezsilność, która staje się elementem tożsamości skolonizowanych narodów. I która przekłada się na poczucie braku wpływu na swój kraj, a nawet na swój własny los.

Przetaczanie krwi

Pisząc o wzbogacaniu się centrum kosztem podbijanych „peryferii", Galeano sprowadza dzieje tych relacji do jednego wspólnego mianownika: są one dla niego „procederem przetaczania krwi". Kraje dziś wysoko rozwinięte prężnie się rozwijały; kraje zacofane pogrążały się w zacofaniu. Z podobnych metafor i wyrazistych zwrotów korzysta często – pisze m.in. o wykrwawianiu się Ameryki i jej wciąż otwartym krwiobiegu.

Komentując swój emocjonalny język i jednoznaczność ocen, przyznawał, że nigdy nie dążył do obiektywizmu. „Wiem, że moje pisanie nie przypomina neutralnych streszczeń lub analiz. Nie jestem w stanie się zdystansować wobec tego, o czym piszę. I zwykle opowiadam się po jednej ze stron" – przyznał w jednym z wywiadów.

Jak przypomina w posłowiu Artur Domosławski, w 2014 r. (na rok przed śmiercią), podczas Biennale Książki i Czytelnictwa w Brasílii, Galeano miał wybrać jeden ze swoich utworów i przeczytać fragment. Ku zdziwieniu obecnych nie sięgnął po „Otwarte żyły…", lecz po jedno z ostatnich dzieł: „Dzieci czasu" (2012). Decyzję tę tłumaczył niechęcią – przyznał, że ponownej lektury swojej najsłynniejszej książki dosłownie „nie zniósłby fizycznie". Owa awersja wynikała stąd, że czuł się przytłoczony jej rozgłosem. Miał wrażenie, że przyćmiła ona jego inne utwory, których recepcja była dużo mniej masowa.

> Galeano opisuje, jak Ameryka Łacińska stała się ofiarą zimnowojennej walki o wpływy. Stany Zjednoczone **wspierały brutalne reżimy i wywoływały konflikty** w wielu latynoskich krajach.

Nigdy jednak, jak sugerowali jego adwersarze, nie zmienił zdania na temat zawartych w niej tez. Do końca swoich dni pozostał socjalistą i kibicował m.in. „różowej fali" (*marea rosa*), która od końca lat 90. coraz śmielej przetaczała się przez Amerykę Łacińską: stopniowo, w niemal całym regionie, zwycięstwa odnosiła wówczas lewica.

Siła opowieści

Czytając dzieło Eduarda Galeano dziś, gdy minęło ponad pół wieku od pierwszego wydania, można mieć wrażenie, że niektóre rozdziały zatrzymały się w czasie, zostały dość szczelnie zamknięte w zimnowojennej epoce. Ma się takie poczucie m.in. przy okazji lektury fragmentów, w których autor bezkrytycznie raportuje sytuację Kuby.

Wciąż jednak „Otwarte żyły Ameryki Łacińskiej" pozostają tekstem boleśnie aktualnym – bo równie aktualny jest problem niekończącej się eksploatacji, rosnących nierówności społecznych i coraz głębszej przepaści między zamożną Północą oraz ubogim Południem. Są lekturą obowiązkową dla zrozumienia tytułowego regionu – zarówno w kontekście jego wewnętrznych problemów, jak i relacji z resztą świata.

Niektóre rozdziały książki brzmią szczególnie proroczo. Jak choćby te, gdzie opowiada się historię podboju Amazonii, miejsca drapieżnie eksploatowanego do dziś i poświęcanego w imię gospodarczego rozwoju. Walczący o jej ochronę współcześni aktywiści i ekolodzy przypominają bohaterów dzieła Urugwajczyka – są marzycielami i wojownikami, którzy walkę z brutalnym systemem nierzadko przypłacają życiem.

Choć eksploatacja przyjmuje różne formy, a w miejsce dawnych imperiów pojawiają się nowe, żyły Ameryki Łacińskiej są nadal otwarte. I wydaje się, że jedynym miejscem, gdzie można szukać ocalenia, jest dla urugwajskiego pisarza właśnie opowieść. Wiara w narrację, która ratuje pamięć i odzyskuje historię. Przywraca godność „przegranym narodom" i przybliża światy – te odkryte i te na zawsze utracone.

© MAGDALENA BARTCZAK

Eduardo Galeano
OTWARTE ŻYŁY AMERYKI ŁACIŃSKIEJ
przeł. Barbara Jaroszuk,
Filtry, Warszawa 2022

KFF / MATERIAŁY PRASOWE

To, co zostaje

ANITA PIOTROWSKA

Cóż może łączyć sędziwego rolnika spod Madrytu, który buduje prywatną katedrę, i właściciela największego ponoć lombardu w Europie? Czy tylko absurdalny rozmach obu przedsięwzięć?

Na kinowych ekranach można już zobaczyć zwycięskie dokumenty Krakowskiego Festiwalu Filmowego i Millenium Docs Against Gravity. Filmy te łączy z pewnością stosunek do bohaterów: nieoceniający, nieośmieszający, skupiony na tym, co stało się dla nich sensem. Tym wielkim i tym małym.

Bohater „Katedry", zmarły rok temu Justo Gallego Martínez, wygląda i brzmi niczym średniowieczny asceta. Chciał zresztą zostać mnichem, ale z niejasnych do końca powodów wydalono go z zakonu. Przez 60 lat w Mejorada del Campo wznosił świątynię wzorowaną na bazylice watykańskiej, wysoką na 50 metrów i zajmującą 8 000 metrów kwadratowych. Robił to własnymi rękami, tylko czasem pomagał mu ktoś z miejscowych. Żeby prace mogły postępować, wyprzedawał po kawałku ojcowiznę, używał najtańszych materiałów lub uprawiał ich recykling.

Lepiej nie pytać o formalności – o projekt architektoniczny, zezwolenie na budowę, przepisy BHP. Justo musiał zakończyć edukację w wieku lat jedenastu i ważniejszy od prawa czy teorii był dla niego wewnętrzny głos. A ten nakazywał, by na przekór wszystkiemu i wszystkim ukończyć dzieło. W sukurs przyszła genialna intuicja, tytaniczny wysiłek oraz determinacja, która zamieniła się w obsesję. Być może stanowił przypadek kliniczny, lecz nie to interesuje Denisa Dobrovodę. Przez kilka lat towarzyszył z kamerą budowniczemu katedry, który w dziesiątej dekadzie życia musiał jeszcze bardziej ścigać się z czasem. Latami uchodził za lokalne pośmiewisko, prawie nikt za jego pomysły nie dawał złamanego peso. Dzisiaj świątynia i jej historia są turystyczną atrakcją.

Dla odmiany, bohaterowie polskiego „Lombardu" nie zostawią po sobie strzelistych wież ani gigantycznych kopuł. Ich wybujałym, choć jakże ulotnym dziełem jest instytucja pożyczkowa, licząca aż 70 tys. zastawionych przedmiotów. Są wśród nich kryształy i szale z lisa, używany sprzęt AGD i książki na wagę, wszelkiej maści kable i durnostojki, pluszaki i pamiątki górnicze. Trafiły tu, bo komuś nie starczało do pierwszego, i teraz mają szansę otrzymać drugie życie. Tyle że choć towaru przybywa, klientela coraz bardziej topnieje.

Kiedy rozpoczyna się film Łukasza Kowalskiego, trwa „wyprzedaż wszystkiego", a dni lombardu z bytomskiej dzielnicy Bobrek wydają się policzone. Chcąc ratować swój bieda-biznes (położony, *nomen omen*, przy ulicy Wytrwałej), właściciel Wiesiek i jego partnerka Jola organizują festyn dla klientów. To, co zrazu wygląda na posegregowane tematycznie śmietnisko ludzkiego życia (reżyser porównywał ów gargantuiczny miszmasz do „Sklepów cynamonowych"), okazuje się miejscem, które przygarnia nie tylko zbędne przedmioty. Zwłaszcza że zbliża się zima, a z wystawionej na sprzedaż szopki ktoś właśnie „rąbnął Jezuska".

Za figurę bez mała chrystusową uważa się bohater „Katedry". Słowacki reżyser wspomina w wywiadach, że Justowi marzyła się... śmierć na krzyżu. Z wypowiedzi rozmówców wyłania się obraz fanatyka i człowieka z chorobliwą ambicją, Dobrovoda pozwala mu jednak do końca być sobą – nawet jeśli wznoszenie świątyni to gest wymierzony we współczesny świat, którego bohater nie rozumie i którym pogardza. Nawet wtedy, gdy on, domorosły architekt i nawiedzony robociarz o sękatych dłoniach, wyśmiewa się z wizji Gaudiego. Dlatego, kiedy na różnych etapach powstawania budowli kamera kołuje pod jej sklepieniem, jest w tym przede wszystkim zdumienie rozmachem tego przedsięwzięcia i skutecznością chałupniczych metod. W pewnym momencie Justo odwiedza jeden z madryckich kościołów, perfekcyjnie wykończony dziełem wielu ludzkich rąk i wręcz kapiący od złota. Tymczasem on cierpliwie wypełnia cementem piłeczki pingpongowe, żeby stworzyć dekoracyjne odlewy dla swej budowli.

Jeden z zabawniejszych, choć i gorzkich momentów słowackiego dokumentu (oba filmy mają sporą dawkę takiego humoru) to udział pobożnego starca w reklamie Coca-Coli. Chciał w ten sposób zarobić na ukończenie swego dzieła, nadać mu rozgłos i wypełnić ewangelizacyjną misję. Zapiekły przeciwnik wszel-

MAG / MATERIAŁY PRASOWE

KATEDRA *(Katedrála) – reż. Denis Dobrovoda. Prod. Słowacja 2022. Dystryb. Krakowska Fundacja Filmowa.*

LOMBARD *– reż. Łukasz Kowalski. Prod. Polska 2022. Dystryb. Against Gravity. Oba filmy do zobaczenia w kinach.*

Dokumenty „Katedra" i „Lombard" są pełnometrażowymi debiutami ich twórców. Denis Dobrovoda pochodzi ze Słowacji, mieszka w Londynie, studiował filozofię, nauki polityczne i ekonomię w Oksfordzie, a reżyserię w Paryżu. Łukasz Kowalski jest dziennikarzem, absolwentem komunikacji społecznej na UŚ i Szkoły Wajdy, laureatem Nagrody PAP im. Ryszarda Kapuścińskiego (2014) za reportaż telewizyjny.

kiego konsumpcjonizmu czuł się potem, jakby podpisał cyrograf z samym diabłem. Bo przed turbokapitalistycznymi regułami gry nie da się schronić nawet we własnoręcznie zbudowanej katedrze. A co dopiero, gdy mieszka się w Polsce B, gdzie czas zatrzymał się w latach 90. Kowalski w „Lombardzie" wychwytuje tę duchologiczną aurę niekończącej się transformacji. Balladowy ton tego filmu nie przykrywa wielkich i małych dramatów, jakie rozgrywają się w okolicznych familokach, w cieniu dymiących kominów hutniczych. Fragmenty owych dramatów przenoszą się do magazynu, gdzie za bezcen można kupić zniszczony wózek inwalidzki i ząb mamuta, ale i dostać od Joli dobre słowo, parę groszy czy talerz zupy.

Kowalski, choć niewątpliwie podkręca i ociepla panujące w niedogrzanym lombardzie relacje, stara się traktować swoich bohaterów poważnie. Ekran wypełniają więc „inni ludzie", ich przyziemne problemy i aspiracje, patrz: te wszystkie futra, fulary, finezyjne fryzury prezentowane przez parę drobnych przedsiębiorców. Ale przecież to też trochę o nas. Na półkach uginających się pod ciężarem bezwartościowych rzeczy, tych z drugiej i trzeciej ręki, odnaleźć możemy własne zamiłowanie do nabywania, gromadzenia, wyrzucania. Z tą różnicą, że w „Lombardzie" stoi za tym nie fanaberia, ale kwestia przetrwania, rozumianego najbardziej dosłownie.

Również od takiego świata uciekał w swoją *idée fixe* bohater „Katedry". Zapewne nie chciał, by zostały po nim zwoje kabli, stosy ubrań i zepsuty blender. Tego samego pragną twórcy omówionych wyżej dokumentów dla swoich bohaterów, podążając za nimi w ich gonitwie za marzeniami. Próbują dostrzec w nich coś więcej niż przejawy fiksacji albo „życia pod zastaw". To dla nich budują filmowe katedry, skrojone na ludzką miarę. ©

Lektor:
Nieco marudzenia

▪ *Tomasz Potkaj*
AKWARIUM. OPOWIEŚĆ O ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH W PRL-U
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022, ss. 524

Organizacja pisarzy, utworzona w maju 1920 r. z inicjatywy Stefana Żeromskiego, w Polsce lat stalinowskich miała wychowywać i dyscyplinować twórców, którzy sprawować będą rząd dusz. Po Październiku '56 ZLP zmienił się w arenę walk podjazdowych prowadzonych z władzą przez buntujących się intelektualistów. Pozostawał przy tym organizacją zawodową, argumenty zaś materialne, jakimi dysponowali rządzący, nie traciły na znaczeniu. Odwilżowym prezesem został Antoni Słonimski, potem przyszły ponad dwie dekady rządów ugodowego Jarosława Iwaszkiewicza, a po jego śmierci i po Sierpniu '80 wybrano Jana Józefa Szczepańskiego. Wszystko to Tomasz Potkaj opisał interesująco, z mnóstwem szczegółów i anegdot – polecam. Tyle na początek, teraz będzie marudzenie.

Najpierw – zakres tematyczny. Upieram się, że historia Związku Literatów Polskich zamknęła się 19 sierpnia 1983 r. z chwilą jego rozwiązania. „Ponowne zorganizowanie środowiska literackiego", jak to eufemistycznie nazwano, czyli utworzenie neo-ZLP pod prezesurą Haliny Auderskiej, było rozdziałem całkiem nowym. Cokolwiek sądzą działacze tej organizacji oraz jej obecny prezes, obficie przez autora cytowany, nie ma tu „ciągłości instytucjonalnej" – jest tylko uzurpacja nazwy. Pośród nazwisk firmujących neo-ZLP pisarzem naprawdę wielkiego kalibru był bodaj tylko Leopold Buczkowski, środowiskowy outsider. Neo-ZLP, podziemna aktywność dawnego zarządu w latach 80. oraz powstanie Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w 1989 r. to osobne wątki, trochę na siłę tutaj połączone. A trwający spór o warszawski Dom Literatury pokazuje, że będzie jeszcze o czym pisać.

No i tytuł. Tomasz Potkaj wziął go od Zbigniewa Herberta, a stosowny fragment wypowiedzi Herberta z „Hańby domowej" umieścił jako motto. Pomijam już, że jeśli słowa „oni byli w akwarium" odnieść nie tylko do czasów stalinizmu, ale do ZLP w ogóle – to i Herbert był jedną z ryb. Nie lubię jednak sięgania po pomysły już wykorzystane. W 1976 r. Tomasz Staliński, czyli Stefan Kisielewski wydał w Paryżu powieść „Ludzie w akwarium". Chodziło o przedwojenną luksusową kamienicę w alei Szucha, gdzie zamieszkali rozmaici prominenci – po Październiku także poseł Kisielewski. Co gorsza, „Akwarium" to także popularna i sfilmowana książka Wiktora Suworowa, zbiegłego na Zachód oficera służb radzieckich. Jej tytuł odnosi się do GRU. Fatalne skojarzenia... ©℗

OLGA

Drenda:
Tego nie było w planie

Zdarzają się momenty, w których zacina się symulacja. Spektakl, w którym jesteśmy zanurzeni, nie idzie zgodnie z planem. Na teleprompterze nadal wyświetla się instrukcja, by bić brawo lub się śmiać, ale zamiast tego publiczność zamiera, a prezenter *show* nie wie, jak zareagować.

Tak się dzieje, gdy ze sceny na zawsze schodzi ktoś, komu nie do końca udała się kariera. Gwiazdy jednego przeboju, ci, którym nigdy nie udało się wejść do pierwszego szeregu, albo tacy, którym zapowiadano murowaną sławę, ale coś nie wyszło po drodze. Jeden z takich ludzi właśnie zmarł – niegdysiejszy dziecięcy gwiazdor, Aaron Carter, nieco zapomniana postać show-biznesu. Kiedyś miał zrobić równie błyskotliwą karierę, co jego brat ze słynnej grupy Backstreet Boys, a nawet przebić go w roli doskonale słonecznego amerykańskiego chłopca. Wszystko działało, dopóki trwało dzieciństwo. W dorosłym wieku Carter stracił kontrolę nad swoim wizerunkiem i sobą, raz za razem próbował powrócić na scenę, ale problemy psychiczne, uzależnienie, długi przerosły go. Sama pamiętałam go tylko jako wyblakły obrazek z magazynu „Bravo". Był trochę młodszy niż ja.

Gdy umierają gwiazdy z pierwszych stron gazet, następują przewidywalne reakcje. Media nie piszą o nikim innym, telewizja nadaje specjalne programy pożegnalne, inni idole składają hołdy, można spodziewać się filmowych biografii, musicali i książek. Po śmierci kogoś umiarkowanie znanego, kogoś, kto popadł w zapomnienie albo zszedł na daleki plan („aha, tak, był ktoś taki"), panuje konsternacja. Ludzie krępują się, próbując znaleźć właściwe słowa. Czasem udają, że lubili czyjeś piosenki bardziej niż w rzeczywistości, albo trochę lukrują wspomnienie kogoś, kto dawno wypadł im z pamięci. Przykro, ale też ciężko trafić we właściwy ton.

Najdziwniejsze jest jednak chwilowe zacięcie się trybów show-biznesu. To, że ktoś przestaje być sławny, nie znaczy, że z niego znika. Artyści i celebryci, którym się nie udało, też mają swoje miejsce w tym ekosystemie. A gdy następuje tragedia, okazuje się, że to nie tak miało być – zadaniem drugoplanowych gwiazd jest przecież pojawianie się w materiałach z cyklu „Co robi dzisiaj X, zobaczcie, jak okropnie się starzeje". Mogą również walczyć o powrót na scenę, bo show-biznes bywa łaskawy i kocha comebacki (jak było w przypadku pop-rapera Coolio, który również zmarł w tym roku). Chcemy oglądać ich na jednej z kolejnych tras typu „Przeżyjmy to jeszcze raz" albo w ramach atrakcji w polskim teleturnieju, gdzie czasem można natrafić na holenderskie i niemieckie gwiazdy dyskotek szkolnych z lat 90. Ich rolą jest poprawiać samopoczucie niewielkim kosztem albo budzić przyjemny sentyment – nie chcemy wiedzieć, że chorują na depresję i umierają (jak jeden z członków Milli Vanilli, duetu budzącego latami głównie śmiech) lub padają ofiarą wyjątkowo drastycznych morderstw z nienawiści (co spotkało muzyka eurodance'owej grupy Squeezer). Tego nie było w scenariuszu.

Takie historie wkładają czasem nieoczekiwany kij w szprychy machiny szyderstwa i niezachwianej pewności siebie, jaką reprezentuje dzisiejszy internet (a kiedyś papier i telewizja). System, który produkuje celebrycką sławę, by czerpać brzydką satysfakcję z cudzego upadku, na chwilę zamiera. Tak było kiedyś w przypadku celebrytki *reality* TV Jade Goody, która reprezentowała wszystko, co brytyjskie tabloidy i telewizja (słusznie cieszące się złą sławą) kochały glanować – kłopoty z prawem, „niedobre" pochodzenie, zamiłowanie do szybkiego seksu i używek. Goody obsadzano w roli to Kopciuszka, to dresiary-postrachu przyzwoitych obywateli, przy czym żadnej z tych ról nie wybrała sama. Udało jej się zatrzymać spektakl symulacji na sposób tyle makabryczny, co pragmatyczny. Decydując się, by z premedytacją zrobić jak największe *show* z umierania na raka, zagwarantowała finansowe bezpieczeństwo swoim dzieciom. Show-biznes przydziela zadania i wpędza w pułapki, ale bywają chwile, gdy traci swoją moc, gdy można go zdezorientować.

Myślę o tym, zdając sobie sprawę, że prawdopodobnie dziś sława, nawet chwilowa, leży w zasięgu rąk przeciętnego człowieka bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Choć branża influencerska podobno osiąga już punkt nasycenia, nadal przy odrobinie szczęścia można coś osiągnąć samą przebojowością i pomysłem na wizerunek, bez specjalnych talentów scenicznych czy sportowych. Jednocześnie bardziej niż kiedykolwiek w sławę jest wpisana wrogość. Nie jako ryzyko, że ktoś może nas nie polubić; raczej jako zgoda, a nawet zachęta do wywoływania skrajnych emocji. Znany człowiek ma odgrywać rolę laleczki wudu do publicznego użytku, w której dowolny obywatel może lokować swoją frustrację i niespełnienie.

Przychodzi mi do głowy niewiele jednoznacznie pozytywnych gwiazd, z którymi ludzie chętnie się identyfikują i je podziwiają. Beyoncé jest niedosiężna jak bogini z Olimpu. Taylor Swift faktycznie na pierwszym planie stawia muzykę, ale irytuje wiele osób swoją aurą dziecka szczęścia, przed którym los rozwinął niekończący się czerwony dywan. Lewandowscy mogą wydawać się zbyt teflonowi. Sławy dziś raczej godzą się na grę w przesuwanie granic, w robienie rzeczy okropnych albo wystawianie się na wrogość. Być może wydaje się to opłacalne, przynajmniej na krótką metę. Uczucie, gdy ktoś tobą gardzi, ale jednocześnie na nim zarabiasz, może zapewne uzależniać i karmić kompleks boga. Wtedy niektórzy tracą hamulce i poczucie rzeczywistości. W kilku przypadkach, właśnie teraz, możemy obserwować to zjawisko w czasie rzeczywistym. Bez nazwisk, pewnie sami to wiecie.

Niektórzy na tym ryzyku mogą wychodzić dobrze, na chwilę. Wielu zostanie na zawsze w poczekalni. W końcu znikną, jak laleczki, a publika zostanie z zapasem niewykorzystanych szpilek do wbicia. Nie wiem, czy symulacja wtedy przestanie działać, czy tylko zaktualizuje oprogramowanie. ©

PAWEŁ

Bravo:
Niebieskie ptaszki

Prawie 5 procent straciły na wartości akcje koncernu farmaceutycznego Eli Lilly po tym, jak ktoś (serdecznie gratuluję pomysłu, anonimie) podszył się pod niego na Twitterze i ogłosił, iż odtąd insulina będzie za darmo. W słusznie urządzonym świecie tak powinno być. Może nie całkiem gratis, ale za ułamek obecnych cen, które są horrendalnie wysokie, pomimo iż ludzkość od dobrych stu lat umie wytwarzać i doskonalić insulinę, i nie jest to jakiś cud biotechnologii. Inwestorzy na moment przerazili się, że firma chce sobie zakręcić pozłacany kurek z łatwymi pieniędzmi.

Trzeba było złośliwego kawału, żeby przypomnieć, jak okropnie merkantylna jest sfera zdrowia. Nawet w covidzie koncerny potrafiły ukręcić łeb inicjatywie zdjęcia patentów ze szczepionek. Pandemia przestała być gorącym tematem, więc mało kto ma czas czytać wyniki dziennikarskich śledztw w tej sprawie, ale mam nadzieję, że kiedyś ktoś ją przerobi na dobry thrillerowy serial. Mało co mnie mdli tak, jak odwoływanie się przy ordynarnym kupczeniu zdrowiem i nadzieją do „własności intelektualnej". Wolę zrzec się własnego intelektu niż dzielić to słowo z tamtymi państwem.

Niestety są i pozostaną oni niezbędni, choćby z powodu insuliny i innych środków dla cukrzyków. Coraz więcej z nas nie będzie w stanie korzystać z kuchennych dóbr, które tu opisujemy, bez odpowiedniego wspomagania. Ilekroć przeglądam na Instagramie ciastkarskie i deserowe orgie, przychodzi mi na myśl, że rozsądny prawodawca nakazałby ich autorom nakładanie na każde zdjęcie czerwonego napisu: „zbadaj swój cukier".

Ale prawodawcy, jak wiadomo, niewiele mogą w mediach społecznościowych. To prywatne folwarki, o czym było znów głośno przy okazji zamieszania, za sprawą którego dowcip z insuliną był możliwy. Otóż nowy właściciel Twittera, nabab Elon Musk, chcąc pozyskać źródło dochodu dla deficytowego serwisu, ogłosił, iż za osiem dolarów wszyscy mogą dostać niebieskiego ptaszka przy swojej nazwie – znak dotąd zarezerwowany dla kont, których właścicieli firma weryfikowała wedle sobie tylko znanych procedur.

Musk uchodzi za wizjonera i parę razy nawet to udowodnił, choćby przy okazji samochodów elektrycznych. Ale tym razem nie przewidział, że jeśli nagle wystawi na sprzedaż coś, co wszyscy nauczyli się traktować jak urzędową pieczęć, żartom i podpuchom nie będzie końca. To znaczy koniec, owszem, nastąpił, hecę odwołano, a zdewaluowanego niebieskiego ptaszka ma zastąpić szary. Musk wydaje się być na szybkiej drodze do zepsucia zabawki, którą kapryśnie kupił.

To wszystko doprawdy wesołe, nie kupuję łzawej narracji, że nagły krach Twittera będzie poważną „szkodą dla demokracji". Starczy sobie przypomnieć prezydenta Trumpa czy paru innych, hmm, demokratów wykarmionych na tym medium. Powód do bólu będą mieli tylko ci, którzy się uzależnili od nieustannej gry (z nagrodą w postaci dalszych podań i polubień), w jaką zamieniły się wszelkie przejawy werbalizacji myśli, i własny problem (w żargonie ten twór zwą „gamifikacją") biorą za normę.

Żałuję i ja – ale tylko tego, że nie zdążyłem z własnymi pomysłami na podszywanki. Niestety, osiem dolarów to niemało, tyle dam za kilo mielonej łopatki wołowej do niedzielnej lazanii, musiałem więc wybrać tylko jedną osobę, której mógłbym naprostować niemądrze kręte ścieżki. Zamarzyło mi się, by przez jeden choć dzień z konta „Sylwia Spurek" popłynęły rozsądne, wyważone treści mogące wpłynąć na zmianę nawyków jedzeniowych, a więc ograniczenie przemysłowej hodowli i produkcji mięsa lub mleka. Niestety, w swej postaci autentycznej pani europosłanka jest widomą twarzą wegetalibanu, który zraża ludzi do słusznych skądinąd idei. Ostatnio słyszałem jej postulat, by nie dotować więcej nabiału barom mlecznym. Z pieśnią na ustach o lepszym świecie, walczy o niego dając po głowie ludziom biednym, bo w swej ciemnocie chcą żreć mięcho, a jeśli ich nie stać, to pierogi z serem.

„»Polityka jest jak żmudne wiercenie w twardych deskach, a do tego potrzeba jednocześnie i namiętności, i dobrego oka« – tak kończył Max Weber fundamentalny do dziś katechizm europejskiego polityka. Dlatego walka o spadek spożycia nabiału i mięsa to droga na wiele kadencji" – w ten sposób zacząłbym lipnego tweeta. Ale co dalej? Jakieś konkrety? Już nie starczyłoby miejsca, 280 znaków wyczerpane. Może to i lepiej, że nie złapałem tego ptaszka. ©℗

Na ziemi moich włoskich przodków jeszcze dwa pokolenia temu chwytano i zjadano ptaszki nawet tak małe jak skowronki, co nawet mi, mięsożercy, słabo się mieści w głowie i tylko dowodzi, że granice oporów etycznych w jedzeniu są płynne. Nie chcąc dalej w to wchodzić, opowiem o przyjemnym sposobie pozbycia się ostatniej dyni, jaką nabyliście w październiku. Pieczemy w całości w 180 stopniach dynię hokkaido lub (jeszcze lepiej) delica, aż patyczek wbity do środka pokaże, że jest miękka. Po wystudzeniu rozkrajamy, wyjmujemy nasiona, obieramy (można też najpierw pokroić i upiec w kawałkach). Bierzemy 500 g miąższu, w misce mieszamy intensywnie widelcem z 100 g bułki tartej, 50 g tartego parmezanu, 100 g serka typu Almette, solimy, solidnie przyprawiamy (np. tym razem majeranek zamiast szałwii?). Lepimy kulki wielkości włoskiego orzecha, obtaczamy w tartej bułce i pieczemy w 180 stopniach pół godziny albo do mocnego zrumienienia.

AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

TEX SIĘ NIE ŁAMIE

Każda włoska księgarnia ma rozbudowany dział z komiksami, a największe włoskie muzea, z Galerią Uffizi na czele, eksponują dzieła najwybitniejszych włoskich autorów komiksu.

BARTOSZ HLEBOWICZ Z LUKKI

Dziki Zachód, japońska fantastyka, polski Wiedźmin i Cyberpunk, potem kilka minut w dżungli Willowa i interaktywnym świecie Avatara. Spotkania z Timem Burtonem, Robertem Saviano i Nagabe. Wystawy Chrisa Riddella i Diabolique, salony gier w karty, miliony komiksów, setki renomowanych i początkujących wydawców. Przez pięć dni średniowieczne centrum Lukki zamieniło się w wielkie święto kultury popularnej – targi komiksu i gier, tych tradycyjnych i wideo.

Oficjalna nazwa targów to Lucca Comics&Games, ale ludzie zwykle skracają ją do Lucca Comics, a nawet tylko do Lucca, bo toskańska perła architektury kojarzy się dziś także z najważniejszym świętem kultury popularnej w Italii, odbywającym się tu od ponad pół wieku. Tegoroczna edycja nosiła tytuł „HOPE".

Porównywalne są na świecie tylko dwie imprezy – Comiket w Tokio i Comic Con w San Diego. Na pięciodniową imprezę w Lukce wykupiono 320 tys. biletów, ale z pewnością odwiedzających było więcej. Tysiące wchodziło na teren starego miasta tylko po to, by przyglądać się spacerującym przebierańcom, ale nie chodziło o Halloween, choć festiwal zahaczał o tę datę. Chodziło o *cosplay*, czyli osoby przebrane za najrozmaitsze postaci z komiksów i gier wideo. Były ich setki. Chętnie pozowali do zdjęć i wyjaśniali, kim są.

Kosmos na rynku

Uliczkami Lukki przechadzają się niezliczeni Szaleni Kapelusznicy, postaci z mangi, Wednesday i reszta rodziny Addamsów. Spotykam bliźniaczki Grady, elfy, Saurona, Batmana, Michaela Myersa z serii filmów „Halloween", Erica Dravena – Brandona Lee z „Kruka", Jezusa Chrystusa oraz setki innych, których nie potrafię rozpoznać. Są steampunkowcy, a nawet pan z woreczkiem na psie odchody i napiętą smyczą, do której uwiązany jest niewidzialny pies.

Zatrzymuję się przed trzema dziewczynami z wielgachnymi kapeluszami grzybowymi: – My nikogo nie przedstawiamy, po prostu przebrałyśmy się za grzyby – śmieją się i dodają, że przyjechały z Florencji, jak ja. Inni *cosplay* przyjechali z Parmy, Wenecji, Turynu. W drodze powrotnej, w pociągu, spotkam jeszcze chłopaków z Neapolu, chociaż stolica Kampanii wiosną ma własny festiwal komiksów – Napoli Comicon, drugi pod względem rozmachu we Włoszech. Nie natrafiam na nikogo, kto byłby z samej Lukki.

– Miejscowi uciekają stąd na czas festiwalu – tłumaczy 48-letni Guido Gambacorta, którego spotkałem w porannym pociągu z Florencji. Pociąg wyrusza o siódmej rano, zajęte były wszystkie miejsca siedzące i stojące. Jadą głównie młodzi ludzie, niektórzy przebrani. Guido trochę narzeka na nieprzebrane tłumy, ale od kilkunastu lat regularnie jeździ na targi w Lukce – z dwuletnią przerwą w czasie epidemii, kiedy Lucca Comics zorganizowano tylko w internetowej formie.

Guido pracuje dla Casalini Libri, florenckiej firmy, która wyszukuje włoskie książki i komiksy dla zagranicznych uniwersytetów. Tłumaczy: – Jadę służbowo, muszę mieć pewność, że niczego nie przegapiam, ale i tak bym tu przyjeżdżał, bo uwielbiam komiksy. Także dla atmosfery: raz do roku zdarza się okazja, by zobaczyć w tym wyjątkowym miejscu niemal wszystkich z branży.

W centrum Lukki, z jej pięknymi placami, uliczkami, średniowiecznymi i renesansowymi budynkami i całą masą kościołów, zbierają się na kilka dni wydawcy, autorzy, ilustratorzy, renomowane nazwiska. Jak choćby Zerocalcare, autor niezwykle popularnych politycznych reportaży graficznych „Kobane Calling" – o Kurdach broniących się przed islamistami, czy wydanej niedawno „No Sleep Till Shengal" – o prześladowaniach jezydów. Albo Chris Riddell, którego wspaniałe rysunki do „Alicji po drugiej stronie lustra", serii z Ottoliną czy „Don Kichota", a także ostre satyryczne komentarze polityczne z „Observera" można było podziwiać na wystawie w Palazzo Ducale, obok tolkienowskich ilustracji Teda Nasmitha, grafik Atsushiego Ohkubo ze „Zjadacza duszy" czy minimalistycznych, filozoficznych przypowieści kreślonych impresjonistyczną techniką punktową wielkiego Giacomo Nanniego (technika ta stwarza efekt ziarnistości, jak w pop-arcie albo w zdjęciach z dawnych gazet). A w dawnym kościele zakonu serwitów trwa wystawa 64 oryginalnych płyt z odcinka „Diabolik, kim jesteś?" autorstwa mistrza włoskiego noir Corrada Roi na jego 60-lecie.

Przed kościołem San Michele in Foro, Lukka, październik 2022 r.

BARTOSZ HLEBOWICZ

Łowcy obrazków

W krużgankach kościoła serwitów tradycyjnie stłoczyli się też początkujący artyści. Fabiola Marcomeni i Margherita Meini studiowały razem w szkole komiksu we Florencji, teraz wspólnie tworzą historyjki rysunkowe oparte na „lokalnych opowieściach i własnych przemyśleniach". Wydają po sto kopii każdego komiksu. Na moich egzemplarzach autorki od ręki ozdabiają rysunkami strony tytułowe. Własnym sumptem wydają też historie obrazkowe członkowie grupy Spaghetti Comics, wywodzący się z Międzynarodowej Szkoły Komiksu w Reggio Emilia. Fabiana Suraci ozdabia portretem głównej bohaterki Nabi mój egzemplarz postapokaliptycznej opowieści „Cenere" (Popiół). A od Miriany Greggi z czteroosobowego kolektywu Canederli otrzymuję rysunkową dedykację w komiksie inspirowanym tytułami popowych piosenek.

– Po to właśnie tu przyjeżdżam od piętnastu lat – opowiada 49-letni Gionata, pracownik administracji florenckiego szpitala Careggi i kolekcjoner komiksów z oryginalnymi dedykacjami. Od razu po wejściu za średniowieczne mury okalające centrum kieruje się do wielkich namiotów, gdzie stoiska mają czołowi włoscy wydawcy. Przy każdym wywieszono grafik z godzinami, kiedy będzie można spotkać autorów i otrzymać rysunkową dedykację. Wybiera autorów, którzy mu się najbardziej podobają, kupuje komiks i wraca po kilku godzinach, by odebrać go z rysunkiem-dedykacją.

Gionata wyszukuje też oryginalne wydania włoskich wydawców z lat 70. i 80. Wymienia szereg nazwisk, którym nadał przydomki: – Introwertyczny Scozzari, muskularny Liberatore, krwawy Davide Reviati i moim zdaniem największy włoski geniusz Andrea Pazienza... Szukam wszystkiego, co może wydawać się niepokojące, czarne lub przerażające, krótko mówiąc tego, co stary dobry Freud określiłby jako *unheimlich*. Choć prawie wszystkie te rzeczy zostały ponownie opublikowane, ja, jako prawdziwy kolekcjoner, szukam ich w oryginalnych wydaniach z tamtych czasów. Ceny wahają się od 50 do 100 euro.

Najdłuższe kolejki ustawiają się przed pawilonem wydawnictwa J-Pop, które wypuszcza m.in. popularną serię „The Girl from the Other Side" Nagabe, japońskiego mistrza mangi. Ostatniego dnia imprezy podpisywał i ozdabiał rysunkami odcinki swego komiksu, ale tylko dla pierwszych 90 szczęściarzy. ↦

LUCCA COMICS / MATERIAŁY PRASOWE

Tim Burton w Teatro Giglio podczas festiwalu Lucca Comics. Lukka, 31 października 2022 r.

↦ – Przyszliśmy tu wczoraj o dwudziestej pierwszej – mówi mi z samego rana para, która zajmuje czołowe miejsce w kolejce przed wejściem do wielkiego namiotu J-Pop. – Ale okazało się, że nie było to konieczne.

Następni w kolejce mówią, że stawili się „dopiero o drugiej w nocy".

Kolekcjonerzy w różnym wieku nie tylko ustawiają się po autografy i rysunki wykonywane na poczekaniu, ale także oryginalne plansze wielkich włoskich ilustratorów czy po antykwaryczne wydawnictwa. Rzuciłem okiem na ceny plansz: od 300 do 1300 euro. A wśród starych komiksów po 3-4 euro znalazłem rarytas: broszurkę z oficjalnym programem występów „szalonych jeźdźców świata" Buffalo Billa we Włoszech, z początku XX w. Za jedyne 140 euro.

Mściciel z Dzikiego Zachodu

Komiksowy ulubieniec Guida to Tex Willer – legenda włoskiego komiksu. *Giustiziere* – „ten, który zaprowadza porządek", w przyszłym roku obchodzić będzie 75. urodziny. Tex to najstarszy włoski bohater komiksowy. Nie może się z nim równać nasz polski Binio Bill ani nawet Lucky Luke. We Włoszech nie ma chyba nikogo, kto by nie wiedział, kim jest Tex, nawet jeśli sam nie czyta komiksów. Kolejne zeszyty „Teksa" można znaleźć w dowolnym kiosku czy księgarni, bo dziś każda włoska księgarnia ma rozbudowany dział z komiksami, a największe włoskie muzea, z Galerią Uffizi na czele, eksponują dzieła najwybitniejszych włoskich autorów komiksu. Fani Teksa – ci starsi – noszą krawaty z jego wizerunkiem, ci młodsi – koszulki z podobizną rewolwerowca. „Teksa" wydaje najważniejszy włoski dom wydawniczy Sergio Bonelli.

Tuż po wojnie Tex Willer nazywał się jeszcze Red Killer i był jednym z tuzina postaci wymyślonych przez mediolańskiego wydawcę Gianlucę Bonellego, ojca Sergia. Gianluca tworzył niezliczone historie komiksowe. To czytelnicy zdecydowali, że *giustiziere* z Dzikiego Zachodu zdobył przewagę nad postaciami z gatunku płaszcza i szpady czy podróżnikami w najdalsze zakątki Ziemi lub w kosmos. Jako odrębny komiks „Tex" zaczął wychodzić w 1962 r. Sergio przejął po ojcu pisanie jego scenariuszy w 1976 r.

– Jestem pasjonatem komiksów włoskich i tych o tematyce westernowej, więc nie mam wyjścia, namiętnie kolekcjonuję „Teksy". Kolekcjonując kolejne zeszyty, karmię nostalgię i wspomnienia minionych czasów – mówi Guido.

Przed pawilonem wydawnictwa Sergio Bonelli (dyrektorem obecnie jest Davide Bonelli, wnuk Gianluigiego i syn Sergia) łapię za rękaw Maura Bosellego, najbardziej płodnego autora historii z Teksem: – Ten fenomen wiąże się z intuicją, jaką miał wiele lat temu Gianluigi Bonelli, żeby stworzyć poważny western, którego protagonista będzie przyjacielem Indian, niezłomnie wymierzającym sprawiedliwość. Bonelli pod tym względem wyprzedził Hollywood, gdzie Indianie z reguły byli wtedy nikczemnymi wrogami białych protagonistów. Staramy się utrzymać Teksa w tej tradycji, komplikując nieco historie i rozwijając wątki dalszoplanowych bohaterów. Ale sam Tex się nie zmienia, nawet jeśli rysowali go różni artyści: potrzebujemy takich postaci-drogowskazów, bezbłędnie odróżniających dobro od zła.

„Zabijam tylko tych, którzy naprawdę na to zasługują" – deklaruje do dziś niezłomny ranger z Teksasu, syn bladej twarzy i Indianki Nawaho, którego towarzyszami są Indianin Tiger Joe i zwiadowca Kit Carson...

Boselli przyznaje, że Teksem coraz rzadziej pasjonują się młodzi ludzie, którzy chętniej wybierają nowszych bohaterów wydawnictwa: superherosów Zagora i Dylana Doga. Pociesza się: – Mam nadzieję, że uda nam się przenieść Teksa na ekran i przyciągnąć nowych widzów.

Więcej gwiazd

Od Emanuele Vietiny, dyrektora festiwalu, dowiaduję się, że w tym roku wystawców gier i komiksów było siedmiuset, a imprez – półtora tysiąca. Pytam, czego mu jeszcze brakuje.

– Nie myślimy już o sprzedaży większej liczby biletów czy stanowisk wydawców, ale chcemy stać się imprezą jeszcze bardziej międzynarodową. Toskania to jeden z najmodniejszych regionów Europy, przyjeżdża tu mnóstwo turystów i dziennikarzy, którzy jeszcze nie wiedzą, ile tu miejsc związanych z kulturą popularną. Jak Monteriggione, gdzie kręcono „Assassin's Creed", Volterra, gdzie filmowano „Twilight", czy Maremma, gdzie do dziś istnieje kultura kowbojska.

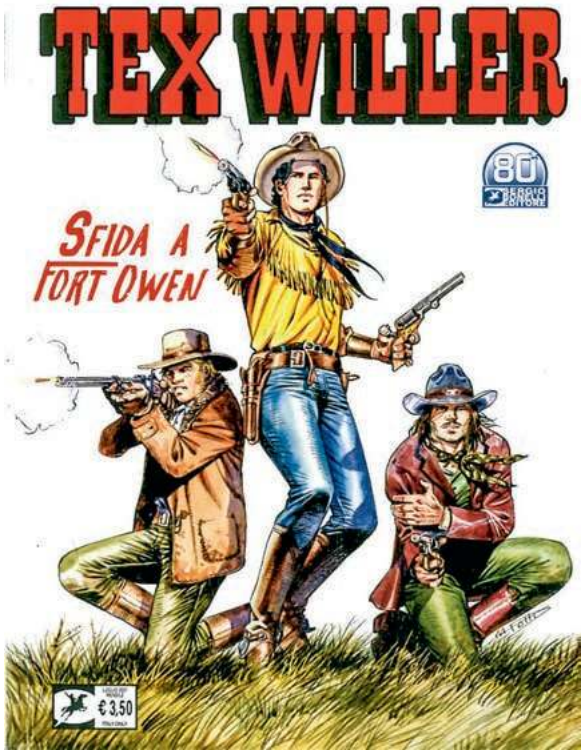

MATERIAŁY PRASOWE

Okładka miesięcznika „Tex Willer", wyd. Sergio Bonelli, zeszyt 33, 2021 r.

Ekspansja festiwalu ma też – według zamierzeń Vietiny – polegać na ściąganiu do Lukki jak największej liczby znakomitych autorów. W tym roku był np. Marcello Quintanilha z Brazylii, autor nagradzanego w zeszłym roku komiksu „Ascolta, bellissima Márcia", opowiadającego o życiu w jednej z faweli Rio de Janeiro. Było też spotkanie z Robertem Saviano z okazji serii komiksów opartych na jego powieści „Chłopcy z paranzy". Ale największą gwiazdą był Tim Burton, który nakręcił już dla Netfliksa pierwsze cztery odcinki „Wednesday" (premiera 23 listopada, trailer – wiele obiecujący).

– Wróciłem do historii rodziny Addamsów, ale skupiłem się na młodzieńczych losach Wednesday, mojej ulubionej bohaterki, z którą bardzo się utożsamiam – zwierzał się Burton w sali teatru Giglio. Tak, Hollywood też ma się tu dobrze.

30 tys. widzów ściągnął w Lukce polski wydawca gier video CD Projekt RED, jeden z głównych gości festiwalu, który na wystawę grafik z kolejnych wersji „Wiedźmina" oraz najnowszej gry „Cyberpunk" wynajął prestiżową Willę Boldrini. Park wokół niej zamienił w wioskę rodem z powieści Sapkowskiego, gdzie turyści mogli rzucać toporem do celu albo sporządzić magiczny napój pod okiem specjalistów w strojach „z epoki".

– Szturmują nas bez przerwy, chłoną wszystko, niewiele pytają, po prostu chcą tu pobyć – opowiada Marta Piwońska z CD Projekt RED, która przypomina, że ich gry sprzedają się w milionach egzemplarzy na całym świecie, od USA po Chiny. – Zabawne jest uświadomić sobie, że „Cyberpunk" wywodzi się z gry planszowej z lat 80. Odwiedzają nas oczywiście głównie młodzi ludzie, ale zdarzają się też starzy nostalgicy, z rozrzewnieniem wspominający nasze „czasy pierwotne".

Ważne: jury w Lukce uznało „Chronicles of Avel" Przemka Wojtkowiaka i Bartłomieja Kordowskiego za najlepszą grę planszową 2022 roku.

Był sobie VHS

– Zaczęliśmy z żoną przyjeżdżać na targi komiksu w Lukce około 1998 roku – opowiada łowca antykwarycznych komiksów Gionata. – W porównaniu z edycjami sprzed epidemii obecna zmieniła się na gorsze. Zawsze było kilka bramek wejściowych, teraz tylko jedna – po to tylko, żebyśmy mogli zamienić bilety kupione online na opaski na rękę. Do pawilonów wewnątrz też są dłuższe kolejki.

Przypomina, że 25 lat temu impreza nie była jeszcze „międzynarodowa", odbywała się w hali sportowej na peryferiach miasta: – To był po prostu targ sprzedawców komiksów, którzy mieli swoje stoliki wewnątrz hali. A dla mnie, wówczas chłopaka bez stałych zarobków, najważniejsi byli sprzedawcy na czarno, którzy na placach wokół hali rozkładali koce, a na nich komiksy, kasety VHS, karty do gry, plakaty filmowe – wszystko, co związane było z komiksem i kinem. Przypominało to wyprzedaże garażowe. Potem zaczęła się „kulturyzacja" imprezy: przeniesienie jej do centrum, międzynarodowe wydarzenia, pokątnym sprzedawcom nie opłacało się już przyjeżdżać.

Tymczasem dyrektor Vietina mówi: „Chcemy, by Lukka stała się naturalnym teatrem wielkich projektów europejskich, i żeby rzuciła wyzwanie hegemonii japońsko-amerykańskiej". Choć w tym roku na Lucca Comics nie zabrakło takich hegemonów jak Netflix, Prime Video czy Disney ze studiem zaaranżowanym tak, żeby odwiedzający czuli się jak w środku akcji „Avatara 2".

Ale dla takich fanów komiksu jak Gionata czy Guido najważniejsze pozostaje wymyślenie osobistej trasy podróży po Lukce, pomiędzy straganami ze starymi komiksami, pawilonami z nowościami, wspaniałymi wystawami grafik z Palazzo Ducale, obserwowanie uznanych i początkujących artystów przy pracy i radowanie oczu oglądaniem setek szalonych *cosplay*.

Myszkujemy z synem po pawilonach z używanymi komiksami. Znajdujemy stanowisko z kilkuset odcinkami „Teksa", którego mój syn czyta namiętnie. Wybiera zeszyty, których jeszcze nie ma. Moją uwagę przykuwa pan koło siedemdziesiątki, z karteczką w ręku, na której ma wypisane brakujące numery „Teksa". Uzupełnia je wytrwale, tak jak mój dziesięciolatek.

© BARTOSZ HLEBOWICZ

Dziękuję Jazmin Kuan Veng, koordynatorce Lucca Comics&Games 2022, za niestrudzoną asystę podczas moich wizyt w czasie trwania festiwalu.

POŻEGNANIE

Łucji Mróz-Raynoch

serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci

Męża

Krzysztofa Raynocha

składają

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego"

STANISŁAW

Mancewicz:
Bim-bom

Oczywiście, każdy by chciał, byśmy dziś zajęli się znaną wypowiedzią prezesa PiS-u na temat forsownego chlania przez kobiety w wieku rozrodczym. Nic z tego. Musimy trzymać jakiś poziom. Zagadki tutejszej dzietności – co wiadomo powszechnie – są naszym hobby, ale interpretacje Gospodarza w tej materii, podobne leśnym bimbrowniom, nie trzymają standardów sanepidu. Słowem, nie możemy tego brać do ust. Zajmiemy się zatem, dla odmiany, nie różniastymi opiniami prezesa ostatnio dominującymi, a niedawną wypowiedzią prezydenta RP, który od dłuższego czasu ma jakby wakacje, ale takoż od nigdy nie podejmuje tematów ani za trudnych, ani dla dorosłych. Zawsze przemawia jak małe dziecko do małych dzieci, co nas kiedyś dziwiło, nawet bodaj śmieszyło, ale dziś już nas nie śmieszy. Tu popatrzmy: skoro prezydent RP mówi jak dziecko do dzieci, to z dzietnością w Polsce nie jest jednak tak źle, jak można by sądzić. Nie pierwszy to raz, gdy Gospodarz mniema jedno, a prezydent RP drugie (to miał być żart).

Kiedyś zastanawiało nas, dlaczego prezydent RP tak często podnosi głos. Bo podnosi. Ni stąd, ni zowąd. Na kogo on krzyczy? – pytaliśmy się sami siebie, co tu kryć, zdziwieni. Różnie to próbowaliśmy tłumaczyć – noga go boli, myśleliśmy. Na dzieci krzyczy? Kto się tego boi? Ktoś ma się bać? Aż, błądząc, ale wsłuchując się, zrozumieliśmy: krzyk dla p. A. Dudy jest po prostu argumentem. Ciekawe, gdzie go tego nauczono. Krzyk jako argument stał się w polityce modny. I to by się zgadzało, bo treść jest bez znaczenia. Gdyśmy do tego doszli, spokojnie, już bez napinki patrzymy, jak prezydent nabrzmiewa gniewem od czasu do czasu. Nie żebyśmy się śmiali, co to, to nie, tego nie robimy, mając świadomość, że w jego ciele uosobiona jest cała godność Rzeczpospolitej. Tak. To trzeba tu było zaznaczyć.

No więc ostatnio prezydent RP mniej krzyczy. Jego wypowiedzi przechodzą bez większego echa, ale niektóre jakoś się przebijają. Chciałby on, weźmy najświeższą myśl przezeń wypowiedzianą w Egipcie, by w górach leżał śnieg, a na nizinach – powiada – chce on, by było ciepło. I to jest, każdy powie: fajne. Z tego, co prezydent RP mówił dalej, wynikało, że ciepło ma pochodzić ze spalania węgla, więc nie można prezydenta RP posądzić o jakieś rewolucyjne ciągotki, bo – przewszakże – obce mu są lewicowe dywagacje na temat paliw innych niż kopalne. Oto tam pada śnieg, tu sobie palimy w piecu i jest jak dawniej. Wiadomo, „im bardziej pada śnieg, bim-bom, tym bardziej sypie śnieg, bim-bom...". Słowem, da się bez krzyków, z dłońmi splecionymi w nieśmiertelny koszyczek, spokojnie, odpowiedzieć młodej pytającej kobiecie, że jeżeli są problemy ze śniegiem i węglem, to winny jest Tusk bądź 30 lat zaniedbań. No i już. Każde dziecko to złapie, bim-bom.

Analitycy polityczni – powtórzmy – nie mają wiele do roboty nad opiniami prezydenta RP, zwłaszcza wypowiadanymi bez krzyku. Widać to wyraźnie po jego egipskiej podróży. Był on tam zdaje się na jakimś zjeździe. Jakim? Jakimś. Zostawmy, bowiem jest to naprawdę bez większego znaczenia, a spostrzeżenie, że nie podnosił tam głosu, jest cenne wyłącznie dla badaczy jego niezwykłej jednak kariery. Choć niekoniecznie. Zadaniem ludzi dorosłych – popatrzmy – jest kurczowe trzymanie się własnej dorosłości i to jest dziś najważniejsze ze wszystkiego. Nie można dać się od dorosłości odrywać, pozwolić, by wpakowano nas do przedszkola, by politycy wciąż kładli nas na przewijakach i kazali nam słuchać owych koci-łapci. Trzeba rzec twardo: wypowiedź prezydenta RP o śniegu w górach, zwłaszcza u progu zimy, nie dotyczy kryzysu energetycznego ani cen paliw kopalnych, jest wyrażeniem marzeń narciarza o nadchodzącym sezonie zjazdowym. Prezydent mniej krzyczy, gdy zjeżdża, albo się do zjeżdżania szykuje. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

Zamów prenumeratę wydania drukowanego „TP”!

nie zużywa prądu!

pachnie! ...szeleści

* można czytać wspólnie

mogę kolekcjonować i zabrać do lasu

mogę po nim kreślić!

przyciąga wzrok

czytam bez dostępu do internetu

nie zbiera ciasteczek

w ogóle ładnie wygląda!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TP”

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. **668 475 263** lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

Cennik ważny od 3 listopada 2022 r.

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	**rok**	**640 zł**	**770 zł**
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

WYSTAWA CZASOWA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

ŻYDOWSKA KULTURA KULINARNA

11.03–12.12.2022

polin.pl

Współorganizator:

STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

Mecenas:

Jankilevitsch Foundation

Wsparcie finansowe wystawy:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Partnerzy wystawy:

ARCHIWA PAŃSTWOWE NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

JEWISH FOOD SOCIETY

ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY

Partnerzy medialni:

zwierciadło, sens, TYGODNIK POWSZECHNY, VOGUE, wyborcza.pl, wyborcza.pl WARSZAWA, ams, TOK FM, VIVA!, Newsweek, HISTORIA, KUKBUK.pl, K MAG, onet